
1933
KALENDARZ
KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ
J. H.

KALENDARZ KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ

NA ROK PAŃSKI

1933



ROCZNIK DZIEWIĄTY

WYDAWNICTWO I DRUK ZAKŁADU WYCHOWAWCZEGO
TOW. ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA W MIEJSCU PIASTOWEM.



Zawitaj Królowo, Matko i Pani!
Zawitaj o nasza Nadziejo!
Do Ciebie Adama synowie wygnani,
Z ziemskiego padołu, ze łzawej otchłani,
Wzdychają i gorzkie łzy leją!

Nam serce obsiadły i kolce i ciernie,
I burze szaleją, i gromy w nas biją;
Zwróć ku nam Twe oczy! o zwróć miłosiernie!
Pospiesz nam ku wsparciu, Marjo!

Wł. Syrokomla — „Sadoch".



Artur Grottger: „Nocturn"

1863—1933



A. Grottger „Lituania“ Wedeta

Styczeń

Stójmyż gotowi jak straż czuwająca,
Bo nikt nie powie,
W który dzień trąba zawezwie nas grzmiąca
Matce nieść zdrowie.
A wonczas jak piorun, co kruszy i pali,
W bój lećmy zwyciężać z nadzieją na stali,
Lub gińmy szlachetni jak ojce konali —
Polski synowie.

Mieczysław Romanowski

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.
1. Ewang. u św Łuk. 2, 21: Nadanie Imienia Jezus.				
1	N.	Nowy rok. Obrz. P.	19	Grudn. N. p B. N (28 po Z. Św)
2	P.	Makarego op.	20	Oczekiwanie Nar. P. J.
3	W.	Genowefy p.	21	Juljanji m.
4	Ś.	Eugenjusza m.	22	Anastazji
5	C.	*Wigilja.* Teles. pap. m.	23	10 męcz. Kreteńskich
6	P.	**Trzech Króli**	24	*Wigilja Boż. Narodz.*
7	S.	Lucjana m.	25	**Boże Narodzenie**
2. Ew. u św. Łuk. 2, 42—52: Dwunastol. Jezus w świąt.				
8	N.	**1 po 3 Kr.** Św. Rodziny	26	**N. po B. N.** (29 po Z. S.) SNMP.
9	P.	Juljana i Bazylisy m.	27	*Szczepana pierw. męcz.*
10	W.	Jana Dobrego	28	Męczenn. w Nikomedji
11	Ś.	Hygina pap. m.	29	14.000 niewiniątek
12	C.	Ernesta op.	30	Anizjusza i Zotyka
13	P.	40 żołnierzy mm.	31	Melanji
14	S.	Hilarego DK.	1	**Styczeń.** Obrz. P. J. N. Rok
3. Ewang. u św. Jana 2, 1—11: Gody w Kanie Galil.				
15	N.	**2 po 3 Kr.** *Im. J.* P. I. p.	2	**N. przed Zj. P.** (31 po Z. Św.)
16	P.	Marcelego pap. m.	3	Malachjasza pr.
17	W.	Antoniego op.	4	Wspomnienie 70 apost.
18	Ś.	Stolicy św. Piotra w Rz.	5	Wigilja Zjaw. Pańsk.
19	C.	Kanuta kr.	6	**Zjaw. Pańskie. Jordan**
20	P.	Sebastjana m.	7	Wspomn. Jana Chrzcic.
21	S.	Agnieszki p. m.	8	Georgjusza wyzn.
4. Ew. u św. Mat. 8, 1—13: O uzdrow. trędowatego.				
22	N.	**3 po 3 Kr.** Wincent. m.	9	**N. po Zj. P.** (31 po Z. Św.)
23	P.	Rajmunda de Penn. w.	10	Grzegorza Nysseńsk.
24	W.	Tymoteusza b. i m.	11	Teodozjusza W.
25	Ś.	Nawr. św. Pawła Ap.	12	Tatjany
26	C.	Polikarpa b. i m.	13	Ermila i Stratonika
27	P.	Jana Złotoustego DK.	14	Męczenników Synaic.
28	S.	Flawjana m.	15	Pawła Tebańskiego
5. Ewang. u św. Mat. 8, 23—27: O burzy na morzu.				
29	N.	**4 po 3 Kr.** Fr. Sal. b. DK.	16	**N. 32 po Z. Św.** Ok. ś. P.
30	P.	Martyny p. m.	17	Antoniego pust.
31	W.	Piotra z Nolasko w.	18	Atanazego i Cyryla.

Zmiany księżyca.

☽ dnia 3 o godz.	17 24		
„ 11	”	21.36	
☽ „ 19	„	7·15	
„ 26	”	0.20	

Przysłowia:

Wiatr pierwszego dnia wieczorem
Ludzi straszy rokiem chorym;
Pogoda ryby przynosi
I cały rok dobry głosi.

Na nowy Rok pogoda,
Będzie w polu uroda;
Gdy Nowy Rok mglisty,
Jeść cię będą glisty.

Gdy Trzy Króle pogodą obdarzą,
Nie zasypiaj ranków gospodarzu;
Przyjdzie wiosna wnetki,
Pamiętaj na hetki.

Luty

Cześć tym, co legli w rodzinnej ziemi,
Co dług Ojczyźnie spłacili już,
Niech im nad głową skrzydły białemi
Dzwoni otuchą nasz Anioł Stróż!
Seweryna Duchińska.



A. Grottger „Lituania“ Puszcza

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.
1	Ś.	Ignacego bp. m.	19	Makarego egipskiego
2	C.	*M. B. Gromnicznej*	20	Eutemjusza
3	P.	Błażeja b. m.	21	Maksyma wyzn.
4	S.	Andrzeja Kors. bp.	22	Tymoteusza
6. Ewang. u św. Mat. 13, 24—30: O kąkolu na roli.				
5	N.	5 po 3 Kr. Agaty p. m.	23	N. 33 po Z. Św. Klem.
6	P.	Tytusa b., Doroty p. m.	24	Ksenji
7	W.	Romualda op.	25	Grzegorza teologa
8	Ś.	Jana de Matha w.	26	Ksenofonta
9	C.	Cyryla bp. Al., Ap. p. m.	27	Przen. rel. Jana Złot.
10	P.	Scholastyki p.	28	Efrema Syr.
11	S.	M. B. z Lourdes	29	Przen. rel. Ignacego m.
7. Ewang. u św. Mat. 20, 1—16: O robot. w winnicy.				
12	N.	**Starozap.** 7 Zał. Serw.	30	**N. O wet. i far.** W. Bis.
13	P.	Grzegorza II pap.	31	Grusa i Jana
14	W.	Walentego m.	1	**Luty.** Tryfona
15	Ś.	Klaudj. de la Colomb.	2	**Ofiar. P. J. w św.**
16	C.	Juljanny p. m.	3	Symeona i Anny
17	P.	Juljana Kapad.	4	Izydora
18	S.	Symeona b. m.	5	Agaty
8. Ewang. u św. Łuk. 8, 4—15: O siejbie na roli.				
19	N.	**Mięsopust.** Gabina m.	6	**N. O mar. syn.** Wuk. bp.
20	P.	Leona bp.	7	Partenja m.
21	W.	Feliksa bp.	8	Teodora
22	Ś.	Stol. św. Piotra w Antj.	9	Nicefora
23	C.	Piotra Damj. DK.	10	Charłampjusza
24	P.	Macieja ap.	11	Błażeja
25	S.	Cezarjusza	12	Melecjusza
9. Ewang. u św. Łuk. 18, 31—43: Jezus przep. Swą mękę.				
26	N.	**Zapustna.** Wiktora m.	13	**N. Miasop.** Martynjana
27	P.	Aleksandra, Gabrj. M.	14	Aksencjusza
28	W.	Teofila, Romana	15	Onesyma

Zmiany księżyca.

☽	dnia 2	o godz.	14.16
○	„ 10	„	14.01
☾	„ 17	„	15.08
●	„ 24	„	13.44

Przysłowia:

Gdy wiatr ostry w lutym wieje, To chłop ma dobrą nadzieję.

Gdy we Wstępną Środę deszcz pada, To rój gąsienic kapustę zjada.

Gdy na św. Wałek deszcze, Mrozy wrócą jeszcze.



Marzec

Że praca moja i męczeństwo moje
I te westchnienia z za więziennej ściany
Przejdą bez śladu w mogilne podwoje,
Że zapomniany
Stradzone kości na spoczynek złożę,
Smutno mi Boże.

Ludomir Benedyktowicz.

A. Grottger „Lituania" Znak

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.
1	Ś.	*Popielec.* Albina b.	16	Pamfila
2	C.	Pawła m.	17	Teodora
3	P.	Kunegundy ces.	18	Leona W. pap.
4	S.	Kazimierza królew.	19	Archipa
10. Ewang. u św. Mat. 4, 1—11: Kuszenie P. Jez. na pust.				
5	N.	**Wstępna.** Hadrjana m.	20	**N. 1. Postu.** Leona
6	P.	Perpetuy i Felic. mm.	21	Tymoteusza
7	W.	Tomasza z Akw. DK.	22	Eugenji
8	S.	*Such.* Wincent. Kadł.	23	Polikarpa
9	C.	Franciszki Rzym.	24	Znal. gł. św. Jana Chrz.
10	P.	*Such.* 40 Męczenn.	25	Tarasa
11	S.	*Such.* Sofronjusza bp.	26	Porfirja
11. Ewang. u św. Mat. 17, 1—9: O Przem. Pańskiem.				
12	N.	**Sucha** Grzeg. W. p. DK.	27	**N. 2. Postu.** Prokopa
13	P.	Krystyny p. m.	28	Wasylja pust.
14	W.	Matyldy ces.	1	**Marzec.** Eudokji
15	S.	Klemensa Dworz. w	2	Teodata
16	C.	Cyrjaka m.	3	Eutropjusza
17	P.	Jana Sark. m., Patr. bp.	4	Harasyma i Paw.
18	S.	Cyryla Jeroz. bp. DK.	5	Konona m.
12. Ewang. u św. Łuk. 11, 14—28: P. Jezus wyp. szat.				
19	N.	**Głucha.** *Józ. Obl. NMP.*	6	**N. 3 P. Chrestop.** 42 m.
20	P.	Archippa	7	Wasylja
21	W.	Benedykta op.	8	Teofilakta
22	S.	Oktawjana m.	9	40 męcz. z Sebastji
23	C.	Józefa Oriol.	10	Kondrata
24	P.	Gabrjela arch.	11	Sofronjusza
25	S.	*Zwiastowanie NMP.*	12	Teofana
13. Ewang. u św. Jana 6, 1—15: P. J. karmi cud. 5000 osób.				
26	N.	**Środopost.** Dyomasa	13	**N. 4. Postu.** Nicefora
27	P.	Jana Damasc. DK.	14	Benedykta
28	W.	Jana Kapistrana w.	15	Agapa m.
29	S.	Jony i Barach. mm.	16	Sawyna i Juljana
30	C.	Gwiryna	17	Aleksego
31	P.	Balbiny p.	18	Cyryla i Aleksandra

Zmiany księżyca.

☽	dnia	4	o godz.	11·23
●	„	12	„	3.46
☾	„	18	„	22.05
○	„	26	„	4.20

Przysłowia:

Gdy suchy marzec,
Kwiecień mokry,
Maj przychłodny,
Wtenczas, wnosi gospodarz,
Nie będzie rok głodny.

Zrazu chmurny, w środku błotny,
Snop czyni dużo omłotny.
Jeśli w dzień św. Kazimierza pogoda,
To na ziemniaki uroda.

Kwiecień

Przysiągłem Tobie na cześć...
na honor — i na imię —
na honor... polskich żołnierzy!
We krwi i harmat dymie
życie mi trzeba nieść,
i umrzeć, jako należy
za Twoje Imię!
Józef Mączka.



A. Grottger „Lituania" Przysięga

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.
1	S.	Hugona b.	19	Chryzanta i Darji
14. Ew. u św. Jana 8, 46—59: Żydzi chcą P. Jezusa ukam.				
2	N.	**Czarna.** Fran. z Pauli	20	**5 Postu.** Męcz. z pust
3	P.	Ryszarda bp.	21	Jakóba
4	W.	Izydora bp. DK.	22	Bazylego
5	S.	Wincentego Ferer.	23	Nikona i 200 uczniów
6	C.	Celestyna pap.	24	Zacharjasza
7	P.	*M. B. Bolesnej*	25	*Zwiastowanie NMP.*
8	S.	Dionizego bp.	26	Gabrjela archanioła
15. Ew. u św. Mat. 21, 1—9: O wjeździe P. J. do Jeroz.				
9	N.	**Palmowa.** Marji Kleof.	27	**N. Palmowa.** Matrony
10	P.	Ezechjela pr.	28	Hilarjona
11	W.	Leona W. pap. DK.	29	Marka i Cyryla
12	S.	Juljusza pap.	30	Jana
13	C.	*W. Czwartek.* Hermen.	31	*W. Czwartek*
14	P.	*W. Piątek.* Justyna m.	1	**Kwiecień.** *W. Piątek*
15	S.	*W. Sobota.* Anastazji	2	*W. Sobota.* Tytusa
16. Ew. u św. Marka 16, 1—7: O zmartw. P. Jezusa.				
16	N.	**Wielkan.** Bened. J. Lab.	3	**N. Wielk.** Nikity i Teod.
17	P.	*Poniedz. W.* Aniceta p.	4	*P. Wielkanoc.* Józefa
18	W.	Apolonjusza	5	*W. Wielk.* Teod. i tow.
19	S.	Leona pap.	6	Eutychjusza
20	C.	Teodora w.	7	Goeorgjusza
21	P.	Anzelma bp. DK.	8	Herodjona
22	S.	Sotera i Kajusa pap.	9	Eupsychjusza
17. Ewang u św. Jana 20, 19—31: O niewier. Tomaszu.				
23	N.	**Przewodn.** Wojciecha	10	**N. św. Tom.**
24	P.	Fidelisa z Sigmar m.	11	Antypy
25	W.	Marka Ewang.	12	Wasylja
26	S.	*N. M. P. Dobrej Rady*	13	Artemona
27	C.	Piotra Kaniz. DK.	14	Martyny
28	P.	Pawła od Krzyża w.	15	Arystarcha
29	S.	Piotra z Werony m.	16	Arafji
18. Ew. u św. Jana 10, 11-16: O dobrym Pasterzu.				
30	N.	**2 po Wielk.** Katarzyny	17	**N. Myranosyć.** Sym.

Zmiany księżyca.

dnia 3 o godz. 6·56
„ 10 „ 14·38
„ 17 „ 5·17
„ 24 „ 19.38

Przysłowia:

Sprzyja nam rok, gdy wilgotny
Kwiecień, gdy nie, bardzo słotny.

Deszcz na Wielki Piątek
Napcha każdy kątek.

W kwietniu gdy nieba
Od północy grożą
Grzmotem, chwal Boga,
Zdrowie, żyzność wróżą.

Taka pszenica zwykle
Urodzajna bywa,
Która na św. Wojciech
Przepiórkę pokrywa.

Maj



Krwią ściekły wody Dniepru i Niemna,
Z Wisłą krwi potok do morza ściekł.
I tej krwi bratniej siła tajemna
Sprzęgła, co rozprzągł niewoli wiek.
Sewerynа Duchińska.

A. Grottger „Lituania" Bój

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.
1	P.	Filipa i Jakóba ap.	18	Jana Dekap.
2	W.	Atanazego b. DK.	19	Teodora
3	S.	*NMP. Król. Kor. Pol.*	20	Jana W.
4	C.	*Znalez. św. Krzyża*	21	Januarego
5	P.	Piusa V pap.	22	Teodora
6	S.	Jana w Oleju	23	Georgja m.
19. Ew. u św. Jana 16, 16—22: „Maluczko a nie ujrz. Mnie".				
7	N.	**3 po W.** *Opieki św. Józ.*	24	**N. O rozsłabsz.** Saby m.
8	P.	Stanisława bp. m.	25	Marka op.
9	W.	Grzeg. z Naz. bp. DK.	26	Bazylego m.
10	Ś.	Antonina bp., Izyd. rol.	27	Symeona km.
11	C.	Fran. de Hieronymo	28	Jazona
12	P.	Pankrac. i Achil. mm.	29	9 męcz. w Kyz.
13	S.	Serwac., Rob. Bel. DK.	30	Jakóba ap.
20. Ewang. u św. Jana 16, 5—14: O odejściu do Ojca.				
14	N.	**4 po W.** Bonifacego m.	1	**Maj. N. O Samarj.** Jer.
15	P.	Zofji, Jana de la Sal. w.	2	Atanazego
16	W.	Andrz Bob., Jana Nep.	3	Teodozjusza
17	Ś.	Paschalisa Baylon.	4	Pelagji
18	C.	Wenancjusza m.	5	Ireny
19	P.	Pudencjanny	6	Joba
20	S.	Bernardyna ze Sienny	7	Pamięć św. Krzyża
21. Ew. u św. Jana 16, 23—30: O prawdziwej modlitwie.				
21	N.	**5 po W.** Tymot. m.	8	**N O. śliporoż.** Jana t.
22	P.	*D. krz.* Julji pm., Hel. p.	9	Mikołaja
23	W.	† Dezyderjusza bp. m.	10	Szymona ap.
24	Ś.	† *NMP. Wspom. Wiern.*	11	Mokia, Metodego
25	C.	**Wniebowst.** Grzeg. VII	12	**Wniebowst.** Epifamj.
26	P.	Filipa Nereusza	13	Glikerji
27	S.	Bedy DK., Jana pap. m.	14	Izydora m.
22. Ew. u św. Jana 15, 26—27; 16, 1—4: Obiet. zesł. D. św.				
28	N.	**6 po W.** Augustyna bp.	15	**N. Św. Otciv.** Pachomj.
29	P.	Marji Magd. de Paz. p.	16	Teodora i Modesta
30	W.	Feliksa pap. m.	17	Andronika
31	S.	*NMP. Pośr. łask.* Anieli	18	Teodata, Julji

Zmiany księżyca.

dnia 2 o godz. 23.39
„ 9 „ 23.04
„ 16 „ 13,50
„ 24 „ 11.07

Przysłowia:

Gdy się maj grzmotem
Odezwie na wschodzie,
To sprzyja sianu
I zbożu w urodzie.

Gdy się przytrafi maj chłodny,
Dla zbóż, win i traw wygodny.

Mokry maj,
Rośnie żytko jako gaj.

Na św. Filipa
Jeśli deszcz rzęsisty,
Będzie plon dobry
I czysty.

Deszcz w Zielone Świątki
Da Bóg wielkie sprzątki.

Czerwiec

Że dzieciom moim w spuściźnie zostawię
Żywot rozbitków i gorycz wątpienia,
Nie mogąc myślą przeniknąć na jawie
Dróg przeznaczenia,
Ni wiedzieć jakie zabłysną im zorze,
Smutno mi Boże.
Ludomir Benedyktowicz.



A. Grottger „Lituania" Duch

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.
1	C.	Bł. Jabóba Strepy bp.	19	Patrycjusza
2	P.	Sadoka i Tow. mm.	20	Talalejusza
3	S.	*Wigilja.* Klotyldy p.	21	Konstantyna i Heleny
23. Ewang. u św. Jana 14, 23—31: O zesł. Ducha Św.				
4	N.	**Zesłanie Ducha Św.**	22	**Zesłanie Ducha Św.**
5	P.	*Poniedz. S.* Bonif. bm.	23	**Trójcy Przenajśw.**
6	W.	Norberta bp.	24	Symeona
7	Ś.	*Such.* Roberta op.	25	Znal. głowy Jana Chrz.
8	C.	Medarda bp.	26	Karpusa
9	P.	*Such.* Felicjana m.	27	Teraponta
10	S.	*Such.* Bogum. b., Małg.	28	Nikity
24. Ew. u św. Mat. 28, 18—20: „Dana Mi jest wszelka wł."				
11	N.	**1 po Z. Św. Trójcy Prz.**	29	**N. 1 po Z. Św. Wsich Św.**
12	P.	Jana a S. Fakundo	30	Izaaka dalm.
13	W.	Antoniego z Padwy	31	Hermeusza m.
14	Ś.	Bazylego bp. DK.	1	**Czerwiec.** Justyna
15	C.	**Boże Ciało.** Wita m.	2	Nikifora
16	P.	Jana Franc. Regis	3	Łucjana
17	S.	Marejana m.	4	Mitrofana
25. Ewang. u św. Łuk. 14, 16—24: O wezwaniu na ucztę.				
18	N.	**2 po Z. Św.** Efrema DK.	5	**2 N. po Z. Św. B. Ciało**
19	P.	Juljanny p.	6	Besarjona
20	W.	Sylwerjusza pap. m.	7	Teodata
21	Ś.	Ałojzego Gonzagi	8	Teodora
22	C.	Paulina bp.	9	Cyryla
23	P.	*N. Serca Jezusowego*	10	*N. Serca Jezusowego*
24	S.	Narodz. Jana Chrzcic.	11	Bartłomieja i Barn. ap.
26. Ewang. u św. Łuk. 15, 1—10: O zgub. owcy i groszu.				
25	N.	**3 po Z. Św.** Wilhel. op.	12	**N. 3 po Z. Św.** Onufr.
26	P.	Jana i Pawła mm.	13	Akwiliny
27	W.	Władysława króla	14	Jełysego i Metodego
28	Ś.	Ireneusza bp. m.	15	Amosa i Hieronima
29	C.	**Piotra i Pawła** ap.	16	Tychona
30	P.	Emilji m.	17	Manuela

Zmiany księżyca.

dnia 1 o godz. 12.53
„ 8 „ 6.05
„ 15 „ 0.26
„ 23 „ 2.23
„ 30 „ 22.41

....

Przysłowia:

Czerwiec po deszczowym maju,
Często dżdżysty w naszym kraju.

Deszczu, gdy nie pada wiele,
Urodzaj się dobry ściele.

Gdy się Medard rozpłacze,
A Jaś nie utuli,
Popłacze pewnie
Aż do Urszuli.

Deszcz na Wita,
Źle z jęczmiony, źle na żyta.
A gdy jeszcze Chrzciciel skropi,
Już ich wtedy nikt nie skopi.

Pogoda na Wita,
To dobrze na żyta.

....



Lipiec

Cześć tym, co depczą Sybiru lody,
Orle pisklęta wyparte z gniazd,
Co z pod bieguna jęk piersi młodej
Ślą ku Ojczyźnie w promieniach gwiazd.

Seweryna Duchińska

A. Grottger „Lituania“ Widzenie

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.
1	S.	*Przenajśw. Krwi P. Jez.*	18	Leontja m.
27. Ewang. u św. Łuk. 5, 1—11: O obfitym połowie ryb.				
2	**N.**	**4 po Z. Św.** *Naw. NMP.*	19	**N. 4 po Z. Św.** Judy ap.
3	P.	Leona II pap., Anatol b.	20	Metodego
4	W.	Teodora bp.	21	Juljana Tarsyjsk.
5	Ś.	Antoniego Mar. Zac.	22	Euzebjusza
6	C.	Izajasza pr.	23	Agrypiny
7	P.	Cyryla i Metodego	24	**Nar. św. Jana Chrz.**
8	S.	Elżbiety król.	25	Febronji
28. Ewang. u św. Mat. 5, 20—24: O sprawiedliwości faryz.				
9	**N.**	**5 po Z. Św.** *NMP. K. P.*	26	**N. 5 po Z. Św.** Dawida
10	P.	7 Braci męcz.	27	Samsona
11	W.	Piusa I pap. m.	28	Cyrusa i Jana
12	Ś.	Jana Gwalberta op.	29	**Piotra i Pawła** ap.
13	C.	Małgorzaty p. m.	30	Sobór św. 12 Apost.
14	P.	Bonawentury bp. DK.	1	**Lipiec.** Kosmy i Dam.
15	S.	Henryka ces.	2	*P. K. Przecz. Bogarodz*
29. Ewang. u św. Marka 8, 1—9: O cudownem nakarmieniu.				
16	**N.**	**6 po Z. Św.** *MB. Szkap.*	3	**N. 5 po Z. Św.** Jakiuta m
17	P.	Aleksego w.	4	Andrzeja ap.
18	W.	Szymona z Lipnicy w.	5	Cyryla i Metodego
19	Ś.	Wincentego à Paulo w.	6	Anastazego
20	C.	Czesława w.	7	Tomy i Akakja
21	P.	Praksedy p.	8	Prokopa
22	S.	Marji Magdaleny	9	Pankracego
30. Ewang. u św. Mat. 7, 15—21: O fałszywych prorokach.				
23	**N.**	**7. po Z. Św.** Apol. bp. m.	10	**N. 7 po Z. Św.** Ant. P.
24	P.	Kingi kr., Krystyny pm.	11	Eufemji i Olgi
25	W.	Jakóba ap.	12	Prokła i Hilarego
26	Ś	Anny matki NMP.	13	Sob. Arch. Gabrjela
27	C.	Pantaleona m.	14	Akiły
28	P.	Wiktora pap.	15	Włodzimierza
29	S.	Marty p.	16	Antynohena
31. Ewang. u św. Łuk. 16, 1—9: O niesprawiedl. włodarzu.				
30	**N.**	**8 po Z. Św.** Ab. Sen. mm	17	**N. 8 po Z. Św.** Martyny
31	P.	Ignacego z Loyoli w.	18	Emiljana

Zmiany księżyca.

dnia 7 o godz. 12.51
„ 14 „ 13.24
„ 22 „ 17.03
„ 30 „ 5.44

Przysłowia:

Deszcz w pierwszy dzień,
lub drugiego,
Deszczu czterdziesto-
dniowego
Przyczyną, skąd mokre
żniwa
I potem czas drogi bywa.

W dzień Marji Nawiedzin,
Gdy deszczyk porosi,
Czterdzieści dni podob-
nych
Po sobie przynosi.

Jeśli deszcz na św. Eljasza
To zgnoi się pasza.

Dzień św. Jakóba
Przed wschodem pogodny
Że zapełnisz gumna,
Masz znak niezawodny.

Sierpień

Wyleć, wyleć, orle młody!
Ponad ziemię ponad grody
Z myślą, pieśnią wyleć społem!
Potocz młodą duszę kołem!
Wyleć śmiało i wysoko,
I odetchnij w świat szeroko!

Wincenty Pol.



A. Grottger — Życie kresowe

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.
1	W.	Piotra w okowach	19	Makryny
2	Ś.	*NMP. An.*, Alf. Lig. DK.	20	Ilji (Eljasza), pr.
3	C.	Znal. św. Szczepana m.	21	Symeona
4	P.	Dominika w.	22	Marji Magdaleny
5	S.	*MB. Śnieżnej*	23	Trofima i Teofila
32. Ewang. u św. Łuk. 19, 41—47: O zburzeniu Jerozolimy.				
6	N.	**9 po Z. Sw.** *Przem. P.*	24	**N. 9 po Z. S.** Bor. i Hlib.
7	P.	Kajetana, Donata m.	25	Zejścia św. Anny
8	W.	Cyrjaka m.	26	Hermolaj. i Parascew.
9	Ś.	Jana Vianney, Rom. m.	27	Pantalejmona
10	C.	Wawrzyńca m.	28	Prochora
11	P.	Zuzanny p.	29	Kalinika
12	S.	Klary p.	30	Sylasa i innych ap.
33. Ewang. u św. Łuk. 18, 9—14: O faryzeuszu i celniku.				
13	N.	**10 po Z. Sw.** H. i K. mm.	31	**N. 10 po Z. Sw.** Edokima
14	P.	*Wigilja.* Euzebjusza	1	**Sierpień.** 7 braci Mach.
15	W.	**Wniebowzięcie NMP.**	2	Przen. rel. Szczepana
16	Ś.	Joachima, ojca NMP.	3	Izaaka i Dalmata
17	C.	Jacka w.	4	7 Młodzieńców
18	P.	Heleny ces.	5	Eusygnjusza
19	S.	Ludwika z Tuluzy bp.	6	*Przemienienie Pańskie*
34. Ewang. u św. Marka 7, 31—37: O głuchoniemym.				
20	N.	**11 po Z. Sw.** Bernarda.	7	**N. 11 po Z. Sw.** Demeteja
21	P.	Joanny Fr. de Chantal.	8	Emiljana
22	W.	Tymoteusza m.	9	Macieja ap.
23	Ś.	Filipa Benicjusza	10	Wawrzyńca
24	C.	Batrłomieja ap.	11	Euplusa
25	P.	Ludwika kr.	12	Focjusza i Aniceta
26	S.	*MB. Częstochowskiej*	13	Maksyma
35. Ewang. u św. Łuk. 10, 23—37: O miłosiernym Samaryt.				
27	N.	**12 po Z. S.** *Niep. Ser. M.*	14	**N. 12 po Z. Sw.** Miche.
28	P.	Augustyna bp. DK.	15	**Wniebow. NMP.** (Uśp).
29	W.	Ścięcie św. Jana Chrz.	16	Cud obrazu P. Jezusa
30	Ś.	Róży Limańskiej	17	Mirona
31	C.	Rajmunda Nonnata w.	18	Flora i Laury

Zmiany księżyca.

dnia 5 o godz. 20.32
„ 13 „ 4.49
„ 21 „ 6.48
„ 28 „ 11.13

Przysłowia:

Gdy z początku sierpnia
Spieka wszędzie,
Tedy długa zima będzie.

Jak widzisz plon
Na grzyby,
Takieć żyta bez pochyby.

Na Wawrzyniec pokazuje,
Jaka jesień następuje.

Pogoda na Wniebowzię-
[cie,
Ciężkie ziarno
Wnet po sprzęcie.

Bartłomieja św. dzień
W jakiej zastaje
Porze, taką jesień
Bez pochyby daje.

Susza w św. Bartło-
[mieja,
Mroźnej zimy jest na-
[dzieja.

Wrzesień



...Wyście młodzi;
Lecz gdy dojdą wasze lata,
Znać wam trzeba, że ze świata
Milczkiem schodzić się nie godzi!...

„Wiele w świecie się przedziało,
Dziać się będzie jeszcze wiele;
W stepach mogił tam niemało
I niemało dusz jest w ciele...”

Wincenty Pol.

A. Grottger — Życie kresowe

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.
1	P.	Bronisławy, Idziego.	19	Andrzeja
2	S.	Stefana kr.	20	Samuela
36. Ewang. u św. Łuk. 17, 11—19: O 10 trędowatych.				
3	N.	**13 po Z. Św.** *M.B. Poc.*	21	**N. 13 po Z. Św.** Tad. ap.
4	P.	Rozalji p.	22	Agatonika
5	W.	Wawrzyńca Justyn.	23	Łupa m.
6	Ś.	Zacharjasza pr.	24	Eutycha
7	C.	Melchjora Grodz. m.	25	Bartłomieja
8	P.	*Narodzenie NMP.*	26	Hadrjana
9	S.	Piotra Klawera	27	Pimena
37. Ewang. u św. Mat. 6, 24—33: O służeniu Bogu i mamonie.				
10	N.	**14. po Z. Św.** *Im. Marji*	28	**N. 14. po Z. Św.** Augusta
11	P.	Piotra i Jacka mm.	29	Ścięcie św. Jana
12	W.	Gwidona	30	Aleksandra
13	Ś.	Filipa m.	31	Pół. p. Przen. Dziewicy
14	C.	*Podwyż. św. Krzyża*	1	**Wrzesień.** Symeona
15	P.	Nikodema m.	2	Mamanta
16	S.	Korneljusza i Cypr. m.	3	Antyma i Teokt.
38. Ew. u św. Łuk. 7, 1–6: O wskrzeszeniu młodz. z Naim.				
17	N.	**15 po Z. Św.** *M. B. Boles.*	4	N. **15 po Z. Ś.** Wawył.
18	P.	Józefa z Kupertynu	5	Zacharjasza
19	W.	Januarego bp. m.	6	Cud. Arch. Michała
20	Ś.	*Such.* Eustachego m.	7	Sozanta
21	C.	Mateusza ap. ew.	8	**Narodz. Przecz. Dzie**
22	P.	*Such.* Tomasza z W. bp.	9	Joachima i Anny
23	S.	*Such.* Tekli p. m.	10	Menodory
39. Ewang. u. św. Łuk. 14, 1—11: Uzdrowienie opuchłego.				
24	N.	**16 po Z. Św.** *NMP. Oku.*	11	**N. 16 po Z. Św.** Teodory
25	P.	Władysława z Gieln.	12	Antonoma
26	W.	Męcz. Kanadyjsk. T. J.	13	Korneljusza
27	Ś.	Kosmy i Damjana mm.	14	**Podwyż. św. Krzyża**
28	C.	Wacława kr.	15	Nikity
29	P.	*Michała arch.*	16	Eufemji
30	S.	Hieronima DK.	17	Zofji

Zmiany księżyca.

dnia 4 o godz. 6,04
„ 11 „ 22.30
„ 19 „ 19.21
„ 26 „ 16.36

Przysłowia:

We wrześniu na wschodzie
Gdy grzmot się odzywa,
Śmierć w ludziach swoje
Pod jesień ma żniwa.
W święty Idzi pogoda
To dla siewu wygoda.

Gdy św. Mateusz
W śniegu przybieżał,
Będzie po pas
Całą zimę leżał.

Jeśli św. Michał
Deszczem nie usłuży,
Dobrą to i suchą
Wiosnę wróży.

Grzmot w dzień św. Michała
Da plon, że aż Bogu chwała.

Październik

Tam świat bystry, trzeźwy, czujny,
Jak na czatach błysk oszczepu;
Jak młodości umysł bujny,
Tak szeroki oddech stepu.

W jarach kraj ku rzekom spada,
Ziemia głuchym jękiem gada,
Dumka mówi o przeszłości,
A wiatr bieli stare kości...

Wincenty Pol.



A. Grottger — Życie kresowe

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.
40. Ew. u św. Mat. 22, 34—46: O najprzedniej. przykaz.				
1	**N.**	**17 po Z. Św.** *M. B. Róż.*	18	**N. 17 po Z. Św.** Eumen.
2	P.	Aniołów Stróżów	19	Trofima
3	W.	Teresy od Dziec. Jez.	20	Eustachjusza
4	Ś.	Franciszka z Asyżu	21	Kondrata
5	C.	Placyda i Tow. mm.	22	Fokasa
6	P.	Brunona op.	23	Pocz. św. Jana Chrzc.
7	S.	Marka pap. w.	24	Tekli
41. Ewang. u św. Mat. 9, 1—8: O uzdrow. pow. ruszonego.				
8	**N.**	**18 po Z. Ś.** Brygidy kr.	25	**N. 18 po Z. Św.** Eufroz.
9	P.	Dionizego bp. m.	26	Jana Ewang.
10	W.	Franciszka Borgjasza	27	Kalistrata
11	S.	Emiljana	28	Charytona
12	C.	Maksymiljana b.	29	Cyrjaka
13	P.	Edwarda kr.	30	Grzegorza
14	S.	Kaliksta pap. m.	1	**Październ.** *Pokr. M. P.*
42. Ewang. u św. Mat. 22, 2—14: O szacie godowej.				
15	**N.**	**19 po Z. S.** Teresy, Jad.	2	**N. 19 po Z. Św.** Cyprj.
16	P.	Gerarda Majelli w.	3	Dionizjusza
17	W.	Małgorzaty M. Alacoq.	4	Eroteusza
18	Ś.	Łukasza ew.	5	Charytyny
19	C.	Piotra z Alkant.	6	Tomasza ap.
20	P.	Jana Kantego	7	Sergjusza i Bachusa
21	S.	Urszuli p. m.	8	Pelagji
43. Ewnang. u św. Jana 4, 46—53: O uzdrowieniu syna król.				
22	**N.**	**20 po Z. Św.** *Dzień mis.*	9	**N. po Z. Św.** Jakóba ap.
23	P.	Seweryna bp.	10	Eulapjusza
24	W.	Rafała arch.	11	Filipa ap. i Teofana
25	Ś.	Chryzanta i Darji m.	12	Prowa i Tanacha
26	C.	Ewarysta pap. m.	13	Karpasa
27	P.	Florencjusza m.	14	Parascewy
28	S.	Szymona i Tadeusz. ap.	15	Eutymjusza
44. Ewang. u św. Jana 18, 34—37: Pan Jezus przed Piłatem.				
29	**N.**	**21 po Z. Św.** *Chr. Króla.*	16	**N. 21 po Z. Św.** Longina
30	P.	Alfonsa Rodr.	17	Ozeasza
31	W.	*Wig.* Wolfganga bp.	18	Łukasza ewang.

Zmiany księżyca

(pełnia)	dnia 3	o godz.	18.08
(ostatnia kwadra)	„ 12	„	17.46
(nów)	„ 19	„	6.45
(pierwsza kwadra)	„ 25	„	23.21

Przysłowia:

Jeśli październik
Jest wietrzny i mroźny
To nie będzie zato
Styczeń, luty groźny.



Listopad

...A na środku tej komnaty
Stał stół duży a na stole
Stał krucyfiks strojny w kwiaty.
W tym to domu, w takiej szkole
Uczył mentor mnie miłości,
Przy porannej owej zorzy;
I pierwiastki mej młodości
Jam bojaźni święcił bożej...

Wincenty Pol.

A. Grottger — Życie kresowe

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.
1	S.	**Wszystkich Swiętych**	19	Joela pr.
2	C.	*Dzień Zaduszny*	20	Artemjusza
3	P.	Huberta bp.	21	Hilarjona
4	S.	Karola Boromeusza bp.	22	Abercjusza
45. Ewang. u św. Mat. 22, 15—21: O monecie czynsz.				
5	N.	**22 po Z. Św.** Emeryka	23	**N. 22 po Z. Św.** Jakóba
6	P.	Leonarda	24	Arety panny
7	W.	Engelberta bp. m.	25	Marcjana
8	S.	Gotfryda bp.	26	**Demetrjusza W. m.**
9	C.	Teodora m.	27	Nestora
10	P.	Andrzeja z Awel.	28	Terencjusza
11	S.	Marcina bp.	29	Anastazji m.
46. Ewang. u św. Mat. 9, 18—26: O córeczce Jaira.				
12	N.	**23 po Z. Św.** Marcina p.	30	**N. 23 po Z. Św.** Zenob.
13	P.	Stanisława Kostki	31	Stachjusza
14	W.	Jozafata b. m.	1	**Listopad.** Kaliksta
15	S.	Gertrudy pn.	2	Akindyna
16	C.	*MB. Ostrobramskiej*	3	Akepsymy m.
17	P.	Salomei pn.	4	Joannika
18	S.	Romana m.	5	Halaktjona i Epist.
47. Ewang. u św. Mat. 13, 31—35: Przypow. o ziarn. gorcz.				
19	N.	**24 po Z. Św.** Elżbiety	6	**N. 24 po Z. Św.** Pawła
20	P.	Feliksa Walezj.	7	Łazarza
21	W.	*Ofiarowanie NMP.*	8	**Sobór Michała Arch.**
22	S.	Cecylji p. m.	9	Onezyfora
23	C.	Klemensa pap. m.	10	Erasta
24	P.	Jana od Krzyża DK.	11	Miny i Wikt.
25	S.	Katarzyny p. m.	12	**Jozafata**
48. Ewang. u św. Mat. 24, 15—35: O wielkiem spustosz.				
26	N.	**25 po Z. Św.** Jana Berch.	13	**N. 25 po Z. S.** Jana Złot.
27	P.	Walerjana bp.	14	Filipa ap.
28	W.	Zdzisławy p.	15	Hurja i Sams.
29	S.	Saturnina m.	16	Mateusza ap. ew.
30	C.	Andrzeja ap.	17	Grzegorza

Zmiany księżyca.

dnia 2 o godz. 8.59
„ 10 „ 13.18
„ 17 „ 17.24
„ 24 „ 8.38

Przysłowia:

Na WW. Świętych
Jeśli ziemia skrzepła,
Cała zima będzie ciepła.
A jeśli słotno,
Będzie o drzewo markotno.

Około dnia WW. Św.
Zimę poznasz
Z drzew naciętych.
Jeśli bowiem jodła sucha,
Nie bardzo trzeba kożucha.
Jeśli mokra mroźna zima
Przez długie czasy potrzyma.
Buk im suchszy,
Suchsze mrozy,
Wilgotny, mokry, czas wróży.

Od tego, jaki dzień trzeci,
Podobny się marzec kleci.

Grudzień

Hej nie zginęła jeszcze ojczyzna
Póki niewiasty to czują,
Bo z ich to serca płynie trucizna,
Którą wrogowie się trują. —

Wincenty Pol.



A. Grottger Przejście przez granicę

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.
1	P.	Eligjusza bp	18	Platona i Romana
2	S.	Bibjanny p. m.	19	Andjusza i Barlaama
49. Ewang. u św. Łuk. 21, 25—33: O znak. dnia ost.				
3	N.	**1 Adw.** Fran. Ksaw.	20	**N. 26 po Z. Św.** Grzeg.
4	P.	Piotra Chryz. DK.	21	**Ofiar. NMP. w świąt.**
5	W.	Sabby op.	22	Filemona i Cecylji
6	Ś.	Mikołaja b.	23	Amfilocha i Grzegorza
7	C.	Ambrożego bp. DK.	24	Katarzyny
8	P.	**Niepok. Pocz. NMP.**	25	Klemensa
9	S.	Leokadji p., Walerji p.	26	Alipjusza
50. Ewang. u św. Mat. 11, 2—10: O Janie Chrz. w więzien.				
10	N.	**2 Adw.** *NMP. Loret.*	27	N. 27 po Z. Sw. Jakóba
11	P.	Damazego pap.	28	Stefana
12	W.	Aleksandra m.	29	Paramona
13	Ś.	Łucji p. m.	30	Andrzeja ap.
14	C.	Spirydjona bp.	1	**Grudzień.** Nahuma pr.
15	P.	Walerjana bp.	2	Abdakuma
16	S.	Euzebjusza bp. m.	3	Sofonjasza
51. Ew. u św. Jana 1, 19—28: O świadectwie Jana Chrz.				
17	N.	**3 Adw.** Łazarza bp.	4	N. 28 po. Z. Sw. Barb.
18	P.	*Oczekiwanie NMP.*	5	Sabby
19	W.	Nemezjusza b.	6	**Mikołaja Cudotwórcy**
20	Ś.	*Such.* Teofila m.	7	Ambrożego
21	C.	Tomasza ap.	8	Potapjusza
22	P.	*Such.* Zenona m.	9	**Niepok. Pocz. NMP.**
23	S.	*Such.* Wiktorji p. m.	10	Minasa i Hermogenesa
52. Ewang. u św. Łuk. 3, 1—6: O posłannictwie Jana.				
24	N.	**4 Ad.** *Wig.* Adam. i Ew.	11	**N. Praot. (29 po Z. Św.)**
25	P.	**Boże Narodzenie**	12	Spirydjona
26	W.	*Szczepana pierw. męcz.*	13	Eugenjusza i tow. m.
27	Ś.	Jana ap. i ewang.	14	Tyrtasa i tow. męcz.
28	C.	Młodzianków	15	Eleuterjusza
29	P.	Tomasza bp. m.	16	Aggeusza
30	S.	Eugenjusza bp.	17	Daniela i 3 młodz.
53. Ewang. u św. Łuk. 2, 33—40; O pror. Symeona i Anny.				
31	N.	Po B. Nar. Sylw. pap.	18	N. p. B. N. (30 p. Z. Św.) Sebast.

Zmiany księżyca.

dnia 2 o godz. 2.31
„ 10 „ 7.24
„ 17 „ 3.23
„ 23 „ 21.09
„ 31 „ 21.54

Przysłowia:

Jaki czwarty — grudzień taki,
Stycznia — piąty czyni znaki,
Szósty — luty,
Siódmy — marzec.
I tak dalej liczy starzec.

W pierwszym tygodniu
Pogoda stała,
Będzie zima długo biała.

Gdy w Adwencie sadź
Na drzewach się pokazuje,
To rok urodzajny
Nam zwiastuje.

Mroźne Gody,
Wczesne wody,
A jak słota, późno błota.

Na Pasterkę po wodzie,
Alleluja po lodzie.

Kalendarzyk Marjański

wszystkich świąt i uroczystości Matki Boskiej w przeciągu całego roku.

W styczniu:

2. Objawienie się Matki Boskiej w Saragosie jeszcze za Jej życia.
6. Gody w Kanie Galilejskiej, ostatnie słowa Marji zapisane w Ewangelji.
20. Objawienie się Matki Boskiej Alfonsowi Ratisbone w kościele rzymskim pod nazwą „Della Strata".
23. Zaślubiny Matki Boskiej.

W lutym:

Miesiąc luty, cały poświęcony Najświętszej Pannie z Lourdes.

2. M. B. Gromnicznej: Ofiarowanie.
7. Powrót z Egiptu.
11. Najśw. Panny z Lourdes.
14. 2-gie objawienie się Najśw. Panny w Lourdes.
17. Ucieczka do Egiptu.
25. Wytryśnięcie cud. źródła w miejscu, gdzie N. P. się objawiła w Lourdes.

W marcu:

18. Objawienie się N. P. M. Miłosiernej.
25. Zwiastowanie N. M. P.
25. Pamiątka 16-go objawienia się N. P. M. w Lourdes i wypowiedzenie: „Jam jest Niepokalanie Poczęta".

Piątek przed niedzielą palmową: Matki Boskiej Bolesnej.

W kwietniu:

1. Najświętszej Panny Łaskawej.
24. Matki Boskiej Dobrej Rady.
29. Matki Łaski Bożej.

W maju:

1. N. P. Matki Dobrego Pasterza.
3. N. P. Królowej Korony Polskiej.

2-ga niedz. N. M. P. Łaskawej.

10. N. P. Matki Miłosierdzia.
10. 1-sze przeniesienie domku Najśw. Panny Loretańskiej.
13. Królowej Męczenników.
18. Koronacja M. B. Skępskiej.
22. Koronacja M. B. Chełmskiej Bolesnej.
24. Wspomożenie Wiernych.
31. Matki Boskiej Serca Jezusowego.

W czerwcu:

1. Ucieczka grzeszników.
4. M. B. w Łąkach.
5. M. B. Dobrej Straży.
9. M. B. Łaskawej.
12. M. B. „Della Strata".
27. M. B. Nieustającej pomocy.

W lipcu:

9. Matki Boskiej „Cudu".
16. M. B. Szkaplerza Świętego.
17. Pokory Najświętszej Panny.

W sierpniu:

2. Matki Boskiej Anielskiej, czyli odpust Porciunkuli.
3. Koronacja Najśw. Panny z Lourdes.
5. M. B. Śnieżnej.
11. Objawienie się M. B. de Mercedes.
13. Zaśnięcie Najśw. Panny.
15. Wniebowzięcie Najśw. Panny.

W niedzielę po oktawie Wniebowzięcia Najświętszej Marji Panny: święto Niepokalanego Serca Marji.

25. Marja de Fabrino.

Najśw. Panny Uzdrowienie Chorych.

We wrześniu:

8. Narodzenie Najśw. Marji Panny.
12. Imienia Najśw. Marji Panny.
15. Matki Boskiej Bolesnej.
19. Matki Boskiej de la Salette, to jest objawienie M. B. w Salecie.
24. Najśw. Panny Okupu Niewolników.

W niedzielę po lub podczas oktawy św. Augustyna Pocieszenie M. B.

W październiku:

6. Królowej Pokoju.
7. Matki Boskiej Różańcowej (Zwycięskiej).
12. Matki Boskiej del Pilar. t. j. objawienie się na słupie czyli na pilarze.

2-ga niedziela października Macierzyństwa Najśw. Panny.

3-cia niedziela Czystości Najśw. Panny.

4-ta niedziela Opieki i Dobrej Nadziei Najśw. Panny.

20. M. B. Przedziwnej (Mater admirabilis).

W listopadzie:

Niedziela w oktawie Wszystkich Świętych Najśw. Marji Panny Matki dusz czyśćcowych (Notre Dame du Suffrage).

21. Ofiar. N. M. P. w świątyni Jerozol.
27. M. B. Cudownego medalika.

W grudniu:

8. Niepokal. Poczęcia Najśw. M. P.
10. M. B. Domku Loretańskiego.

Rok 1933 ery chrześcijańskiej

jest rokiem zwyczajnym mającym 365 dni. Odpowiada r. 5693 — 5694 wedle rachuby żydowskiej.

Dni świąteczne.

We wszystkie niedziele oraz dni: Nowego Roku, Trzech Króli, Wniebowstąpienia P., Bożego Ciała, śś. Ap. Piotra i Pawła, Wniebowzięcia N. M. P., Wszystkich Świętych, Niepokalanego Poczęcia N. M. P. i Bożego Narodzenia wszyscy obowiązani są pod grzechem ciężkim, jeśli nie mają ważnej, usprawiedliwiającej przeszkody, wysłuchać całej Mszy św. i wstrzymać się od prac służebnych. W inne dnie, chociażby uroczyste nabożeństwa odbywały się w kościołach, Kościół obowiązku tego nie nakłada.

Dni postne.

W piątki i soboty Wielkiego Postu, w Suche dni i wigilje Zielonych Świąt, Wniebowzięcia N. M. P., Wszystkich Świętych i Bożego Narodzenia, obowiązuje post ścisły oraz wstrzymanie się od potraw mięsnych. (W Wielką Sobotę od 12 godz. niema już żadnego postu). We wszystkie inne dni Wielkiego Postu, prócz niedziel, obowiązuje tylko post ścisły.

We wszystkie piątki całego roku (prócz wyżej wymienionych) obowiązuje tylko wstrzymanie się od potraw mięsnych.

Za potrawy mięsne uważa się tylko rosół i mięso. Wszystkie przyprawy i omasty, choćby pochodziły ze zwierząt, zawsze są dozwolone, więc nietylko masło i jaja, ale też i sadło, słonina (jako przyprawa), smalec i t. p. mogą być używane we wszystkie postne dni całego roku, również ryb wolno używać zawsze, nawet jeżeli w dni postne używa się potraw mięsnych. Uroczyste święta poza Wielkim Postem znoszą obowiązek postu i wstrzymania się od mięsa w dniu, na który przypadają. Również we wigilje z postem, jeśli wypadną na niedzielę, niema obowiązku poszczenia ani w niedzielę, ani w poprzednią sobotę.

Czasy zakazane.

W czasie od 1 Niedzieli Adwentu do Bożego Narodz. włącznie i od Srody popielcowej do Niedzieli Wielkan. włącznie zabaw weselnych wyprawiać nie wolno.

Święta ruchome.

Niedziela Starozapustna	12 lutego	Suchednie II.	7, 9, 10 czerwca
Popielec	1 marca	Boże Ciało	15 „
Suchednie I.	8, 10, 11 „	Najśw. Serca Jezusa	23 „
Wielkanoc	16 kwiet.	Suchednie III.	20, 22, 23 września
Wniebowstąpienie P.	25 maja	Niedziela I. Adwentu	3 grudnia
Zielone Święta	4 czerw.	Suchednie IV.	20, 22, 23 „

RÓŻNE RACHUBY CZASU.

Zwyczajem przyjęta *era chrześcijańska* liczy lata od Narodzenia Chrystusa.

Kościół grecki liczy lata od stworzenia świata według t. zw. ery bizantyńskiej, t. j. od roku 5509 przed Narodzeniem Chrystusa i w naszym roku 1933 rozpoczyna rok 7442.

Rosjanie liczyli według powyższej rachuby aż do Piotra W., później według kalendarza juljańskiego. Od 12 czerwca 1930-go roku zaprowadzono i w Rosji kalendarz gregorjański.

Rusini trzymają się kalendarza juljańskiego, który o 14 dni jest późniejszy od naszego. A więc 14-go stycznia u nas, jest u nich 1-go stycznia.

Żydzi liczą lata od stworzenia świata. W naszym 1933 r. rozpoczynają swój rok 5694.

Arabowie, Persowie, Turcy i inni wyznawcy Mahometa liczą lata od wędrówki Mahometa z Mekki do Medyny, zowią tę wędrówkę Hedżrą. Zaczynają w maju swój rok 1352.

ZAĆMIENIA W ROKU 1933.

W r. 1933 nastąpią dwa zaćmienia słońca; zaćmień księżyca nie będzie wcale.

Pierwsze zaćmienie słońca, obrączkowe, w dniu 24 lutego, w Polsce nie będzie widoczne. Obserwować je będzie można w Południowej Ameryce, w Afryce, w Grecji, na Kaukazie, w Arabji i Persji, oraz na oceanie Atlantyckim i na oceanie Indyjskim.

Drugie zaćmienie słońca, obrączkowe, w dniu 21 sierpnia, w Polsce będzie widoczne jako częściowe. Ponadto widoczne będzie na znacznym obszarze ziemi.

Poszczególne chwile zaćmienia, jak początek, największa faza (środek) i koniec nie są jednakowe dla wszystkich miejscowości, lecz przypadają w różnych, jednak dość bliskich sobie czasach. Tutaj podamy te chwile dla Warszawy.

Początek zaćmienia o 4 godz. 23.9 minut, środek o 5 godz 10.5 minut (wtedy zakryta będzie jedna trzecia tarczy słońca), koniec o 5 godz. 59.6 minut.

GDY W POLSCE POŁUDNIE...

Godzina	Kraj	Nazwa czasu
22 30 (w.)	Nowa Zelandja	Nowozelandzki
21.—	Wiktorja, Nowa pol. Walja, Queensland, Tasmanja	Wschodnio-australijski
20.30	Australja Południowa	Połudn.-australijski
20.—	Japonja, Korea	Japoński
19.—	Wsch. Chiny, Zach. Australja	Wschodnio-chiński
18.— (w.)	Połud. Chiny Franc. Indoch.	Południowo-chiński
16 30	Indje Zachodnie	Zachodnio-indyjski
13 30	Afryka Wschodnia	Wschodnio-afrykański
13.— (pp.)	Rosja, Finlandja, Estonja, Łotwa, Bułgarja, Rumunja, Turcja, Egipt, Afryka Południowa,	Wschodnio-europejski
12.—	Polska (od 1. V. 19.22 r.), Niemcy, Szwecja, Norwegja, Danja, Austrja, Czechosłowacja, Węgry, Szwajcarja, Jugosławja, Afryka Południowo-Zachodnia	Środkowo-europejski
11.— (poł.)	Anglja, Belgja, Francja, Portugalja, Hiszpanja Algier	Zachodnio-europejski
9.—	Wschodnia Brazylja	Wschodnio-brazylijski
8.—	Środk. Brazylja, wybrz. Kanady	Standard Atlantycki
7.—	Kanada (do 82 i pół stopni dł. zach.), Stany Zjedn. Am Półn. na wschodzie. Chile, Panama, Peru, Zachodnia Brazylja	Standard Wschodni
6.— (r.)	Środkowa Kanada i Środkowe stany Zjednoczone Am. Półn.	Standard Centralny
5.—	Górska Kanada i Górskie Stany Zjednocz. Am. Półn.	Czas Gór Skalistych
4.—	Stany Zjednoczone Am. Półn. na zachodzie, Kolumbja, Kalifornja.	Czas Pacyfiku

SŁOŃCE.

Odległość średnia od ziemi 149,500.000 km., **średnica** słońca 1,419.175 km., **masa** 324.439 razy większa od masy ziemi, **objętość** 1,310.162 razy większa od objętości ziemi, **powierzchnia** 11.900 razy większa od powierzchni ziemi.

Obrót słońca dokoła osi dokonywa się w ciągu 25—26 dni. Plamy na słońcu ukazują się co 11,18 roku.

Światło słoneczne dobiega do nas w ciągu 8 minut 18 sekund. **Temperatura** powierzchni słońca około 6.000° C. **Ciepło** słoneczne jest 470.000 razy silniejsze od ciepła księżyca w pełni, 622,000.000 razy od ciepła Wenery i 5 900.000.000 od ciepła Syrjusza.

ZIEMIA.

Promień ziemi na równiku — 6377,4 km., na biegunie — 6356,1 km. **Objętość** ziemi — 1.082.841.000.000 km. **Powierzchnia** ziemi — 509.950.714 km. kwadratowych.

Długość **równika** — 40 070 km., długość **południka** — 40.003 km., stopień **południka** — 111.121km., długość **zwrotnika** — 36.778 km., dług koła **polarnego** — 15.996 km.

Szybkość obrotu ziemi na równiku wynosi 455 m. na sekundę, na szerokości 30° — 403 m., 50° — 300 m., 60° — 234 m., 80° — 81 m.

Szybkość biegu dokoła słońca wynosi 29.763 m. na sekundę, tor ziemi (ekliptyka) — 986.250.000 km., (Z kal. „Iskier" 1932 r.)

WŁADZE POLSKIE I URZĘDY ŚWIĘTUJĄ W DNI NASTĘPUJĄCE.

Wszystkie niedziele całego roku. Nowy Rok (1 stycznia). Święto Trzech Króli (6 stycznia). Matki Boskiej Gromnicznej (2 lutego). Drugi dzień Wielkiejnocy (17 marca). Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej (3 maja). Wniebowstąpienie Pańskie (25 maja). Drugi dzień Zielonych Świątek (5 czerwca). Boże Ciało (15 czerwca). Św. Apostołów Piotra i Pawła (29 czerwca). Wniebowzięcie N. M. P. (15 sierpnia), Cud nad Wisłą. Wszystkich Świętych (1 listopada). Niepokalane Poczęcie N. M. P. (8 grudnia). Pierwsze i drugie święto Bożego Narodzenia (25 i 26 grudnia).

KALENDARZ ŻYDOWSKI NA ROK 1933.

ROK 5693 (ZWYKŁY, LICZĄCY 355 DNI)

Miesiące żydowskie		Święta żydowskie	Data nasza
Iebet	10	Post (oblężenie Jerozolimy)	8 stycznia
Adar	13	Post Estery	11 marca
dar	14	Purim	12 marca
dar	15	Szuszan-Purim	13 marca
* Nisan	15	I-sze święto Paschy*	11 kwietnia
* Nisan	16	II-gie święto Paschy*	12 kwietnia
* Nisan	21	VII-e święto Paschy*	17 kwietnia
* Adar	22	VIII-e święto Paschy*	18 kwietnia
Ijar	17	Lag B'omer	14 maja
* Siwan	6	Zielone święta*	31 maja
* Siwan	7	Drugie święto*	1 czerwca
Thamusz	17	Post. Zdobycie świątyni	11 lipca
Ab	9	Post. Spalemie świątyni	1 sierpnia
* Iischri	1	Nowy Rok 5694*	21 września
* Tischri	2	II-gie święto*	22 września
Tischri	3	Post Gedali	23 września
* Iischri	10	Sądny Dzień*	30 września
* Tischri	15	Kuczki*	5 października
* Tischri	16	II-gie święto*	7 października
Tischri	21	święto palmowe	10 października
* Tischri	22	Kuczki (koniec)*	11 października
* Tischri	23	św nadania praw*	12 października
Kisler	25	Poświęcenie świątyni	13 grudnia
Tebet	10	Post (obl. Jerozolimy)	28 grudnia

Święta oznaczone gwiazdką (*) są ściśle obchodzone.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Obecny dziewiąty rocznik Kalendarza Królowej Korony Polskiej poświęcony jest Polskim Kresom Wschodnim. Duch kultury polskiej, dziejowa tradycja, męczeńska praca pługa i oręża polskiego a wreszcie i szeroko rozsiane mogiły stepowe, gdzie ginęło rycerstwo polskie wraz z hetmanami w obronie wiary i cywilizacji — to wszystko uczyniło z tych Kresów ziemię złączoną z Polską węzłem wspólnoty misji dziejowej. Ojcowie nasi bronili tej ziemi nie przed ludnością tubylczą, jak to czynili Niemcy na ziemi polskiej i litewskiej, ale ramię przy ramieniu wraz z ludem tej ziemi broniliśmy Europy przed tatarską dziczą.

Dlatego wspomnienie tych Kresów bohaterskich jest nieodłączną cząstką historji polskiej i niepodobna ich zamykać linją obecnych granic politycznych. Misja polska na wschodzie nieskończona jeszcze. Wschód i dziś jeszcze potrzebuje naszej pomocy i kultury. Nasz Założyciel przepowiadał nam, że my naszą ideę i nasze Zakłady dla sierót poniesiemy daleko na wschód, który ich bardzo będzie potrzebował. Do tej misji przeznacza nas i życzenie Ojca świętego jak to wynika z pisma Najprzew. Nuncjusza Apost. z lipca b. r. Potrzeba abyśmy promieniowali na wschód zbałamucony ale nie siłą oręża, tylko potęgą ducha i miłości.

Ze wschodu idą złe moce, idą zatrute opary, niosące śmierć i nienawiść. Ale nie zwyciężymy ich większą nienawiścią, ani potężniejszą groźbą śmierci, bo złe tylko dobrem zwalczyć można.

To jest nasza myśl polityczna i wskazówka działania. Aby móc tak działać, potrzeba te ideały w sobie wypielęgnować i utrwalić. Duchem miłości wzajemnej, bezinteresownej i przebaczającej społeczeństwo związać jakby silną obręczą, miłosierdziem społecznem dla biednych i potrzebujących usunąć różnice i waśnie narodowe, ofiarnością rozpalić serca i dusze. Tak przygotowani wewnętrznie możemy podjąć tę misję i spełnimy ją. O ile polepszymy dusze wasze, o tyle rozszerzycie granice wasze i utwierdzimy dziedzictwo nasze.

REDAKCJA
KALENDARZA KRÓL. KOR. POLSKIEJ



WINCENTY POL

A czy znasz ty, bracie młody...



CZY znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych górali i Litwinów,
I Żmudź świętą i Rusinów?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i Dunaju?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Pola bitew — ojców groby —
I pomniki starej doby?

A czy wiesz ty, co tam stoi
Po tej ziemi popisano?
Co miłości twe ukoi?
Co puścizną tobie dano?

Trzeba będzie się nałamać
Z sobą, z ludźmi, z życiem, z losem, —
I nie wolno Bogu kłamać,
I pod lada upaść ciosem.

....Poznaj, pókiś jeszcze młody,
Co kochane było wprzody,
Nim twe serce krwią dziedziczną,
Kochać mogło ziemię śliczną.

Poznaj ziemskie i podniebne,
Bo te skarby ci potrzebne;
Poznaj wiernych serc puściznę,
Dobrej sławy ojcowiznę.

Bo to ona cię najczulej
I ukocha i upieści.
I uświęci i umieści,
I do serca przymatuli!

Otóż wyleć z twego gniazda,
Miłać będzie taka jazda:
Spojrzeć z góry na twe ziemie
I rodzinne twoje plemie...



Łaskami słynąca statua Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej w Miejscu Piastowem



Łaskami słynąca statua Matki Boskiej Król. Korony Polskiej w Miejscu Piastowem

Nie posiadamy wizerunków Marji o charakterze portretowym, to jest takich, któreby były jedynie relacją malarską o zewnętrznym wyglądzie, o rysach twarzy Matki Jezusa Chrystusa.

Wszystkie istniejące wizerunki Bogarodzicy *są wykładnikami pewnych form kultu* i zespalają się organicznie z takiemi czy innemi fragmentami marjologji, to znaczy nauki Kościoła o znaczeniu i roli Bożej Rodzicielki w dziele odkupienia:

A więc pewne wizerunki uplastyczniają dogmat o Boskiem Macierzyństwie Marji, w innych pojawia się Najśw. Panna jako Królowa niebios lub też jako Pośredniczka i Orędowniczka wiernych.

Łaskami słynąca statua Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej w Miejscu Piastowem nie stanowi pod tym względem wyjątku: Ikonograficzne i kompozycyjne właściwości tej statuy wykazują łączność z szeregiem innych, pokrewnych przedstawień Bogarodzicy, z ogólną tradycją sztuki kościelnej.

Jak już zaznaczyliśmy, każdy z istniejących wizerunków Matki Bożej posiada swą treść wewnętrzną, zespalającą ten wizerunek z pewnym fragmentem marjologji i z pewnemi formami kultu.

Istotne znaczenie, wewnętrza treść statuy Najswiętszej Marji Panny w Miejscu Piastowem ujęte są wyraziście:

Jest to Matka Boża Objawienia.

Sięgnijmy do historji tego typu wizerunków Bogarodzicy.

W wielkiej mozaice z kościoła S. Appollinare Nuovo w Rawennie, pochodzącej z VI stulecia a przedstawiającej pokłon trzech królów, wi-

dnieje w otoczeniu czterech, biało ubranych aniołów, Matka Boża, siedząca na tronie, ujęta frontalnie.

Na kolanach Marji spoczywa Dziecko-Zbawca, „Logos“, „Słowo“, które stało się ciałem.

Kompozycja posiada uroczysty, ceremonjalny charakter.

Bogarodzica przedstawiona jest tutaj jako „Stolica Mądrości“.

„Była Ona bowiem tronem dla tego króla nowopowstającego, któremu książęta Wschodu hołdy składali.

Kiedy Syn Jej objawił się po raz pierwszy Izraelowi, przed innymi wezwanemu, i ubogim, którzy najskorzej przybyli, Marja przewodniczyła temu objawieniu.

Kiedy Syn Jej objawił się po raz wtóry wielkim tego świata, mędrcom, poganom, Marja i temu objawieniu przewodniczyła.

Ona rzuciła w dusze mędrców Wschodu ziarna wiary i świętości“...[1])

W swem uroczystem, ceremonjalnem ujęciu, mozaika z S. Appollinare Nuovo nie stanowi bynajmniej wyjątku, przeciwnie, w tym samym charakterze utrzymane są wszystkie najstarsze przedstawienia „Pokłonu Mędrców ze Wschodu”, od katakumbowych poczynając [2]).

Wszędzie Marja ujęta jest jako „Sedes Sapientiae”, jako Ta, która objawiła światu Zbawiciela.

Sztuka czasów późniejszych wniosła w scenę „Hołdu trzech króli“ pierwiastki wybitnie narracyjne, rodzajowe i realistyczne, — nowe te elementy kompozycyjne nie zdołały jednak wyrugować odwiecznych wskazań i wzorów.

Doskonałym przykładem podporządkowania się tradycjom dawnej sztuki kościelnej jest obraz Velasqueza (1599 — 1660) z galerji Prado w Madrycie.

Jest to dzieło nawskroś nowożytne, realistyczne, jednakże sposób ujęcia Dzieciątka Jezus, ustosunkowanie tej postaci do postaci Marji, wskazuje wyraźnie, że cała konstrukcja kompozycji zrodziła się z tej samej świadomości, która kierowała ręką malarzy i rzeźbiarzy z epoki wczesnego średniowiecza.

I tutaj Marja objawia Zbawcę Mędrcom ze Wschodu.

Świat otrzymał Chrystusa przez Marję.

To jest zasadnicza treść, najistotniejsza tendencja przedstawień „Hołdu trzech króli“.

W przedstawieniach „Pokłonu Mędrców ze Wschodu“, oparta o apokryfy anegdota pojawiła się jako wyraz pewnego zlaicyzowania sztuki kościelnej.

---

[1]) O. R. Marja de la Broisse I. J. Kraków.

[2]) Najdawniejsze przedstawienia Pokłonu trzech Króli w katakumbach rzymskich sięgają początków II-go wieku.



Velasquez (1599—1660): Pokłon trzech króli

Madryt — Galerja Prado

Głęboko, w pełni religijnie uświadomiona sztuka średniowiecza w „Hołdzie trzech króli“ wysuwała na plan pierwszy zagadnienie wewnętrzne.

Dla sztuki tej problemem zasadniczym w tej scenie, był udział Marji, *gdyż Ona to właśnie objawiła światu jego Zbawienie.*

Marja jest nieodłączna od Jezusa.

Prawdę tę głosi sztuka chrześcijańska od samego zarania swego — w sposób równie entuzjastyczny jak systematyczny i konsekwentny.

Wizerunki Madonny „in Throno“, pojętej jako „Sedes Sapientiae“, przetrwały czasy średniowiecza.

Zmieniała się technika, modyfikowały się formy, realizm triumfował w sztuce na całym froncie, jednakże dawne pojęcia i koncepcje ikonograficzne posiadały nadal moc obowiązującą.

Zarówno np. ujęta realistycznie „Madonna“ rzeźbiarza florenckiego Donatella (1386—1466) z bazyliki św. Antoniego w Padwie, jak i archaizowana „Matka Boża“ wenecjanina Jacoba Belliniego (1400—1470) z florenckich Uffizi, — wykazują wyraźną zależność od starochrześcijańskich i bizantyńskich przedstawień „Stolicy Mądrości“.

W obu tych wizerunkach zwraca uwagę charakterystyczne dla tego typu wizerunków Matki Bożej, ustosunkowanie pistaci, uwarunkowane wspólnością osi i ściśle frontalne ujęcie.

Renesansowe przedstawienia „Maesta”, „Dziewicy na majestacie“, „Madonny in throno“ wywodzą się także z bizantyńskich koncepcyj ikonograficznych i kompozycyjnych *i stanowią pierwotnie fragment wyodrębniony z „Pokłonu trzech króli“.*

Na gruncie sztuki bizantyńskiej X—XII stulecia szeroko upowszechnił się typ Madonny, który stanowi pewnego rodzaju modyfikację przedstawień Orantki [1]) i „Stolicy Mądrości“.

Typ ten zrodził się na podłożu liturgicznem, źródłem jego były hymny pochwalne na cześć Bożej rodzicielki:

„Hipsilotera ton uranon“, „Wyższa nad niebiosa“ — mówi o Marji liturgja Kościoła Wschodniego, a św. Piotr Chryzolog do słów tych dodaje: „Prawdziwie błogosławiona, która jest większa od nieba, możniejsza od ziemi, przestronniejsza od świata, albowiem sama jedna poczęła Boga, którego świat ogarnąć nie może. Nosiła Tego, który nosi okrąg ziemi. Zrodziła Rodziciela swego, karmiła Żywiciela wszystkich żyjących“.

---

[1]) Wizerunki t. zw. Orantki należą do jednych z najstarszych przedstawień Bogarodzicy w plastyce i reprezentują najdawniejszy typ Najświętszej Marji Panny Orędowniczki i Pośredniczki wiernych. W wizerunkach tych N. Marji P. pojawia się bez Dzieciątka Jezus, w całej postaci, ujęta frontalnie, z ramionami podniesionemi do modlitwy. Rozkwit przedstawień Orantki przypada na czasy pomiędzy wiekiem IV a VIII.

W sztuce bizantyńskiej nowy ten typ Madonny upowszechnił się pod nazwą Platytery („platytera ton uranon“, „wyższa nad niebiosa” [1]).

W przedstawieniach tego rodzaju Najśw. Marja P. pojawia się w całej postaci, en face, z ramionami podniesionemi do modlitwy.

W świetlanym kręgu, promieniejącym na piersiach Bożej Rodzicielki, widnieje Dzieciątko Jezus, które prawą ręką błogosławi, a w lewej trzyma zwój pergaminu czy papirusu.

W sztuce starorosyjskiej Platytera znana była pod nazwą Blacherniotissy (Wlachernskaja).

Nazwa ta, która przyjęła się także w całem Cesarstwie Wschodniem, posiadała charakter przypadkowy:

Powszechnie czczony wizerunek Panagji tego typu znajdował się w Konstantynopolu, w kościele wzniesionym przez cesarzową Pulcherję. Ponieważ kościół ten pokryty był miedzianemi blachami, wyprowadzono stąd nazwę, wspólną zarówno dla świątyni jak i wizerunku tam pomieszczonego [2]).

Za pośrednictwem malarstwa starorosyjskiego, na gruncie którego, zwłaszcza w wieku XIV i XV, szeroko upowszechniły się przedstawienia Panagji-Platytery, — typ ten przyjął się również w Polsce w okresie supremacji wpływów malarstwa wschodniego za czasów Władysława Jagiełły i utrzymał się długo na wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej.

W drewnianym kościółku w Sarkanach na Inflantach zachował się dotąd, w popiersiu ujęty wizerunek Platytery, pochodzący z XVI stulecia.

Przedstawienia Platytery i „Stolicy Mądrości“ zespala ta sama treść: Platytera jest to także Matka Boża, objawiająca światu Zbawiciela. Stąd wypływa bezpośrednia łączność wizerunków tego typu z przedstawieniami „Pokłonu trzech króli“.

Tak znamienny dla wizerunków Blacherniotissy błagalny gest podniesionych ramion powtarza się, w innej formie, dostosowanej do odmiennych warunków kompozycyjnych, także w wizerunkach Madonny, przedstawianej jako „Sedes Sapientiae“. I tutaj Matka Boża podnosi prawą rękę ruchem modlitewnym.

Tradycje przedstawień Blacherniotissy przetrwały w sztuce czasów późniejszych jedynie w ośrodkach prowincjonalnych i odzwierciadliły

---

[1]) Typ „Platytery” jest pochodzenia syryjskiego. W sztuce zachodniej z przed wieku X „Platytera” pojawia się raz jeden tylko, mianowicie we fresku z katakumb rzymskich (Cimiterium Maius), pochodzącym z końca IV stulecia.

Bogarodzica ujęta jest tutaj w popiersiu.

Typ „Platytery” w półfigurze przyjął się w wieku XIII—XIV również na gruncie sztuki rosyjskiej.

[2]) Geschishte der Russichen Malerei im Mittelalter von Philipp Schweinfurth. Haag 1930. Denkmäler der Ikonenmalerei in Kunstgeschichtlicher Folge bearbeitet von Oskar Wulff und von Michael Alpatoff. Leipzig 1925. Geschichte der Altrussischen Kunst von M. Alpator und N. Brunov. Augsburg.

się niejednokrotnie w wizerunkach Matki Bożej Miłosierdzia (Madonny Opieki).

W kompozycjach tej treści Najśw. Panna roztacza nad wiernymi płaszcz swej opieki.

Na piersiach Madonny, w kręgu świetlanym widnieje często błogosławiące Dzieciątko Jezus.

Tego rodzaju transpozycją dawnych przedstawień Blacherniotissy jest „Madonna della Misericordia" wenecko-padewskiego malarza Dario da Treviso (1420 — 1498), ucznia Fr. Squarcione (1394—1474), z muzeum miejskiego Bassano.

Ostatnio, typ Panagji-Blacherniotissy odżył w twórczości „Szkoły Błogosławionego Angelico", stanowiącej główny ośrodek współczesnej sztuki kościelnej we Włoszech.

Na medalu projektowanym w pracowniach tej instytucji, dla uczczenia 1500-tnej rocznicy soboru w Efezie, widnieje, ściśle według najdawniejszych wzorów ujęte, popiersie Blacherniotissy.

Nadzwyczajne upowszechnienie się kultu Blacherniotissy na całym Wschodzie i w Rosji było rezultatem glorji cudów, opromieniających wizerunek Panagji-Platytery z kościoła Blachernes w Konstantynopolu, wzniesionego dla pomieszczenia relikwji Najśw. Marji Panny, maphorionu, to jest szerokiego szala, służącego do osłonięcia głowy i ramion. Relikwję tę przywieziono z Jerozolimy za panowania cesarza Leona I (457 — 474).

Zupełnie wiarogodne źródła[1]), sięgające XI i XII stulecia, opisują szczegółowo cud, który perjodycznie, każdego szóstego dnia tygodnia powtarzał się w kościele Panagji-Platytery.

W piątek, po zachodzie słońca, zamykano świątynię.

W przedsionku kościoła gromadziły się tłumy wiernych w oczekiwaniu cudu.

Po odprawieniu modłów, duchowny otwierał kościół i rzesze wiernych z bijącem sercem wypełniały wnętrze.

Po chwili, na oczach wszystkich, jedwabna tkanina pokrywająca mozaikowy wizerunek Blacherniotissy, nietknięta ręką ludzką, podnosiła się powoli, odsłaniając cudowny wizerunek, który nagle zmieniał się w niepojęty sposób, jakby weń weszło życie:

Barwy grały z siłą niezwykłą, zarysy twarzy i całej postaci Bogarodzicy nabierały rzeczywistej, realnej plastyki. To już nie był wizerunek Platytery, to sama Matka Boża oczyma pełnemi miłosierdzia obejmowała wiernych, garnących się do Jej stóp.

---

[1]) Szegółowy wykaz tych źródeł podaje dwumiesięcznik „Notre-Dame", Paryż 1931, s. 208 — 209, w artykule p. Venance grumel p. t. Le „miracle habituel" de Notre-Dame des Blachernes à Constantinople.



Statua Matki Boskiej ze szczytu wieży bazyliki Notre-Dame de la Garde w Marsylji
Pierwsza połowa XIX w.

Cud trwał aż do zachodu słońca w sobotę. Gdy uderzyła godzina wieczorna, barwy gasły, obraz wracał do dawnej, mozaikowej sztywności — a tkanina opuszczała się powoli, zasłaniając wizerunek[1]).

Błagalne słowa antyfony „Salve Regina“:... „przeto Orędowniczko nasza miłosierne oczy Twoje na nas zwróć, a Jezusa, błogosławiony owoc żywota Twego... nam... okaż“... — kojarzyły się w świadomości wiernych z dawnemi wizerunkami Matki Bożej Objawienia, to jest „Stolicy Mądrości“ i Panagji Blacherniotissy, a zarazem dały impuls do poszukiwania nowych form dla uplastycznienia idei, zawartej w przytoczonych słowach pieśni.

Nowe te formy upowszechniły się późno, gdyż dopiero około połowy XIX w.

Na ziemiach Francji tej epoki narodził się nowy typ Matki Bożej Objawienia, ujęty ściśle według słów antyfony:

Bogarodzica podnosi wysoko Dzieciątko Jezus, ukazując światu miłosiernie rozwarte ramiona Zbawcy.

Rzecz znamienna, że typ ten upowszechnił się nie w konsekwencji pojawienia się jakiegoś wybitnego dzieła sztuki. Wręcz przeciwnie:

Twórcami rzeźb i obrazów tej treści byli artyści mało znani i dzieła ich traktować należy nie jako wykwit ich własnej inwencji, ale jako próbę uplastycznienia idei, kiełkującej w masach najszerszych.

Klasycznym przykładem tego typu wizerunków Matki Bożej jest statua Najświętszej Marji P. „de la Garde“, koronująca wieżę bazyliki N. Marji P. w Marsylji (pierwsza połowa XIX w.).

---

[1]) Cud Blacherniotissy w Konstantynopolu narzuca świadomości zbliżone fakty z doby współczesnej, mianowicie owe liczne relacje o wypadkach nagłego, tajemniczego „odnawiania się” ikon Matki Bożej w Rosji Sowieckiej. Stare, średniowiecza sięgające wizerunki Bogarodzicy, pokryte pyłem wieków, zczerniałe od warstwy kopciu, rozjaśniają się nagle blaskami tęczy, grają, mienią się barwami jakby przez malowidła te przeszedł nurt życia. Dzieje się to w okresie bezwzglę-



Matka Boska Objawienia
HENRYK WADERE
(współcz. rzeźbiarz niemiecki)

O wiele śmielej, konsekwentniej ujął i przeprowadził ten temat twórca figury Bogarodzicy, pomieszczonej na szczycie kościoła Notre-Dame de Brebieres w Albert, w Pikardji (koniec XIX w.).

Tutaj Madonna, ruchem pełnym wymowy, podnosi Dzieciątko Jezus wysoko ponad swe ramiona, jakby Je okazać pragnęła całemu światu.

W obliczu tegoż właśnie wizerunku Matki Bożej Objawienia narodziła się słynna „Vierge à l'offrande" wielkiego rzeźbiarza Francji współczesnej, Bourdelle.

W historji kultu Najśw. Marji Panny z lat wojny światowej, statua Bogarodzicy z wieży kościoła w Albert posiada osobne karty.

Na linji miejscowości, będących głównemi ośrodkami kultu marjańskiego we Francji, załamał się najazd niemiecki. Linja ta biegła, od Dunkierki poprzez Ardents, Albert, Amiens, Reims do Verdun.

Okopy francuskie w Albert znajdowały się tuż obok kościoła Najśw Marji Panny.

Pociski niemieckie zrujnowały świątynię i naruszyły wieżę. Ponad temi ruinami, ponad ziemią poszarpaną rowami, w ogniu pękających pocisków, z wysokości chwiejącej się wieży czuwała nad szeregami francuskiemi Najświętsza Marja Panna z Dzieciątkiem Jezus, wzniesionem wysoko ponad to pole śmierci.

Ku Niej, przez długie miesiące walk pozycyjnych, zwracały się oczy i serca obrońców, wyciągały się w modlitwie ręce z okopów.

Różaniec stał się wówczas nieodłączną częścią ekwipunku żołnierskiego.

Był to zaiste marjański odcinek frontu [1]).

---

dnej, eksterminacyjnej walki z religią... Sowieckie komisje „speców", wyznaczone dla badań tych faktów, jak dotąd, nie umieją wyjaśnić przyczyn tych zjawisk. O faktach tych pisali: Książę Eugenjusz Trubecki: Die religiöse Weltanschauung der altrussischen Ikonenmalerei (Paderborn 1927). Leo Karsawin: Die Kuppel und Ikonen-Wunder in Russland („Die christliche Welt 1926, nr. 3), N. Arseniew: Die Kirche des Morgenlandes (Sammlung göschen 1926, s. 73 — 74), „Russkaja Myslj", (Berlin 1923, t. VI — VIII), „Pereswony" (Ryga 1926, zeszyt 14 i 15), „Wera i Żiznj" (Ryga, grudzień 1925, nr. 11 — 12).

[1]) Odbudowany po wojnie światowej kościół w Albert poświęcono w dniu 3 maja 1931 r.

Z siłą niezwykłą, z ekspresją niewymowną ujął w ostatnich latach, odwieczny temat Matki Bożej Objawienia niedawno zmarły rzeźbiarz francuski Bourdelle († 1929 r.).

Hieratyczna ceremonjalność i archaiczna sztywność wizerunków dawnych przerodziła się w jego dziele w ekspresję wyrazu i ruchu.

Jego Madonna, gestem gwałtownym, — namiętnym podnosi wysoko ponad swe ramię — jakby na krzyżu rozpiętą postać Dzieciątka Jezus.

W tym ruchu Matki Bożej objawiającej światu Zbawiciela streścił rzeźbiarz francuski całą tragedję duszy współczesnej, targanej niepokojem i tęsknotą za utraconą wiarą.

Statua Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej w Miejscu Piastowem, dzieło rzeźbiarza lwowskiego z końca minionego wieku, pod względem kompozycyjnym i ikonograficznym wykazuje wyraźną zależność od wzorów francuskich „Matki Bożej Objawienia“ z XIX wieku.

U ołtarza Najśw. Marji P. w Miejscu Piastowem zespolił się kult Matki Boskiej Objawienia z kultem Patronki i Orędowniczki narodu polskiego.

Zespolenie to posiada nietylko symboliczne znaczenie — ale sięga głęboko w podłoże historji Polski.

Jak niegdyś w Betlejemie tak i u zarania dziejów naszych — Marja przewodniczyła Objawieniu.

Religijność polska posiadała zawsze wybitnie marjańskie zabarwienie. Szliśmy do Chrystusa, prowadzeni przez Marję.

Jak niegdyś pierwsi z pośród pogan, magowie, znaleźli Boga wcielonego w objęciach Matki, tak w tysiąc lat później Polska otrzymała Chrystusa z rąk Marji.

I po chwilę obecną Ona to objawia nam Zbawiciela...

Dr. Mieczysław Skrudlik

Na cześć Królowej Korony Polskiej buduje się w Miejscu Piastowem Kaplica Zakładowa. Upraszamy wszystkich Czytelników i wszystkich Czcicieli Marji Królowej Polski o łaskawe ofiary na ten szlachetny cel. Będzie to jedna z pierwszych świątyń wzniesionych na ziemi polskiej ku czci Niepokalanej Królowej Polski.



Grottger *Odjazd na wojnę*

Polska na Wschodzie i na Zachodzie

Państwo polskie leżące na pograniczu Wschodu i Zachodu, przez cały ciąg dziejów swoich zwłaszcza od 14 do 18 wieku przechodziło dziwny proces wzrostu potęgi i upadku. Polska nie prowadziła nigdy wojen zaborczych, bo zresztą nie miała do tego odpowiedniego rządu ani armji, a z każdym dziesiątkiem lat powiększała swoje granice — z niewielkiego państewka Piastów urosła w największą prawie potęgę terytorjalną w Europie.

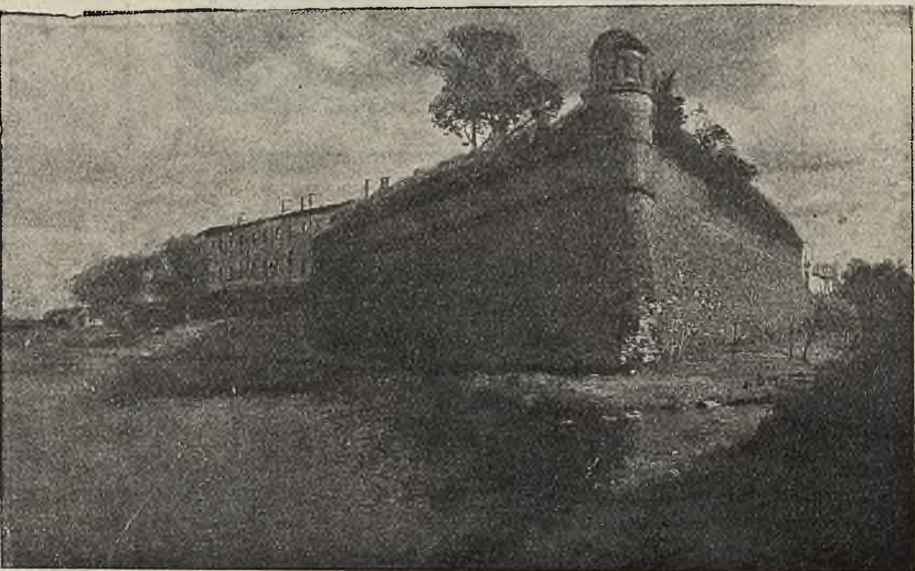
Kulturą i sercem związana z Zachodem pozostawała zawsze zdala od jego polityki państwowotwórczej, opartej na dynastycznych racjach i dyplomatycznych zabiegach zarówno jak i na krwawych wojnach. Położeniem gospodarczem i geograficznem silnie oparta o Wschód, duchem swojej polityki i budowy społecznej była mu bardziej obcą, niż którekolwiek z państw Zachodu rządzonych absolutnie i biurokratycznie.

A przytem wszystkiem ustawicznie narażona na ataki Wschodu i Zachodu, jako cel ich wspólnych zaborczych tendencyj, mimo bolesnych nieraz doświadczeń — pozostała zawsze tą samą. Nie znosiła ich dyplomacji frymarczącej narodami, nie rozumiała ich urządzeń organizacyjnych, gdzie moloch państwa i racja stanu pochłaniały jednostkę i naród.

Wpatrzona w swój sztandar wolności bez stałej armji i bez silnego rządu, otoczona wrogami — niby łódź ogromna bez wioseł i bez steru, płynęła po burzliwem morzu dziejowych wydarzeń. Płynęła samotna, żadną niezwiązana polityką ani przymierzami, nie szukająca na-

bytków, gardząca zdobyczami, bezinteresowna, marzycielsko wpatrzona w swą gwiazdę wyższych przeznaczeń.

Bez żalu traciła zachodnie prowincje, nie ruszyła ani jednej chorągwi jazdy, aby z wiru walk trzydziestoletnich odebrać stare piastowskie ziemie, patrzyła z nieczułością, jak wysuwało się z jej rąk wybrzeże morza Bałtyckiego, znosiła spokojnie złośliwe miotania się Prus i Gdańska. Leniwie wspierała własnych królów w walce o Prusy i Inflanty. Czy-to było zaślepienie rozumu politycznego, czy też bezwład woli, można się o to spierać, ale i jedno i drugie wypływało z instynktownej, ogólnej i jasno uświadomionej niechęci mieszania się w sprawy, które Polskę nie obchodziły i w których nie widziała dla siebie żadnego interesu.



Ruiny zamku ks. Lubomirskich w Dubnie

Oczywiście było to grubym błędem polityki polskiej, błędem, który zaważył ciężko na losach państwa. Podstawą potęgi naszej był Zachód, silne oparcie się o Bałtyk, stworzenie własnej floty i uniezależnienie od Zachodu. Zajęcie Śląska i dawnych ziem piastowskich wraz z pomorzem szczecińskiem dałyby siłę militarną, potrzebną na wschodzie. Przez niedopatrzenie tego momentu, osłabiliśmy państwo i utraciliśmy niepodległość, najpierw gospodarczą a potem polityczną. Ale wobec panującego w Polsce ustroju, nietrudno pojąć, że naród postulaty rozumu poświęcał postulatom serca i instynktu. Silna pozycja na Zachodzie była środkiem, a Wschód był celem, a instynkt kieruje się ku celowi. Odpowiednie dobierać środki jest kwestją rozumu i wyro-

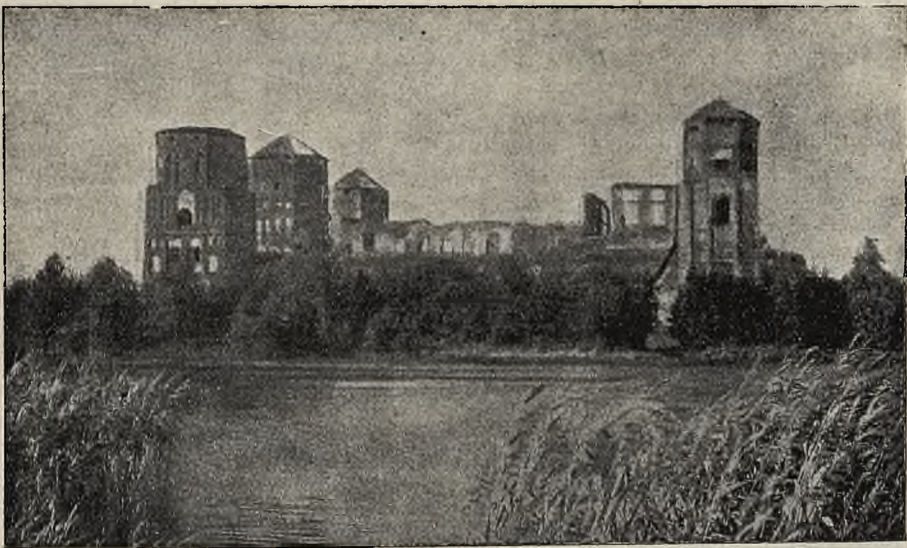


Jan Matejko. WERNYHORA.

bienia politycznego, owocem teoretycznych rozważań, sztuką dyplomatyczną, do czego Polska czuła wstręt.

Instynkt narodu pchał Polskę na wschód, i tam z uporczywą nieustępliwością bronić była gotowa każdej piędzi pustek stepowych.

Daleko za Dnieprem, gdzie częściej spotykało się czambuły tatarskie niż słabe choćby wieści z Zachodu, roiło się od młodzieży szlacheckiej, spełniającej swoje rycerskie i kolonizatorskie powołanie. Od Czarnobyla, po lewym brzegu Dniepru aż po Krzemieńczuk, Chortycę, Bracław powstawały stanice, grody i zamki kresowe. Domy szczeropolskie jak Charlęscy, Działyńscy, Zakrzewscy, Koniecpolscy, Lubomirscy, Firleje, Zborowscy, Bielkowscy, Jazłowieccy, Zamojscy, Sieniawscy, Strusie, Kalinowscy, Potoccy, Jabłonowscy, Lassoty, Łaszcze — prócz



Ruiny zamku w Mirze

tysiąca mniej znanych szli na wyścigi z kniaziami litewsko-ruskimi, jak Wiśniowieccy, Ostroscy, Zbarascy, Rożańscy, Koreccy i w. innych. Szli jako straż kresowa i jako osadnicy. Nie przerażały ich częste napady Tatarskie, ani zamiecie wichrów stepowych, ani bezdroża błotnych topieli, ani wręcz niesłychana surowość życia. Za szlachtą ciągnął nierzadko i lud. Razem worywali się w ziemię, rosili ją potem i krwią, ginęli w jej obronie albo szli w jasyr. Wracając z jasyru łzami radości i pocałunkiem witali tę ziemię, na której często nie było już ani śladu ich pracy i trudów. Mimo to budowali na nowo i trwali nieustępliwie. Utrzymać ją w ręku, to był testament narodowy nie pisany, ale przechodzący z pokolenia na pokolenie.

Kochała polska tę ziemię kresową, tutaj powstawała historja rodów mnogich, ich wielkości i zagłady. Tutaj jak na bastjonie obronnym i na punkcie wyjściowym krystalizowała się żywa, wyraźna, choć może nienależycie uświadomiona polska myśl polityczna, misja kulturalna i Chrystusowa na wschód pogański. — Wschód był dla Polski celem polityki oraz racją bytu i potęgi. On wyjaśniał dla jakich przeznaczeń państewko Piastów słabe i niezgodne potrafiło się oprzeć potędze niemieckiej i nie marząc o tem nigdy atrakcją kultury i wolności urosło w państwo prawie największe w Europie.

Polska niosła na Wschód światło Ewangelji, swobód obywatelskich, o jakich nędzny poddany Sułtana albo W. Kniazia nie mógł zamarzyć w najbardziej fantastycznym śnie. Niosła zarazem ideę państwa narodowościowego nie związanego jarzmem niewoli, ale pełną szacunku tolerancją i prawdziwą czcią dla najwyższych dóbr duchowych, wolności, godności osobistej i swobody przekonań. Czystość obyczajów, łagodność natury polskiej i prawdziwa religijność, a przytem łatwość w pożyciu ogromnie ułatwiały zrealizowanie tej misji.

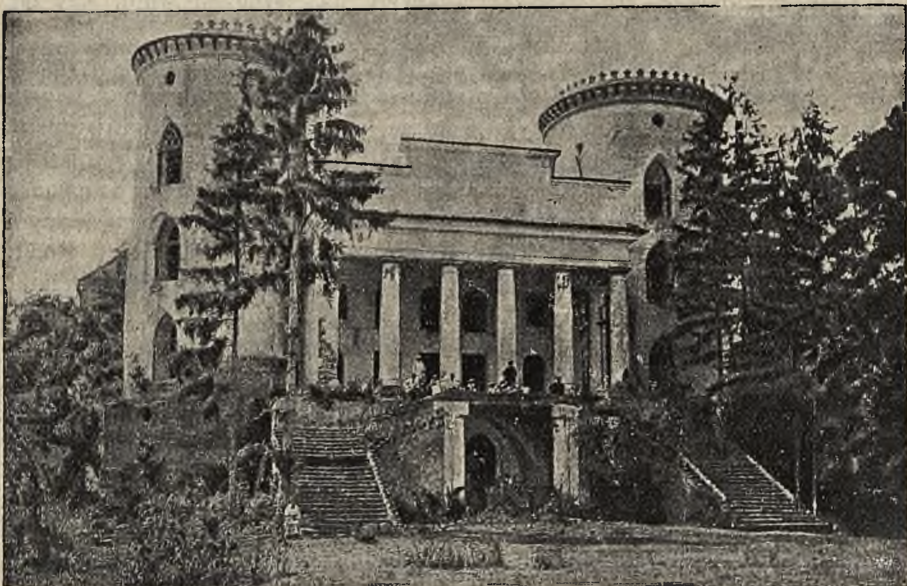
Nic więc dziwnego, że w takich warunkach wpływ Polski sięgał daleko na Wschód, przekroczył granice cesarstwa tureckiego i różnych plemion tatarskich. Wschód był naturalnym celem naszej ekspansji politycznej, terenem pracy i bohaterstwa — polem niedających się ograniczyć sukcesów.

Swoją silną pozycją geograficzną, formą życia, taktyką wojowania i wielu innemi względami była Polska najwięcej przygotowaną do odegrania organizatorskiej i cywilizacyjnej misji na Wschodzie. Życie narzucało niejednokrotnie konkretne plany i okazje, które należało tylko podchwycić i wykorzystać. Już za Władysława Jagiełły i Warneńczyka wszyscy czterej hospodarowie naddunajscy składali hołd królom polskim, przysięgając im wierność i poddaństwo. Otóż ugruntować ten wpływ, wydrzeć te ziemie z niewoli tureckiej, związać je z sobą polityką zagraniczną i gospodarczą, zapewnić im opiekę i swobody obywatelskie, oto był p erwszy etap wschodniej ekspansji. Z tak silnej pozycji naddunajskiej opartej o morze Czarne łatwo było bronić niepodległości Serbji i Bułgarji, a do właściwych granic odrzucić zapędy tureckie. Marzył o tem Batory, a wyprawa Zamojskiego na wołoszczyznę okazała, że czyn ten nie był niemożliwym do wykonania.

Następnie obronić wybrzeże morza Czarnego, stworzyć tam podstawę ekonomiczną do handlu czarnomorskiego. Zaludnić te okolice i ucywilizować, a stąd osłaniać wszystkie placówki misyjne i handlowe na całem lewantyńsk'em wybrzeżu, oto był drugi etap. Korzyści drogi handlowej na Wschód rozumieli dobrze polscy kupcy ze Lwowa i z Kamieńca. Wyprawiali się tym szlakiem rok rocznie, a zatem interes sam, kwestja bytu i kupieckiego wyrachowania podsuwała Polakom ten plan, olbrzymie fortuny panów ukraińskich zależne były w bardzo wielkiej

mierze od dokonania jej koncepcji, która się nasuwała sama jako konieczność polityczna i gospodarcza. A złamawszy nad Morzem Czarnem potęgę turecką i oczyściwszy z Tatarów Krym, miało się drogę otwartą na stepy Kaspijskie i Turkomeńskie. Silne osady i ludne miasta na wybrzeżu dawały dość silną podstawę operacyjną do zrealizowania najśmielszych nawet zamierzeń. A godzi się przypuszczać, że kraj ten tak kolonizowany byłby silnym i świadomym swego wyjątkowego położenia.

Na pustkach wydartych Tatarom nie było ludności osiadłej i te w całości zależne były od kolonizacji. Miasta i grody miałyby kulturę i oświatę wybitnie zachodnią. Czyż to było niemożliwem do zrealizowania? A wreszcie podjąć walkę nie z narodem rosyjskim, ale z suzdalskimi kniaziami, śmiałą ręką sięgnąć po Nowogród i po Moskwę,



Pałac w Czerwonogrodzie, woj. Tarnopolskie

gdy o to prosiły to było powołaniem Polski, jej apostolstwem. Źle się stało, że tego nie uczyniła. Miała do tego dość sił i zapału, ale niewątpliwe błędy królów naszych i walka narodu z ich niepopularną dynastyczną polityką obok tego, że demoralizowały naród, miały i ten tragiczny skutek, że rozrywały siły i dążenia narodu i odrywały jego uwagę od ważniejszych zadań na wschodzie, a wreszcie wytwarzały chaos w myślach i w pojęciach.

Powtarzające się często bunty kozackie, a przez to wzrastająca ustawicznie niechęć wzajemna obu narodów nie były zaprzeczeniem tej misji. Niechęć ta nie była plemienna, bunty nie były wynikiem niena-

wiści, ale jako zjawisko były one jedynie następstwem błędnych metod oraz objawem nieporządku i pewnej anarchji, przeżerającej państwowy organizm polski. W Polsce silnej i dobrze rządzonej, bunty były niemożliwe i zupełnie inaczej kształtowałoby się pożycie sąsiedzkie, zwłaszcza gdyby odpadł ten najgroźniejszy czynnik, zły wpływ Rosji poróżnionej z Polską.

Któż zdoła dziś przewidzieć, do jakich granic doszłaby ekspansja polska na Wschód, gdyby potężna militarnie, oparta o Bałtyk, z aureolą zwycięzcy szanowanego w całej Europie, do herbów i do swobód przyjęła i szlachtę rosyjską, gdyby ustrój sejmowy i demokratyczny wniosła w te ludy żyjące w niewoli carskiej. Kto wie, jakby się ukształtowały losy Europy i Azji. Rosja zawsze była skłonna do gromadnego na poły sejmowego rozstrzygania decyzji na terenach gmin czy też powiatów.

Prawda, że szlachta wschodnia nigdy nie odznaczała się wyrobieniem obywatelskiem i wiele złego wniosła w nasz organizm państwowy i spaczyła do reszty to, co było w niem skądinąd usprawiedliwionem, chociaż mniej dobrem, ale przytem wszystkiem korzyści byłyby niewątpliwe i trwałe. Jako najskromniejszy program nasuwa się możność zgodnego współżycia w formie unji trzech narodów stojących na jednym poziomie demokratycznego i kulturalnego' ustroju Polski, Rusi i Rosji. Byłby to prawdziwy panslawizm, na kulturze łacińskiej oparty, obejmujący blok połowy Europy nie licząc Azji. Siła zdolna do stworzenia własnej cywilizacji i nieulegająca żadnym obcym wpływom, które zresztą nigdy dobremi nie były.

Niestety, tak się nie stało. Polska z różnych powodów misji tej wypełnić nie potrafiła. Czy jednak dziś jeszcze do tej samej misji nie jest powołaną, nad tem trzebaby się zastanowić.

Powołanie narodowe nie jest tylko zadaniem na przemijający okres, ale na cały czas istnienia i działania. Warunki się zmieniają, konjunktura polityczna przekształca się bardzo często, ale właśnie w tej częstości zmian ukazuje się jej nietrwałość i nienaturalność.

Polska powołana jest do tego, aby stworzyć jednolity gospodarczo i kulturalnie blok państw słowiańskich, dla obrony wspólnych ideałów. Rozległość terytorjalna takiego związku ustrzeże je od niekończących się sporów o granice, na co Europa tak nienaturalnie podzielona na państewka, zbyt często jest narażona.

Wiele się dzisiaj mówi o blokach państw, o unjach gospodarczych, o zniesieniu granic. Europa długo na to jeszcze poczeka, ale na Wschodzie łatwo to zrealizować.

Nie zmienia faktu, że w Rosji dzisiaj jest bolszewizm, a Ukraińcy są naszymi zaślepionymi wrogami. Bolszewizm nie może być zjawiskiem trwałem i prędzej czy później musi się dostosować do realnych wymagań, a kwestja ukraińska? Zbyt niedawno jeszcze lała się krew

pomiędzy nami, żyje i działa pokolenie, które spotykało się na polach bitew, w walkach zażartych i niszczących. Ale przyjdzie czas, że rozdrażnienie minie, namiętności się uspokoją, a wolni z zwolnymi, równi z równymi potrafimy się porozumieć. Od nienawiści do miłości jest tylko krok jeden, bo na dnie każdej nienawiści rośnie i kiełkuje wolno i niedostrzegalnie nasienie wzajemnego szacunku, jako zadatek porozumienia. Osądźmy czy i u nas tego samego niema. Jeśli nie stwierdzimy tego dziś jeszcze, stwierdzimy w najbliższej przyszłości, gdy zgodnym wysiłkiem, choćby tylko przypadkowym, usuniemy tych, co nas jątrzą i szczują. Historja lubi takie przypadki. Często przypadek zrzuca maskę i okazuje właściwe oblicze. Właściwem obliczem narodów słowiańskich może być tylko wzajemna miłość i zgoda braterska jako równi z równymi, wolni z wolnymi.

Oto jest misja Polski na Wschód, oto jej zadanie i apostolstwo. Tego nas uczy historja i polityka. To nam tłumaczą sztandary walk o niepodległość „Za naszą wolność i waszą".

X. Jan Górecki

Kresom Wschodnim Cześć!!

O! jak wielką była Polska dzięki obronie przeciw nawale ciągle i odwiecznie bijącej na Nią od wschodu! Polska stulecia całe spędzała wśród męczarń i czujności, składając ofjary łez i krwi na polach litewskich, żmójdzkich i wołyńskich i po stepach ukraińskich!...

Jedno morze cierpień i jeden potop bohaterstwa!

I o co te zmagania? dlaczego takie wojny?...

Bo naród polski strzegł świętości swoich własnych i bronił skarbów więcej duchowych jak cielesnych. A Wschód daleki a głęboki usiłował przełamać zapory, aby dzikość sromotną ponieść na Zachód... Europa rozwijała się i wzbogacała pod osłoną wałów żywych Staro-Sławjańszczyzny, tak potężnych jak wał żmijowy do Kijowa należący i wał Trajana na Podolu do dziś dnia zdumiewający. Wał Trajana w czasach rzymskich legjony bronił, lecz jest on starszy od cezarów samych. Trzeba wiedzieć, że Szczytja cała i Sarmacja miały swój własny rozkwit oświaty i ogłady, który pozostawił mogiły i kurhany, pełne złota i brązów, kości ludzkich i końskich. Świat nie zna dokładnie wykopalisk owych i dlatego jest to potrzebą gwałtowną, aby nauka nasza zajęła się przedewszystkiem badaniami naszego Wschodu własnego, najbliższego, zgoła odmiennego od Wschodu dalekiego, jaki dziś wyłącznie świat zaprząta.

Niesprawiedliwie sądzą ci, którzy mają na myśli wschód tylko uralski i azjatycki, a nie wiedzą, że istnieje w Europie osobny wschód, należący do całej Staro-Lęchji, potężny bogactwami obyczajów i zwyczajów, dla drogości których Polska stawała oporem nieprzełamanym. Jak to jest koniecznie potrzebnem, iżby nasamprzód my sami oczy nasze skierowali w stronę tych kresów, po widnokręgach których widnieje chwała i sława szczepu niepokonanego!!...

Świeci nam jasno na miejscu najpierwszem ta nazwa: „Romajnie", która wiąże się z Romowem przeświętem, gdzie lud Palemona złożył we czci największej swoje uniesienia i zapały bogobojne. To wszystko atoli, co dotychczas jedynie podaniami osłonione, czeka rozwidnienia głębokiego, ażebyśmy zrozumieli, jak daleka starożytność służy tu za podkład dla dziejów. Dąb święty w Romowem i dąbrowy wogóle stanowią rys bardzo znamienny dla Żmójdzi, Wołynia i Podola, to znaczy dla wschodu, gdzie dźwiga się gród zacny Dębnem zwany, jaki my przezwali Dubnem przez zruszczenie. Nikt z nas nie chce pojąć, że Dubienka, jako Dębinka sławna w dziejach polskich, nie oznacza brzmienia zgoła dla nas niezrozumiałego, ale przeciwnie odnosi się do czci świętej dęba starego, którego za bóstwo człowiek pierwotny uważał, albowiem wzbudzał on podziw i natchnienia pięknem swojem i powagą zdumiewającą. Nad rzeką Świętą potomek Palemona wznosi gród mylnie Wiłkomierzem zwany, kiedy w łacinie czytamy: „Vilcomiria". Ta końcówka „mirja" oznacza co innego jak „mierz", a zatem nazwa ta powinna głosić wielkość nie mierzenia lecz „miru", jako pokoju, zgody, sławy i krzyża. Wiedzmy, że to nie Wiłkomierz, niebacznie przez nieuwagę poprzekręcany, lecz to Wielko-mirz!!... Różnica ogromna! Woła ona do nas potęgą ducha odwiecznego, który objawił się i tutaj szczegółem ciekawym, bo oto w grodzie tym, jednym z najstarszych na ziemiach naszych, od niepamięci były dwa zamki, a mianowicie jeden wysoki na wzgórzu, drugi niski u stóp wzgórza. Dwa zamki były przed Kaźmirzem Wielkim we Lwowie, zbudowane siłą ducha polskiego, dwa zamki były w Krakowie, dwa zamki były w Kijowie i po wielu grodziszczach najdawniejszych w Europie. Nie można tego nie znać i nie wolno nam nie wyciągać stąd wniosków daleko sięgających, ponieważ nauka musi brać pod uwagę to, co jest w rzeczywistości a nie to, co nasuwa się skutkiem zapatrywania się bardzo odległego.

Sienkiewicz powieść swoją „Potop" rozpoczyna od opisu tego prawa zwyczajowego, które u nas w Polsce zwano popisem pospolitego ruszenia narodowego. W Rosieniach na Żmójdzi do dziś dnia przechowała się nazwa „Stany", albowiem co rok na równinie owej wszystkie warstwy społeczeństwa żmójdzkiego zbierały się uroczyście i stawały w gotowości do obrony kraju i narodu. To „ruszenie pospolite", choć za króla Jana Kaźmirza było już zmienione i nadwątlo-

ne, przecie opierało się w pierwotności swojej o podstawy wielce mądre a silne. Wszystkie zamki po kresach wschodnich Ojczyzny naszej sięgają wobec tego czasów o wiele dalszych, jak się nam to wydaje, gdyż to u szlachty Polskiej „usposobienie do wojny przyrodzone", o którem mówi Sienkiewicz, dotyka niezawodnie wieków daleko przeddziejowych. Owo pole obozowe księstwa Żmójdzkiego jest niezawodnie pozostałością czasów, do których należą wszystkie grodziszcza nasze i uroczyska.

Dwa zamki były nawet i w Grodnie, gdzie zapisał się w pamięci ludu bojownik sławjański Chlebem zwany. Stołpień dumny unosił czoło ponad Niemnem wysoko, ażeby ogień na nim płonący był widny daleko i szeroko. Stołpienie były właściwością główną wszyst·



Ruiny zamku w Trokach

kich zamków wołyńskich i podolskich a jako wieże największe i najsilniejsze, przetrwały wszędzie, choć mury inne dawno się już rozsypały. Stołpienie te od Sarmatów przeszły i na zachód, stąd po zamkach Europy często występujące wyniesienia najwyższe należy uważać za świadki sztuki wschodniej, sarmackiej, w Europie czasu swojego panującej. Jest taki stołpień nawet i na zamku w Trokach, jest w Trębowli, był w Buczaczu i w Jazłowcu. Gdy zamki podolskie budowane przeważnie z kamienia łamanego, zczerniałego, mogą świadczyć o czasach bardzo zamierzchłych, to cegła w Trokach tak zwana

kształtówka, po gzymsach i oknach stosowana, mówi o zamiłowaniu wczesnem do ostrołęki.

Sama nazwa Troki każe mimowiednie brzmienie związać z Tórowem nad Prypecią, które należało do księstwa Tórowskiego jeszcze we wieku X-tym. Zatem Troki to stolica Tóroków czyli Tórochów. Mamy znowu przykład jak dla zrozumienia rzeczy naszych swojskich nie można brać pod ręką wywodów najdalszych z nauki czysto zachodniej. Wołyń także wychodzi z czci woła jako tóra. Tór znalazł zastosowanie uświęcone w sztuce asyryjskiej i perskiej. Głowice w sali stusłupowej Darjusza miały po dwie głowy tóra jednorożca. Że pisownia nasza początkowo wychodziła z brzmienia tór a nie tur, dowodzi miejscowość na Podolu koło Zaleszczyk zwana Torskie. Thor niemieckie pochodzi od naszego tóra starożytnego.

Po zamkach wschodnich i po cerkwiach do nich należących gromadzono bogactwa i kosztowności tak ogromne, że o nich pojęcia dziś nikt stworzyć sobie nie może. Nie co innego, tylko te skarby, zaiście bajeczne, ściągały nawały wrogie, które raz po razu uderzały o granice Polski. Stołpień każdy miał na celu w linji najpierwszej ukrywanie złota i srebra, kamieni drogich i koron najdroższych. Sam jeden skarbiec książęcy Radziwiłłów w Birzu, nad granicą Kurlandji, mógłby dać wyobrażenie, czem były te majątki nasze już uszczuplone znacznie po przejściach rozlicznych. A skarbiec zamku w Podhajcach? A skarbce po zamkach podolskich?... Wszystko to pochodziło z dostatków narodu dobrze rządzonego, opierającego się o zamożność głęboko starożytną. Sama atoli ta prawda naga, że wszystko to, co pozostało ze świetności bajecznej, przepadło w zamieszkach i stało się łupem chciwców nienasyconych, nie może dziś uprawniać nauki do głoszenia przypuszczenia, jakoby u nas nigdy nic nie było. Niema, bo zabrali nam ci, którzy niczego nie uszanowali.

Jeżeli dzieje polskie pierwotne milczą, to znaczą szczęśliwość naszą, wśród której upływał czas bez rachuby i bez zdarzeń gwałtownych. Kraj Żmójdzi świętej do dziś dnia celuje mnogością i misternością krzyżów, jako mirów, które mówią, jak wielka żyła u nas pobożność dawniej. Po belkowaniach powały każdej świetlicy wieśniaczej obaczysz słońca i gwiazdy liczne z opłatków kolorowych wyrabiane... co one oznaczają? Oto miłość narodu naszego do Nieba i do górnolotności sercem a sumieniem Nie sztuka unosić się ciałem wysoko — sztuka prawdziwa podnieść się duchowo górnie a jak najwyżej. Wszyst ie zabytki sztuki na Wschodzie naszym, polskim, jak wszelkie obyczaje i zwyczaje głoszą obrazy, malujące czystość serca i czujność sumienia.

Tak bywało najczęściej, jak Wołodyjowski mówił, że choć ubogim był żołnierzem, a jednak nie miał plamy najmniejszej ni na tarczy, ni na sumieniu. (Potop I.)

Tu na wschodzie, po kresach, zjawiały się istotnie takie postacie jak wieże — stołpienie, strzeliste a dumne aż pod obłoki. Żółkiewski, Zamojski, Wiśniowiecki Jeremi i Czarniecki — oto świeczniki na postawnikach ozdobnych jaśniejące. Zaprawdę „w sławie jak w słońcu chodzili“.. Skoro mówią, że książę Jeremi to „wojownik w świecie największy“ — znaczy to wiele, bardzo wiele. Należy zrozumieć czem w istocie żyła wtedy „dusza polska“ i co ją już wówczas niszczyło?... Tego atoli nikt z nas nie pojmie drogą samego wchłaniania nauki zachodniej. Aby żywić miłość dla kresów wschodnich, potrzeba koniecznie poznać ich osobliwość, ich wartość nadzwyczajną, ich znaczenie górne i piękno samoistne, którego wyrazem



Ruiny zamku w Trębowli

niech będzie ta „piątnica“ z pięciu wież złożona na zamku w Ostrogu. Wedle tej piątnicy zbudował Bramante i Michał Anioł pięć kopuł na kościele Św. Piotra w Rzymie. Wszystkim u nas się zdaje, jakoby to było prawem jedynem, że „światło“ szło z zachodu na wschód, a tymczasem wedle mądrości Pisma św. światło najpierw było na wschodzie i ze wschodu promienie słało na zachód. Prawda jest zawsze ukrytą i dlatego kopuły za cezarów rzymskich budowane w stolicy świata nie należą duchowo do potęgi władców miecza, lecz do owych maluczkich a nieszczęśliwych, których pogardliwie nazywano niewolnikami (sclavi). Ci przynosili ze wschodu pierwiastki nieznane Rzymowi. Kopuła na

Panteonie w Rzymie nie wyszła ani z Grecji ani ze Rzymu pogańskiego. Kopuła należy do wiary Światowida, która w Kijowie, w Carogrodzie, w Czarnochowiu (Czernichów) i w Nowogrodzie najpierw wykształciła budowle w drzewie, a potem w kamieniu i cegle. Jak dalekich czasów sięgają banie złotowierzchnie, skoro Nowogród, błyszczący niemi, był już w czasach przeddziejowych starożytnym!... Czyż Starogród wtedy nie był już rówieśnikiem Rzymu?... Brama złota w Kijowie, zwieńczona kopułą złotą, to dzieło należące do twórczości Polan, których zgnietli przemocą Waregowie, nie mający pojęcia o niczem innem jak tylko o mordach i o łupieży. A zatem kopuła na świat sławna Śtej Zofji w Carogrodzie i kupuła największa i najwyższa na kuli ziemskiej Śgo Piotra w Rzymie to arcydzieła wychodzące z tego bizantynizmu, jaki właśnie dotyczy Sarmacji polskiej, tej tu na wschodzie Polski!...

Widać z tego oczywiście, jak niesłusznie postępują ci wszyscy, którzy nie chcą widzieć tego i nie mogą wiedzieć o tem wcale. Prawda atoli nie ma być zależną od uprzedzeń naszych, bowiem musi ona nas tak pouczać, jak duch Boży kieruje. Światło ze wschodu bijące każe nam wtajemniczać się w rolę bardzo znaczną kresów wschodnich, gdyż od niepamięci krzewił się tutaj duch wielkości w dziedzinach najrozmaitszych.

Kiedy Wołodyjowski w „Potopie“ przybył do Lubicza i stanął przed kołowrotem dworu, miał przed sobą bramę w krzyż się obracającą, bo był to kołomir. Wedle tego kołomira założone są kopuły małe do krzyża ukośnego obok kopuły wielkiej Śgo Piotra w Rzymie. Jest to sposób stary, szczególnie dobrze znany u nas na wschodzie, który widnieje w ciesiołce na wrzeciądzach, zbudowanychz krzyżniaków dębowych, nabijanych „raz przy razie gwoździami olbrzymimi“.

Otóż te krzyżniaki, które Sienkiewicz uwiecznił, one to są tym znakiem widomym układu krzyżowego, dośrodkowego, z którego wyszedł początkowo kościół nowy Śgo Piotra w Rzymie. Krzyżniaki w drzwiach staropolskich są świadectwem przedwiecznem, jak dawno i jak silnie miłość do krzyża była w narodzie polskim zakorzenioną. Piątnica kopulasta w Ostrogu wyszła z krzyżniaka sarmackiego. Panteon w Paryżu opiera się o krzyżniak z kopuł, dających krzyż równoramienny. Kopuły we Francji budowane przed okresem średniowiecza (Fontevrault, Cahor, Issoire, Angoulème i t. d.) wychodzą z ostrołęki, jaka w bizantyniźmie najwcześniej u nas właśnie na wschodzie była znaną i umiłowaną.

Poznanie kresów wschodnich naszych to sprawa arcyważna. Tkwi w nich ośrodek dzielności naszej i sławy niezrównanej. Bohaterstwo owo, które znalazło wyraz swój osobliwy w powieściach polskich, nie jest rzeczą urojoną lub przesadzoną, albowiem ono oznacza moc tego światła, które stwarza obraz każdy i dzieło każde. Nie cienie, ale

ś w i a t ł a są celem kształtu. Cień potrzebny tylko dla oddania jasności. Szukajmy światła a nie cieni i to najczarniejszych.

Duch jednak nowoczesności pożąda oczernienia i pogardzenia, jakoby sprawdzać się miało to, co Radziejowski mówił do Wittemberga: „Cała usilność nasza w tem, aby nas obcy chwalili". — O! jak to źle, że my zawsze myślimy tylko wedle cudzoziemczyzny a nie wedle serca własnego i sumienia swojego.

Zgłębienie ducha i przeszłości kresów naszych wschodnich musi napoić nas wiarą większą w nas samych, ponieważ nigdzie nie przebija tyle żywotności samoistnej, jak tutaj właśnie. Ci z b a r a ż c z y k o w i e starzy, których okole świetlane nad głową tak nas porywa i za-

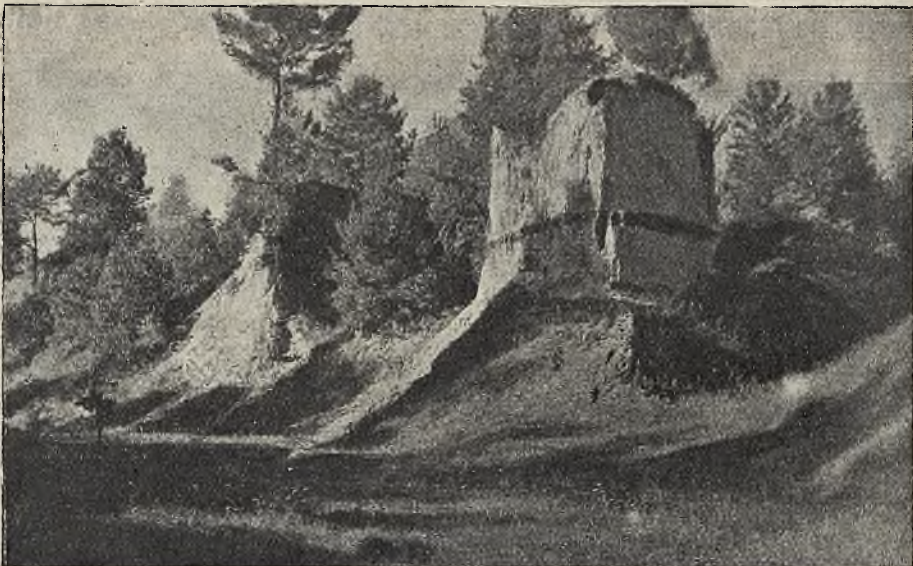


Dworek kresowy w Krykałach (XVIII w.)

pala, nie są to twory wyobraźni wieszczej, lecz przeciwnie znaczą prawdę, która mocą woli i miłości czyniła z ludzi wielkości na obrąz boski. My dzisiejsi nie posiadamy już niestety zdolności dla rozumienia, do jakiej a n i e l s k o ś c i może się podnieść człowiek serca i sumienia. Owładnął nami czysty szatanizm!

Umiemy dziś wszystko strącać z wyżyn, ponieważ właśnie dlatego, że latawce ciało unoszą nad chmury, znieść nie możemy uniesienia duchowego. Uczmy się od z b a r a ż c z y k ó w anielskości czynów naszych, abyśmy zawsze i wszędzie szli przez życie wśród obowiązków tak z poświęceniem, jak szedł Skrzetuski przy głosie dzwonu ze Zbaraża, aż do króla, do Toporowa.

Winą to naszą własną i szkodą nie do wynagrodzenia, że cnoty przenajwiększe i zasługi przenajznaczniejsze przodków naszych uważamy tylko za zmyślenia wierszopisów. Gdzie jak gdzie, ale właśnie po kresach wschodnich biją nam w oczy postacie tak świetlane jak Buczaccy z Buczacza i Jazłowieccy z Jazłowca. Z miłości ku Bogu i dla Ojczyzny rody całe pokoleniami ofjarnemi kładły się po stepach w mogiły, aby kości ich i krew użyźniały ziemię ojczystą. Właśnie dlatego, że wyginęli ci wojownicy, muszą żyć oni w pamięci naszej pełni zacności i godności. Miłość do kresów wschodnich nauczy nas



Jar

najniezawodniej rozumienia, na czem to polegało dawne Posłannictwo nasze, iżbyśmy jak Mohort czuwali na straży w imię świętości od świtu do świtu!... Tylko nie upadać, tylko nie zniżać się ku dołowi, bo nam przekazane podniesienie czoła ku słońcu na wzór kwiatu i dęba wysokiego.

Poznawajmyż kresy wschodnie jak najgłębiej i najsumienniej, bo na ich wielkości opierała się korona polska, najpiękniejsza w świecie! Prawda to szczera, nie zmyślona! Okrasa cała kresów wschodnich od morza Białego, Bałtyckiego, aż do morza Czarnego, to pas duchem polskim i sercem polskiem kowany, bijący nam w oczy wdziękiem swoim i nauką bardzo głęboką!...

Kresom Wschodnim Cześć i Sława!!...

Prof. Dr. Zubrzycki



ADA KONECZNA

NA UKRAINIE

Z rękopisu wydał i do druku przygotował JÓZEF MARJAN CHUDEK



ECI z mogił na równiny
Modroskrzydły wiatr stepowy,
Błyszczy rzeki lazur siny,
Wierzby w wodę chylą głowy,
Nad jarami mgła się zwiesza,
Drzemią wioski, kruki kraczą,
A przy drodze lirnik śpiewa
Starodawną pieśń kozaczą.

Noc nawiewa tęskne dumy,
Jak się dawniej żyło — śniło,
Zda się, z Dniepru ślą swe szumy
Tawołżany i Budyło[1]).

Drży w powietrzu cudne granie,
Świeci księżyc jasnolicy,
Zda się, niesie wiatr wołanie
Z Tomakówki i Chortycy[2]).

---

[1]) Dnieprowe większe progi.

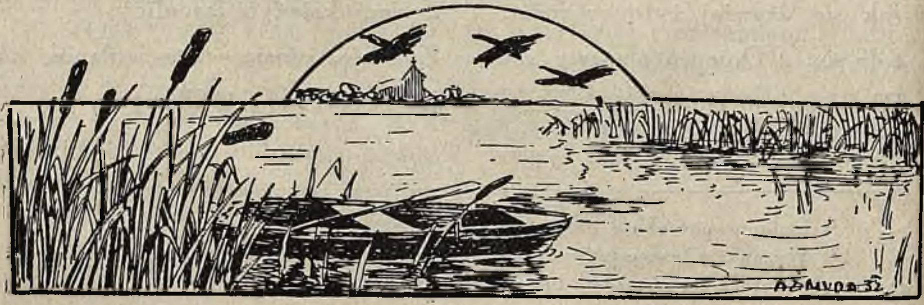
[2]) Wysepki t. zw. ostrowy dnieprowe, na których książę Dymitr Wiśniowiecki zbudował twierdzę i zgromadził lud dla obrony.

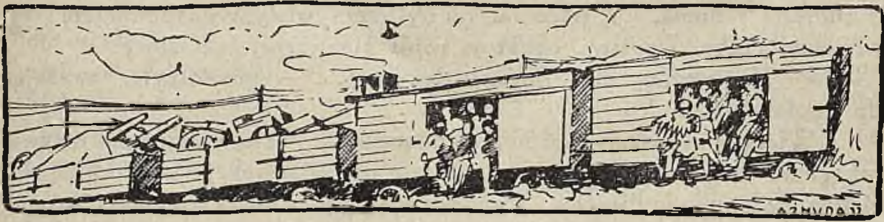
Hej ty, orle! Stój, nieboże!
Hej ty, orle, królu-ptaku!
Czyś nad Dnieprem latał może?
Czyś ty był na Czarnym Szlaku?[1]
Powiedz, czy tam żyje jeszcze
Mężny, dzielny duch praojców?
Czy tam dotąd sławią wieszcze
Swych pancernych, swych mołoj-
[ców?

„Bracie! Cisza w Ukrainie,
Lecz tu ziemia sama śpiewa.
Śpiewa siny Dniepr, gdy płynie,
Wtór mu grają łąki, drzewa,
I, witając wschód księżyca,
Śpiewa bujny wiatr jarami,
I rusałka jasnolica,
I zielony gaj za mgłami.

Na mogile stań tam wiosną,
Duch przeszłości cię owieje,
Orle skrzydła ci urosną
I uniosą w dawne dzieje!
Dawnych dni uczujesz tchnienie
Z dawną wiarą i kochaniem,
Bohaterów ujrzysz cienie,
Pierś ci wzbierze wielkiem łkaniem
Z żalu po tem, co nie wraca,
Co się w ciszy mogił kryje,
Co wspomnieniem kir ozłaca
I po wieki w sercach żyje!"

[1]) Droga Tatarów.





Odwrót

— Znów jadą — zauważył Józek, zawracając koniem włóczącym bronę.

Matka piorąca szmaty w strudze pod wierzbami podniosła głowę z nad roboty, mały Janek usilnie próbujący złowić płotkę upuścił dziurawy więciorek. Oboje spojrzeli ciekawie w stronę pobliskiego toru, gdzie dwa błyszczące węże szyn szczękały cienko przenikliwie, jakgdyby z trwogi przed nadjeżdżającym pociągiem. Już nadlatywał z grzmotem, łomotem, tak długi, że koniec jego tkwił jeszcze w lesie. Zahuczał krótko na moście, przeleciał. Z otwartych szeroko wagonów wyzierały stłoczoną ciżbą młode, krótko strzyżone głowy żołnierskie. Buchała pieśń, mieszając swój rytm silny i radosny w jednostajny stukot kół. Na odkrytych lorach jeżył się rozliczny sprzęt wojenny okryty płachtami. Siedzący na ostatnim wozie żołnierze machali rękoma do Janka i krzyczeli wesoło niezrozumiałe wskutek turkotu słowa. Przelecieli, znikli. Pióropusz dymu rozwlókł się po ziemi, wsiąkł w wilgotne łęgi. Trzeci to był transport dzisiaj, a chyba setny w ciągu ostatnich tygodni. Młode, świeżo sformowane pułki zaledwie wskrzeszonej Rzpltej szły falą na wschód, na kresy, gdzie tysiące rodaków oczekiwało ich nadejścia z upragnieniem, gdzie ich wyglądano jak zbawców, gdzie jawili się nocami we snach jak archaniołowie. Zbyt już długo Sowiety oszukiwały zaufanie Rządu polskiego, usypiały czujność nieszczeremi propozycjami niedoszłego pokoju borysowskiego. W czasie rzekomego sporu o miejsce narad, Rosja śpiesznie reorganizowała swe siły, powiększała gorączkowo armję, liczbę jej i sprawność Otrzymawszy niezbite dowody gotującego się najazdu, Rząd polski zdecydował się uprzedzić go.

— Skąd tyle wojaków nabrali?... — dziwiła się matka, — Bogu dziękować, ciebie nie wezmą... ledwo na siedemnasty ci idzie...

— Owa — roześmiał się Józek — i takby mnie nie wzięły, bez to, że tatuła niema...

— Bo pewnie.

Ogarnęła wzrokiem swego najstarszego syna, krzepkiego wyrostka z miłością i dumą. Od paru lat on był rzeczywistym gospodarzem i żywicielem chaty. Zmyślny, ochotny, robił nie gorzej jak stary.

— Nie wezmą cię, Bogu dziękować... — powtórzyła, wracając do swoich chust.

Wierzby zwieszały nad nią pachnące żółte bazie, na łące zakwitywał już gdzie niegdzie kaczeniec, co za parę dni miał pokryć całą dolinę złocistym, świetnym kobiercem. Szara siodłata gęś wodziła zielono-żółte gąsięta, ruchome kulki puchu. Kotki wierzbowe, gąsięta, kaczeniec, wszystko było tej samej złotej barwy przesiąkłe wiosną spływającą z przecudnie świetlistego, blado-turkusowego nieba. I na tle tych barw i pogody, myśl o toczącej się gdzieś wojnie, ku której przed chwilą z grzmotem i łomotem odjechał nowy zasiłek ludzi i broni, — wydała się tak nieprawdopodobną, że Chojakowa z westchnieniem rozejrzała się wokoło.

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny, — zachowaj nas, Panie!...— szepnęła z nagłym lękiem. — Niech sobie wojaki wojują, byle daleko, byle jak najdalej... byle nie tu... Panienko przenajświętsza, byle nie tu... dosyć się już ludzie wycierpieli, natrapili... zadosyć...

Och, nacierpieli się rzeczywiście przez ostatnich sześć lat. Nikomu one lekkie nie były, ale im chyba najcięższe. Zaraz w pierwszych dniach sierpnia 1914 r. ojciec wzięty został z mobilizacji do wojska i zginął w czasie ofensywy rosyjskiej na Karpaty. Spokojny równiak znający jedynie długie szare rzędy wierzb, łachy wiślane i szerokie łęgi mazurskie, położył głowę w groźnych i straszliwie obcych dlań górach, w uroczysku borów jodłowych i skał. Matka z dziećmi biedowała. Żelazne grabie wojny przechodziły wzdłuż i wszerz całą okolicę po wielekroć razy. Noce dygocące grzmotem armat, rozświetlone łunami, częstsze były o wiele niż ciche, rozdrgane chórami żab, miesięczne, a dnie, tygodnie głodowe nierównie częstsze od sytych. Front cofał się i powracał, znów powracał, znów się cofał. Gdy odchodził, dzieci wsiowe zbierały wraz z żołędziami dla trzody i chróstem na opał, porzucone, okrągłe jak jaja, lub podobne do szyszek, ręczne granaty, zapalniki od pocisków. Zbierały chciwie te zatrute owoce wojny mimo próśb, gróźb matek i ostrzeżeń wszystkich starszych. To też raz po raz wybuchało nieszczęście, jakgdyby nie dość było tych, które wojna niosła sama przez się.

— Ino go lekuśko pokręcim... ino go krzynę podniesiem...— mówili pastuszkowie, zebrani ciasnem kołem nad błyszczącym, do połowy zarytym w ziemi przedmiotem, i... zazwyczaj nie kończyli zdania. Zaklęta w mosiężnej pokrywie śmierć wybuchała, mordując, raniąc, roznoszac daleko zniekształcone dziecinne członeczki.

Chojakowa, matka Józka i Janka straciła w ten sposób troje dzieci. Zostali jej tylko ci dwaj. Najstarszy i najmłodszy. W tym samym roku kozacy obleli chatę naftą i spalili, — ich samych wraz

z całą wsią pędząc precz w świat, na bezpowrotne wygnanie. Niektórzy zmyślniejsi, odważniejsi od innych, Chojaczka i jej synowie w ich liczbie skryli się po drodze w lesie i po kilku dniach wrócili do spalonej wsi. Zamieszkali w lochu po ziemniakach. Dopiero w zeszłym, 1919 roku, ze szczupłej zapomogi Rządu Polskiego odbudowali sobie chatę, małą i koszlawą, lecz która wydawała się im pałacem. Hej, użyli rzeczywiście wojny, nadużyli jej rozkoszy do syta...

— Niech se wojują, byle daleko, daleko... Nie tutaj, Jezusiczku, nie tutaj — powtarzała Chojaczka wdowa, trąc usilnie prane szmaty.

*
* *

Gdy wyjątkowo w tym roku rychła i ciepła wiosna minęła, czerwcowe noce rozjarzyły się gwiazdami, a siano zbierano już w kopki, — coś poczęło się psuć na dalekim, o tysiąc kilometrów odległym, na tysiąc kilometrów rozciągniętym dotychczas zwycięskim froncie. Zrazu były to tylko niejasne pogłoski, raczej przeczucia, powtarzane szeptem pełnym zastrzeżeń, dzień za dniem potwierdzające się coraz uporczywiej, złowróżebniej. Aż nareszcie zaczęło cofać się wojsko. Te same oddziały, co przed paru miesiącami szły naprzód niepowstrzymanie, rodośnie, zuchwale, — wracały teraz znękane, przejęte trwogą przed tym samym bolszewikiem, którego niedawno za psa miały. Dlaczego tak się stało? Co ich odmieniło? Daremnie pytać. Oni sami nie wiedzieli, nie umieli odpowiedzieć. Być może dlatego, że najgorszem złem, jakie człowieka może spotkać, jest ł a t w e p o w o d z e n i e. Co zdobywasz w trudzie, piędź za piędzią, tego nie oddasz. Co lekko nabyte — lekko zbyte. Gdy żołnierz przywyknie iść naprzód bez walki, traci głowę byle się ścigany odwrócił.

Pociągi idące na front z posiłkami i wracające, przepełnione rannymi, mijały się na torze, zatarasowywały sobie wzajemnie drogę. Syreny maszyn wyły wśród nocy dojmująco jak stado psów. Potem zaczęły się pojawiać oddziały piesze. Żołnierze szli posępni, utrudzeni. Nie dogadałeś się z nimi. Pili chciwie wodę wprost ze strugi, kłócili się o wiadro przy studni. Sąsiadki wybiegały tłumnie z chat żądne nowin. Lecz żaden z cofających się nie wiedział nic naprawdę. Choć front oddalony był jeszcze o sto kilometrów zapytani oglądali się za siebie, jakgdyby spodziewając się ujrzeć konnicę Budiennego wyjeżdżającej z pobliskiego lasu. W oczach ich tkwił lęk wywołany wspomnieniem straszliwego zalewu Mongołów, czerni dzikiej i brudnej, Kirgizów, Chińczyków, wielkoruskich brodaczy chmary nieprzeliczonej, co sunęła niby potworny wał, niby szarańcza.

— Dyć ich tu nie puścita? — pytały z rozpaczą kobiety, czepiając się rąk żołnierzy.

Oglądali się wkoło niepewnie. Ogarniali spojrzeniem srebrne rzędy wierzb, szerokie łęgi, między któremi opodal połyskiwała Wisła,

Wisła macierz, Wisła rzeka wierna, co nigdy granic Polski nie opuszcza, tak rdzennie polska jak mowa słowiańska.

— Kiej ich nie chceta bić, to przyjdą... laboga! laboga! — lamentowały kobiety.

Z bezradnem wzruszeniem ramion odchodzili, ginęli w obłokach kurzu wznieconego tysiącem kół, tysiącem stóp. Cały gościniec bywał zawalony taborami, zdezorganizowanemi oddziałami, a przedewszystkiem tłumem nieprzeliczonym ludności cywilnej, uciekającej z zagrożonych lub zajętych już obszarów. Wozy spiętrzone najróżnorodniejszym dobytkiem, uwiązane z tyłu, ryczące podbite krowy, przerażone oczy tułaczy, płacz dzieci. Ach niemasz straszniejszej rzeczy na świecie, jak spokojna ludność zmuszona rzucić swoje pola, swoje domy i uciekać precz przed najeźdźcą na nędzę na poniewierkę! To też ci, co jeszcze tkwili (jak długo?) na miejscu, stawali przy drodze patrząc z załamanemi rękoma na rzesze tułaczy.

— Dziś wy, jutro pewnie my, — mówili — zazwyczaj nieużyci, nie szczędzili mleka ni noclegu dla uciekających, wiązki siana dla zdrożonych koni. — Dziś wy, jutro pewnie my...



Natomiast obrzucano wyzwiskami cofających się żołnierzy.

— Nie chceta nas bronić! Nie żal wam tej świętej ziemi! — wołały kobiety.

Myjący w strudze, zdarte do żywego ciała stopy, żołnierz, spojrzał na nie przenikliwie.

— Stulcie gębę! — wrzasnął z nagłą wściekłością. — zatracona ich psia mać! Samiśta winni, samiśta tego chcieli! Wszyscyście winni, nie my!

Baby zachłysnęły się zdumieniem, aż im dech zaparło.

— Wy są winni! — powtarzał z pasją zajadłą, — boście nas poniechali, ostawili! Co żołnierz wart jak za nim naród nie stoi? Dbał kto o nas? Myślał? Cośta tu robili, kiej my krwawili się cięgiem? W Sejmie się wadzić, a psioczyć na wszystko, a na wojnę pomstować, że jej nie trza, że lepiej niech już wojsko wraca do domu, a o reformę rolną się użerać! Kto ziemię dworską dostanie, to wama było lube i ciekawe, nie wojsko! Tfu! wstyd! Odezwy nam bolszewiki rzucały do okopów, w których pisały, że głupie my, co się bijemy, bo w Warszawie o nas nie stoją... Myślelim, że łgarstwo, aż raz ktoś ga-

zetki z kraju dostał... Patrzymy... O Jezu, prawda! ...to nas taka żałość ogarnęła... taka złość... Żołnierz bije się dobrze jak za nim stoi cały naród... Ażeby was wszystkich pierony! — zakończył niespodziewanie i odszedł za innymi.

Baby patrzyły po sobie wzdychając, bo silnie przemówił. Nie wiedziały, słusznie gadał, czy nie? Może i słusznie. Prawda, że radzi byli wszyscy, by żołnierze odjechali jak najdalej, by ani słychu o wojnie nie zaczuć i więcej się o nich nie kłopotali. Zatrwożone wstającem przed niemi po raz pierwszy widmem współodpowiedzialności za klęskę, patrzyły tępo w dalszym ciągu na sunący drogą korowód nieszczęśliwych ludzi i paniką ogarniętych wojsk. Patrzyły tak nazajutrz i przez szereg dni następnych. Żniwa były coraz bliższe, a groza coraz większa. Stokroć gorsza od gradu, od nawałnicy, od ciemnosinych chmur przewalających się skłonami nieba, była nieustająca świadomość, że z każdą chwilą zbliża się zagłada, koniec wszystkiego, antychrystowe panowanie.

A gdy tak w Polsce lęk obezwładniał członki, w Moskwie już radowali się carowie czerwoni, już rozsyłali po całym świecie wieści, że Warszawa lada dzień będzie wzięta, że Polski już niema, Niema! Niema Polski! Na chwilę wskrzeszony runął znów mur broniący przez wieki chrześcijaństwo przed zalewem mongolskim! Runął i już nie powstanie.

Lecz przedwczesne to radości. Jeszcze w porę obudzi się naród. Wobec straszliwej grozy już zapomniane, wygnane z umysłów wewnętrzne rozterki i waśnie. Jedna myśl przenika wszystkich. Ochotnicy! Ochotnicy! Zbierają się zewsząd falą. Przybierają jak wiosenna woda. Przybywa ich z każdym dniem. I Józek Chojaczki wdowy, i rówieśnicy jego wsiowi i tysiące innych. Powstali wielką gromadą. Idzie przez nią dreszcz zapału, iskra poświęcenia. Podobny dreszcz, podobny płomień przebiega skroś tłumu zebranego w kaplicy Jasnogórskiej w chwili cudu uzdrowienia. Czy i tu cud nie nastąpi?

* * *

Upalne popołudnie sierpniowe przesycone złocistą kurzawą czerwieniało już blaskiem zachodu, gdy 21 dyw. sowiecka i dwie brygady 27 dywizji porwały się do ataku o przechodzący z rąk do rąk Radzymin. Gdy broniący go dotąd bohatersko 46 p. p. zasłał gęstą ścielą śmierci bagnistą dolinę opływającej miasteczko rzeczki Rzondzy, tracąc wszystkich prawie oficerów i połowę szeregowców, — przyszła mu w pomoc 19 dywizja litewsko białoruska, ta sama, którą przed dwoma dniami Naczelny Wódz nazwał w rozkazie „niezrównaną“. Strzelcy, w przeważnej liczbie ochotnicy kresowi, parli z furją do boju. Walcząc o Warszawę, o istnienie Polski, walczyli o serdeczne swoje Wilno. Wilno, Wilno! kołatało im w duszy, gdy pędzili z nastawionemi bagnetami pod straszliwym gradem kul sowieckiej artylerji. Huk strzałów z pod Radzymina słyszano wyraźnie w Warszawie. Słyszeli je ludzie

rwącemi głosami powtarzający w kościołach błagalne litanje. Słyszeli je cudzodziemscy dyplomaci już spakowani do ucieczki, wstrzymywani jedynie przykładem nieulękłego nuncjusza, msgra Ratti. Słyszały je stare mury i nowe przedmieścia. I na ten huk kto jeszcze ostał się w domu ze zdatnych do walki, — biegł w szeregi ochotników.

Ochotnicy stali na pozycjach gęsto rozmieszczeni między pułkami regularnemi rywalizując z niemi co do męstwa i wytrzymałości. W zamęcie gotującej się ostatecznej rozprawy, jedni i drudzy nie jedli od paru dni ciepłej strawy, stojąc w twardym ciągłym boju nie spali od szeregu nocy. Zdarte na strzępy trzewiki nie ochraniały opuchniętych, poranionych nóg. Lecz trwali mężnie w poczuciu, że chwile które nadchodzą, decydują o życiu Narodu. Zbratani wspólnym wysiłkiem stali ramię przy ramieniu, stare wygi z wojny światowej, cywile co nigdy dotąd prochu nie wąchały, robotnicy, rzemieślnicy, uczeni, gimnazjaliści, harcerze... Niejeden z nich nie znał jeszcze dobrze mechanizmu broni gdy szedł na pozycję. Niejeden otrzymał najwyższą rangę chwalebnej śmierci za Ojczyznę zanim nauczył się rozróżniać rangi zwierzchników. Według zdania Naczelnego Dowództwa cechowało te oddziały złe wyćwiczenie i nieustraszony zapał, — nadmiar inicjatywy i zupełny brak doświadczenia bojowego. Odporność duchowa i liche, bardzo liche zaopatrzenie materjalne. Niezmierną trudność w dostarczaniu amunicji sprawiała zbieranina karabinów systemów francuskich, włoskich, angielskich, austrjackich, niemieckich i rosyjskich. Wszyscy zaś i wszędzie mieli przeciw sobie olbrzymią przewagę sił bolszewickich.

Wielki front bitwy pod Warszawą zakreślił trójkąt obronny wokół stolicy. Podstawę trójkątu stanowiła linja Modlin—Karczew, wierzchołek tkwił w Serocku. Naczelny Wódz wyjechał z Warszawy osobiście kierując na południu genjalnie obmyślanem uderzeniem z flanki, które miało zdruzgotać i odrzucić precz zbyt przekonanego o swem zwycięstwie nieprzyjaciela. Przygotowaniem Warszawy do obrony kierował gen. Sosnkowski, minister w Rządzie Obrony Narodowej. Z Warszawy jak z wielkiego serca bijącego leciały na wszystkie strony rozkazy, wskazówki, decyzje. Zatłoczony poczwórnym łańcuchem ludzi i pojazdów most Kierbedzia nie wystarczał dla utrzymania łączności, przeto saperzy wznosili gorączkowo drugi pontonowy poniżej łuków prześlicznego, przez Niemców zniszczonego, mostu Poniatowskiego. Gen. Latinnik kierował osobiście tłumem cywilów sypiących okopy. Wodzem armji ochotniczej był popularny gen. Józef Haller i gdzie pojawił się w swym błękitnym mundurze, lekko utykający, z pełnym wiary uśmiechem na dobrej twarzy, tam wybuchała wrzawa powitalnych okrzyków. Na wszystkich prawie odcinkach trwała nieustanna walka, przeto huk dział nie milkł na chwilę. W kościołach biły rozgłośnie dzwony na uroczyste święto Wniebowzięcia i młodziutcy żołnierze myśleli, że szczęśliwy kto dzisiaj dla dobrej sprawy umiera, bo go Matka

Boża pod swój płaszcz zagarnie i w niebo poniesie. Gdzie chwilowo panowała cisza i żołnierze wpół żywi z trudu odpoczywali, czytano po raz dziesiąty wczorajszy rozkaz Naczelnego Dowództwa, krążący z rąk do rąk, z ust do ust:

...Żołnierze! gdy w wichurze ognia ruszycie do ataku, — pamiętajcie, że nietylko o wiekopomną sławę, lecz o byt i wolność Ojczyzny walczycie. Na ostrzach waszych bagnetów niesiecie dziś przyszłość Polski! Sercem i myślą jest z wami cały Naród!

...Cały Naród...

Tak, to była prawda i czuł to każdy z żołnierzy. Długo obojętny Naród dzielił teraz ich walki i znoje. Tysiąc modlitewnych myśli leciało ku każdemu z nich chroniąc i krzepiąc, podwajając siły. Nie było poszczególnych żołnierzy, ochotników, cywilów. Znikły zawody i stany. Była sprężona w jedno, wstająca nagle w lwim porywie cała Polska.

Na niezbyt od Radzymina odległym odcinku Ossowca, 216 p. p. złożony prawie wyłącznie z ochotników, odpoczywał czekając na chwilę, w której rozkaz pchnie go do ataku. Gromada „wiarusów“ z których każdy przed tygodniem siedział jeszcze w ławce szkolnej, otaczała szczupłego księdza w długiej czarnej sutannie. Był to ich prefekt, ks. Ignacy Skorupka. Poszedł na front wraz z całą swą klasą. Nie zdjął sutanny choć chłopcy żartowali z niej, w marszu zawijał tylko jej poły, co tworzyło rodzaj dziwacznego fraka. Teraz gorąco, choć daremnie, namawiał do powrotu drobnego trzynastoletniego malca, co uciekłszy z domu, przybiegł przed chwilą z karabinem (zapewne gdzieś zwędzonym), z zamiarem pozostania w szeregach.

— Idź do sypania okopów, Kaziu — tłumaczył — więcej się tam przydasz jak tu...

— Okopy mogą sypać stare baby... Ja chcę się bić...

— Nie dźwigniesz nawet porządnie karabinu...

— Ojej! I jak! lepiej od księdza prefekta...

— Wojsko to nie miejsce dla dzieci... Zdążysz jak dorośniesz...

— Mniejsi ode mnie obronili Lwów.

Tym argumentem zamknął usta wszystkim. Pozostał. Ksiądz przesunął ręką po jego jasnej głowinie i zamilkł. Zamyślony powiódł wzrokiem dookoła. Upał znojny, kurz, widoczne u wszystkich nieludzkie zmęczenie i — pełne niewygasłego zapału oczy.

— Muszą zwyciężyć — pomyślał.

Żołnierz z drugiej kompanji nadbiegał, wołając zdaleka, że przyniesiono ciężko rannych. Ksiądz porwał się z miejsca, nałożył na szyję wyciągnietą z kieszeni stułę i pomaszerował żwawym krokiem. Nim wrócił, już trąbki grały do ataku. Nie zdejmując stuły, z krzyżem w ręku, pobiegł za kompanją, dogonił „swoich“ chłopców. Rozsypani w rzadką tyraljerę biegli odkrytą równiną pokrytą ostrem, świeżem ścierniskiem. Niemniej gęsty od ściętych źdźbeł słomy, deszcz kul nie-

przyjacielskich bił w nich, przygważdżał do ziemi. Padali na ostrą, sztywną ścierń i porywali się znowu razem mniej liczni o połowę. Zdziesiątkowani, widzieli z rozpaczą, że nie dobiegną, nie zmuszą do milczenia sowieckich „maszynek“, co ich wykoszą do szczętu. Nie dadzą rady! Zgłuszony poprzednio zapałem obudził się przyrodzony lęk przed śmiercią, w członkach ożyło zmęczenie. Zawahali się... cofnęli...



— Chłopcy! co robicie?! Naprzód!... — krzyknął doganiając zaziajany ksiądz. Porwał się przed nich z płomieniem na twarzy.

— Królowo Korony Polskiej! Wspomóż! Za mną dzieci! Za mną!

Biegł z krzyżem wysoko wzniesionym, wysoki, widny zdaleka. Nieprzyjaciel coraz bliższy. Już można rozróżnić pojedyncze twarze. Biegnącemu księdzu wydaje się, że to nie durne i dzikie rosyjskie chłopy spędzone tutaj batami, lecz sam ucieleśniony odwieczny wróg chrześcijaństwa, ten sam, z którym walczyli Godfryd de Bouillon i mężny rycerz Roland, i śląski Henryk Pobożny i tysiące co najlepszych. Zasłane trupami ściernisko na mazowieckiej dolinie to Lignica, Cecora

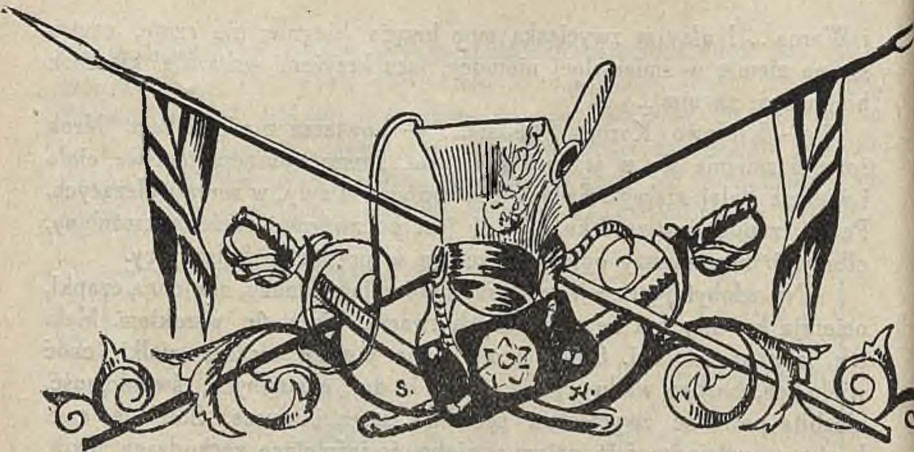
i Warna... I ufny w zwycięską moc krzyża biegnie, nie czuje, osuwa się na ziemię w śmiertelnej niemocy, lecz krzyżem wskazuje kierunek biegnącym za nim...

— Królowo Korony Polskiej... — powtarza z uśmiechem. Mrok śmierci zmienia się w jasność świetlistą. Dusza opuszcza martwe ciało i wiedzie dalej szeregi. Świeża moc wpływa w żyły, w serca walczących. Pędzą, zapomniawszy lęku. Każdy jest poczwórny, zdziesięćkrotniony, olbrzymi. Przestawszy ognia pierzchają w popłochu bolszewicy.

Na zdobytej pozycji żołnierze nabierają oddechu, zdejmują czapki, ocierają krwawy pot ze strudzonych twarzy. Liczą się wzrokiem. Mało ich, lecz są radośni. Choć przed nimi jeszcze ciężkie walki, choć wielu ich, bardzo wielu zginie jutro i dni następnych, świadomość, niezbita pewność zwycięstwa przenika serca i dusze. Stał się cud. I z korną wdzięcznością patrzą w niebo, co jaśniejące zachodzącą zorzą, nachyla się opiekuńczo ku ziemi jak macierzyńskie oblicze.

Zofja Kossak Szczucka





Bohaterska dziewczyna z Proszowic z roku 1863

Wyjątek z opowieści p. t. „CICHE BOHATERKI 63 r."
napisany dla kobiet z ludu

Hej tyle cierpień, bolu i krwawice,
Zmieńmy raz obraz, czyżeśmy łzawnice,
Którym łzy tylko rozpaczne przystoją,
Czyżeśmy harfy pęknięte co dwoją
zgrzyty? Ach chwili jasnej wypocznienia,
Ach, cichej wioski, słonecznego lśnienia,
Śpiewu pastuszków, wierzbowej fujarki,
Miłością tchnącej młodzieńczej pogwarki,
By choć na chwilę zapomieć o losie
Wydziedziczonych i wojny chaosie.

Wesele

Lato już kwiatem osypuje sioła
I lud do pracy przynagla i woła,
Dzień tylko święta zostawia wywczasom;
A chociaż radość ku górom i lasom
Dalekich krain uszła od Lechitów,
To jednak blisko Podwawelskich szczytów,
W zakątku wioski cichej i nieznanej,
Gdy ślub da Kościół, lud puszcza się w tany
Chcąc choć na chwilę otrzeć pot ze skroni
I smutek zdusić co go wszędy goni.
Toż i z Proszowic na Krakowskiej ziemi
Granie dolata dźwięki zciszonemi,
Płynie nad łąki aż zgaśnie nad wodą,
Która je zmoże swą grą i urodą...
Kto jednak blisko chaty jest wójtowej
Jak grają po wsiach dopiero się dowie.
Dźwięk basów, skrzypiec od izby aż bucha,
Sam w takt popycha. Toć cudna dziewucha
Wpół obłapiona kręgi raźne toczy,
Jeno fruwają wstęgi od warkoczy,
Jeno kwieciste fruwają spodnice,
Gdy w tańcu przemkną wiejskie baletnice.
Chłopak krakuskę raz wraz se poprawi,
Aż się zachwieje na głowie pęk pawi,
Aż się głęboko w tańcu zakołysze
Jak serce chłopca, co miłością dysze.
Wszystko muzyką opite, omdlałe;
Nawet te ojce od lat posiwiałe,
Nawet i dzieci i sam żyd brodaty
W takt przytupują — wszystko jak przed [laty.
Lecz jeden chłopak wsparty o przypiecek,
W gromadzie małych, popychanych dzie- [cek.
Stoi sumując, targając wąsika
I zda się smutek głęboki przełyka.
Nic go nie wzruszą wstęgi ni korale,
Ni wzrok dziewuchy rzucany zuchwale.
Tu niema jego najmilejszej druchny,
Czyż dzieli placki w komorze matuchny?
Wciąż jej nie widno... Dłużej nie chce [czekać,
Poprawił pasa i dalej uciekać
W ogród księżycem jak w dzień oświecony.
Jako na dłoni widnieją zagony,
Co od ogrodu w pola ciche biegną.
Nim na nich zboża skoszone polegną,
Zieloną runią kłaniają się wiosce,

Kłaniają niebu. Lecz że Jasiek w trosce,
Nie widzi zgoła drogiego zagonu.
Jemu od ziemi aż do nieboskłonu
Najmilsza jedna, wybrana dziewucha.
Czem bez niej granie. Nawet go nie słucha.
Oczy i serce wpił w kwieciste sady,
Gdzie Maryś znajdzie, dojdzie z nią do
[zwady
Za to dzisiejsze nieznośne czekanie.
Potem z ust słodkie zbierze przepraszanie.
Ujrzał ją wreszcie przy świetle miesiąca
Samotną całkiem. Wiatr lekko potrąca
Wstęgi wzorzyste i włosy nad skronią.
Jakby nie czuła pod kwietną jabłonią,
Że ku niej idzie miłość co ją czeka...
Jakby nie pomna, że szczęście ucieka,
Więc trza je chwytac jak ptaka w odlocie,
Barwna a cicha stoi jak stokrocie
W księżyc wpatrzone i w bladziutkie chmu-
Jaśkowi żałość wbiła złe pazury [ry.
Bólem w głąb serca, pomimo uroku,
Jednym podskokiem stanął u jej boku
I tłumaczenie brał z jej ust różanych,
Takich najmilszych i tak ukochanych.
Lecz Maryś naraz zimna jak głaz stała,
Jakiej nie pomni i nad dziw wspaniała,
Rękami w krezach świątecznej koszuli
Jaśka odpycha i zgoła nie tuli,
Potem milcząco widnokrąg wskazuje.
Jaś wylękniony ani odgaduje
Ni się domyśla co to wszystko znaczy,
Zwyczajny, ciemny parobek prostaczy.
Wtedy Marysia wsparłszy o płot rączkę
Szepce, że nie czas na ślubną obrączkę,
Kiedy się bracia o los Polski biją,
Z wrogiem mocują i po lasach kryją
Jako zwierz dziki. A tutaj piecuchy
Hulają wściekle, zamiast bić się... Zuchy.
I dalej chłopcu gorąco tłumaczy
Co to Ojczyzna i miłość jej znaczy.
Ją pani z dworu dobrze nauczyła
Jak kraj swój kochać, więc po nocach śniła
O drogiej Polsce, w czem powód jej zgu-
Hej, taka wielka, aże po Kaszuby [by?
Z północka, aż po morze jak noc „Czarne"
Z południa. Państwo groźne i mocarne
Było póki je wrogi chciwe nie rozdarły.
Bodaj przepadły wściornaście i zmarły.
Lecz dziś najlepsi ojczyzny synowie
Za nią w bój idą i świat już nie powie,
Że nie bronili swojej ojcowizny
I nie pomścili, bo w duszy zgnilizny
Zaczątek mieli robaka, co toczy
Niewolnych ludów mgłą zajdzione oczy.

* * *

Marysia prawi niczem ksiądz z ambony
Ludziom zwołanym srebrzystemi dzwony.
Jej stułą wstęga od sznurów korali
Taka płomienna jak twarz co ją pali.
Te dobre słowa, ta cudna ambona
Pod kwietnym sadem jakgdyby stworzona,
By grzesznikowi roztrząsnąć sumienie.
W Jasieńka zeszło naraz zrozumienie:
„Ojczyzna" jęknie, obłapi dziewczynę,
„Lecę już, lecę, niechaj dla niej zginę
Byle znów wolną i mocną się stała,
O Ty, najmilsza Marysieńko biała!"
I od jej kolan chyli się nad grzędy,
Dotyka usty, chce bronić jej wszędy.
Tym pocałunkiem ślubuje swą służbę,
Urywa kwiatek na znak dobrej wróżby
I wstaje hardym już obywatelem
Polskiej ziemicy, polskich krzywd mści-
[cielem.

Potyczka

W bój poszli razem. Krakowska płótnianka
Stroi tę parę. W zorzy złotej ranka
Błyszczy się kosa w Jaśkowej prawicy,
A druga w ręku mściwej krasawicy.
Szli w wonny ranek prosto za okopy,
Dokąd ukradkiem suną z kosą chłopy.
Nie długo pomsty oboje czekali:
Las wroga zrzednął — tęgo nasi prali.
A gdy się bitwa ku końcowi miała,
Dzielna Marysia kulę w skroń dostała,
Jaś drugą w serce. Do nóg lubej runął,
Strasznie zacharczał, krwią z purpury splu-
Ręki Marysi z wysiłkiem dosięgnął, [nął,
„Polska niech żyje" ostatkiem tchu jęknął...
Wietrzyk nań powiał jakąś pieśń daleką,
Jaką weselni śpiewają... Łzy cieką
Z ócz konającej, prześlicznej dziewczyny,
Cichnie muzyka — to ich zaślubiny.

Więc niemasz, niemasz cichego zakątka
Póki wolności nie wysnuje prządka...

Marja Bruchnalska

Pisane w Białej 20. III. 1915 r.



Święta noc

(Opowieść kresowa)

Wania Iwanowicz Aleksiejew i Michał Michajłowicz przedzierali się przez granicę polską, z wyraźnym zamiarem podpalenia domostwa osadnika, Józefa Jaworskiego. Śnieg mokry prószył, oblepiał ich ubrania oraz twarze i czynił raczej podobnymi do poruszających się śnieżnych bałwanów, aniżeli do żywych ludzi.

— A to psia pogoda — na koniec nosa niczego nie widać — klął Michajłowicz, brodząc po kolana w śniegu.

— Cicho — uspokajał go Wania — bo jeszcze, do wszystkich czortów gotowi nas usłyszeć. Uważaj lepiej, byśmy z powrotem drogi nie zmylili.

— Nie zmylim, będziemy mieli przynajmniej za sobą jasno.

Zaśmieli się krótko, cynicznie i w milczeniu posuwali się naprzód. Szli wolno, ostrożnie, jak wyżły strzyżąc uszy i wbijając wzrok w ciemną dal. Czasami znów na najmniejszy podejrzany szmer padali na ziemię, przywarowywali bez ruchu i dopiero po dobrej chwili badali oczyma okolicę.

— Byleby dojść tylko do opłotków — Michajłowicz. Tam będzie nam już znacznie bezpieczniej.

Aczkolwiek przestrzeń dzieląca ich od wsi nie była zbyt wielka, to przecież wydała się im ona nieskończenie długa. Dowlekli się przecież jakoś niepostrzeżenie i uspokoili dopiero na wiejskiej ulicy. Była ona niemal zupełnie pusta, od czasu lylko do czasu skrzypnęły odrzwia chat, przez gościniec przebiegła postać i nikła pośpiesznie w sąsiednich zabudowaniach.

Wańka zatrzymał się przed jakąś jasno oświetloną chatą.

— Słuchajno Michajłowicz! Zdaje mi się, żeśmy zaszli za daleko.

— Jaki był prykaz?

— Trzecia chata na prawo.

— To chyba tu!

— Chyba.

Odwrócili się i poczęli skrupulatnie liczyć — jeden — dwa — tak, to trzeci z rzędu — zgadza się.

— A zatem chodźmy!

Nie wchodzili jednak, dopóki szczegółowo nie zlustrowali oczyma podwórza, ale i tak jeszcze poczęli się naradzać.

— Słuchajno, pan Michajłowicz! Ty jesteś mocny w garści i umiesz się zawsze wyłgać. Idź naprzód sam i popatrz przez okno, ile jest osób w chałupie. Ma być cztery — rozumiesz cztery — ojciec, matka i dwie córki. A spotkasz kogo na podwórzu, to zdziel pięścią między oczy i w nogi — rozumiesz?

Michajłowicz milcząco skinął głową, wszedł na podwórze i przez okno patrzał w głąb.

Upłynęła spora chwila. Wańka począł się niecierpliwić.

— Tst... Michajłowicz — syknął Wańka — co tam tak szczerzysz gały. Wszyscy są w domu?

Cisza.

— Pan Michajłowicz — słyszysz?

— Cisza.

— Michajłowicz, czyś ty się wściekł? Czemu nie gadasz kogo widzisz.

Ale Michajłowicz ani drgnął. Przywarł tylko twarzą do szyby i patrzał — patrzał — patrzał.

Nic nie słyszał, nic nie widział, w tej jednej chwili zatracił świadomość miejsca, przestrzeni i czasu, kędyś z najskrytszych zakamarków duszy pełzły wspomnienia dawno minionych chwil, przed oczyma stanęły ongiś bliskie mu osoby, które dla nowych proroków porzucił, a znieruchomiałe źrenice wpijały się zazdrośnie w rodzinę dzielącą się opłatkiem.



Cofnął się dopiero, gdy Wańka za ramię począł go ciągnąć z całej siły.

— Czyś ty, Michajłowicz, odszedł od rozumu?

— Daj mi spokój — zostaw mnie jeszcze chwilę.

— Nie zostawię!

— Zostaw mówię ci!

— Nie zostawię — jeszcze twarzą szybę wydusisz. Ot byłby i kłopot. Gadaj coś widział — wszyscy są w domu?

Michajłowicz oprzytomniał, przesunął dłonią przez oczy i splunął ze złością.

— Tfu — czary, czy co?

Czuł jednak, że w mózgu kryje się jakaś tląca iskierka, której nie potrafi zdusić.

— No — gadaj, wszyscy są w domu?

— Wszyscy.

— I co robią?

— Święty wieczór!

— Zgłupiałeś do reszty, Michajłowicz? To co, że święty wieczór, przecież my dostali taki prykaz, aby tego burżuja w święty wieczór podpalić. Teraz czas — chodźmy do roboty — benzynę masz?

— Mam!

— Dawaj!

Musieli się jednak cofnąć. Zwietrzyły ich bowiem psy i rzuciły się na nich z wściekłą zajadłością.

— Widzisz, Michajłowicz, coś narobił — gniewnie prawił Wańka, kryjąc się równocześnie za jakimś brogiem na ogrodzie. Gdyby nie twoje dureństwo, bylibyśmy już skończyli — a tak co — musimy czekać, aż się psy uspokoją. Et durak z ciebie!

Wania zcichł i zrezygnowany usiadł na śniegu, Michajłowicz zaś posmutniał i w milczeniu mykał z brogu siano.

— Co ty robisz — zapytał Wania Michajłowicza po chwili.

— Mykam siano. Musimy sobie zrobić otwór w brogu, aby się trochę bodaj zagrzać. Jak tak dalej pójdzie to i godziny nie wytrzymamy.

— A widzisz — mądry Polak po szkodzie — mruczał Wańka. Wstał jednak i począł towarzyszowi pomagać.

Po chwili znaleźli się w stogu.

Było im tu znacznie zaciszniej, ale ziąb idący z pola doskwierał dokuczliwie.

Michajłowicz położył się na wznak, ręce podsunął pod głowę i myślał, natomiast Wania co chwilę wysuwał głowę ze stogu i klął przeraźliwie.

— A to psia pogoda. Nawet chudoby na pole w taki czas wypędzaćby się nie godziło, brrr..., zimno! Słuchajno, Michajłowicz, a wódka u ciebie jeszcze jest?

— Jest.

— To daj.

Michajłowicz wyjął flaszkę.

Wańka przełknął kilka tęgich haustów, splunął i flaszkę oddał.

— Masz, pij i ty! To rozgrzewa.

— Nie — nie mam dziś ochoty — pij, jeśli chcesz.

Wańka niedowierzająco pokręcił głową.

— Ej, Michajłowicz, ty dzisiaj jakiś niesamowity. Naprzód przez okno patrzysz, aż mało ci oczy nie wyskoczą, a teraz nawet wódki pić nie chcesz. Gadaj zaraz, co ci jest?

— Eeee — nic — tylko mi tak jakoś koło serca markotno,

Zamilkli i chwilę leżeli bez słowa.

— Wańka!

— A co?

— Masz ty matkę?

— Chyba, — musi gdzieś być, ale jej nie pamiętam.

— A ojca masz?

— Et — co ojciec?

— A braci, siostry?

— Mnie się zdaje, Michał Michajłowicz, że dzisiaj ciebie gez ukąsił. Cóż ty nie wiesz, że dziś niema ani ojca, ani matki, brata, ani siostry, jest tylko komunizm.

— Wiem, tylko widzisz Wańka, ja miał matkę, ojca, braci, dom i wieczór święty, taki jak dziś, pod obrusem siano, a po rogach izby snopy zboża. A w izbie ciepło, miło, przytulnie, kolędujemy — hej, co my to kolędowali — aha — W żłobie leży — Wśród nocnej ciszy — W Dzień Bożego Narodzenia — a potem, wiesz, przychodzą przebrani za Heroda, djabła, śmierć — et, i to wszystko poszło do czorta.

Zmilkł znów na chwilę i zanurzył się w wspomnieniach.

— Wańka!

— A co?

— A jadł ty kiedy barszcz?

— Chyba żem jadł.

— Ale wiesz — taki wigilijny — z uszkami.

— Nie — u nas w ochronce Wigilji nie było, a później to ja także nie jadł.

— A ryby, pierogi, gołąbki, kutję jadł ty?

— Nie — kutji to ja nigdy nie jadł.

— Nie jadłeś, to szkoda — i Michajłowicz aż mlasnął językiem o podniebienie, — bo to dobre, bardzo dobre.

— Wania!

Wani było jednak tego za dużo i aż siadł na sianie.

— Słuchajno, pan Michajłowicz! tyś dzisiaj naprawdę zwarjował i głupstwa wygadujesz — już się trochę uspokoiło i czas się brać do roboty — czas!

— Czekaj, chciałem ci tylko powiedzieć, że możebyśmy dziś z tą robotą dali spokój.

— Dlaczego?

— Widzisz. Dziś święty wieczór. Możeby tak zamiast palić, pójść w gościnę do Jaworskiego. Ja jego znam. My razem służyli jeszcze w carskiej armji. Napewno nas nakarmi i napoi. A nie on, to inny, bo dziś przecież nie godzi się gościa odpędzać.

— Tyś oszalał. A prykaz gdzie? Daj zaraz benzynę!

— Nie dam!

— Nie dasz?

— Nie.

— Czekaj, sam ja sobie wezmę!

— Spróbuj!

Stali naprzeciw siebie jak wściekłe psy, gotowe rzucić się każdej chwili, wodząc po sobie zakrwawionemi białkami.

Widocznie Wania wyniku walki nie był pewny, gdyż się nagle uspokoił i rzekł prawie obojętnie.

— Jeśli nie dasz, to nie, zatrzymaj ją. Mam przy sobie smolne łuczywo, obejdę się bez ciebie.

Oddalił się parę kroków od Michajłowicza i zapalił smolną szczypę.

Źrenice Michajłowicza zapłonęły, jak u wilka, ale się jeszcze hamował...

— Wania! Mówię ci po dobremu, zgaś łuczywo.

— Nie.

— Zgaś łuczywo!

— Nie.

— Nie zgasisz?

— Aha — zgasić mi każesz — podpalić nie pozwolisz — komunizm zdradzasz — wylazła z worka twoja przeklęta polska natura — na święty wieczór ci się zachciewa — ty kontrrewolucjoner — ty ścierwo — gdyby to było u nas — zarazbym cię oddał czerezwyczajce — jużby się ona z tobą pobawiła, — ty psie burżuazyjny.



Krew uderzyła Michajłowiczowi do głowy. Na krok zbliżył się do Wani.

— Po raz ostatni ci mówię, zgaś łuczywo!

— Nie!

Ciężka pięść chłopa zwisła sekundę w powietrzu i z całej siły grzmotnęła Wanię w pysk.

Oblany posoką Wania zwalił się na śnieg.

Michajłowicz pochylił się nad nieprzytomnym, przeszukał mu kieszenie, zabrał nagan, zapałki i łuczywo, odwrócił się i szybko iść począł w stronę domu Jaworskiego.

A z poza jasno oświetlonych okien chaty płynęła ku niemu melodja kolendy:

L u l a j ż e, J e z u n i u, l u l a j ż e l u l a j...

Władysław Wołk-Bunikiewicz



ADA KONECZNA

TRZY BRANKI

Z rękopisu wydał i do druku przygotował JÓZEF MARJAN CHUDEK



O Szlaku swym Czarnym jarami — dołami
Wracali Tatarzy na Krym.
Gdzie przeszli, tam kraj był krwią oblan i łzami,
Tam trupy, zgliszcza i dym.
A kruki i wrony stadami czarnemi
Za ordą zlatały się wślad.
Pożogi dym gęsty powstawał od ziemi,
Blask słońca w nim bielał i bladł.

W rozdole szerokim z hałasem i krzykiem
Dzicz legła na nocleg nad zdrój,
A srogość i groźba w spojrzeniu ich dzikiem,
Ohydny obyczaj i strój.
Więc brańcy współżywi, do matki swej ziemi
Przypadłszy, skarżyli się wgłos
Na rany, na żal swój, modlitwy łzawemi,
W moc Bożą oddając swój los.

A księżyc w błękicie już stał nad taborem,
Srebrzysty i smutny jak cień,
Równiny szeptały swój pacierz wieczorem
W szeleście odgłosów i tchnień.
I pożegnalnie wiatr szemrał jarami,
Pomnażał tęsknotę i żal,
A strony rodzinne, okrywszy się mgłami,
W sinawą tonęły już dal.

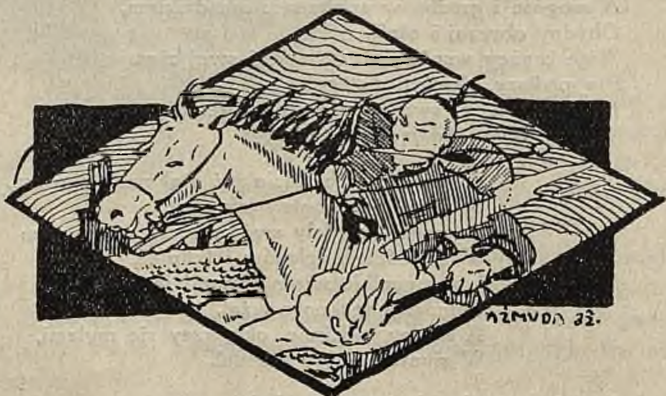
Siedziały wpółnagie trzy branki dziewczyny,
Świeciła ich białość wśród pól.
Przylgnąwszy do siebie jak drżące ptaszyny,
Tłumiły swe łkanie, swój ból.

Ich długi włos ciemny ze złotym odcieniem
Po śnieżnych ramionach się wił,
A szafir ich oczu księżyca promieniem
Posępnie połyskał i lśnił.

Modliły się: „Boże! Twój gniew nie zna miary,
Zsyłając karzący Twój bicz!
Miej litość! Ach, ocal niewinne ofiary!
Boleść i łzy nasze zlicz!
Wszechmocny! I daszże znieważyć Twe córy,
Twe sługi, gdyś krzyż dał im nieść?
O, ześlij bezbronnym anielskie Twe chóry,
Weź życie... lecz ocal nam cześć!"

Umilkły... A ziemia ojczysta w łzach rosy
Za losem błagała swych cór.
Zagasły ogniska, umilkły odgłosy
I księżyc wyzierał z za gór.
I cicho z szafiru przez gwiazdy, mgławice
Szedł obłok i srebrzył się mknąc.
Objęły się wzajem trzy branki-dziewice,
Ku ziemi skłoniły się śpiąc.

Gdy obóz się zbudził, dzicz jeńców pognała,
Zajęczał pod batem kto żyw,
Lecz martwe zostały dziewicze trzy ciała,
Bielejąc zdaleka wśród niw.
I Bóg je przemienił w płaczące trzy brzozy,
I listków ich śpiewny był gwar,
Więc długo powieści w dni smutku i grozy
Szumiały, schylone nad jar.





Zasadzka

Opowiadanie

Cicho leży w cieniu czarne bagno; zasnęło leniwie po przejściu stada dzików, które nagłem najściem o świcie zryły miękkie błoto, deptając w niem z lubem krząkaniem racicami i taplając ruchliwemi ryjami. Swędzącą skórę boków, okrytych twardą szczecią tarły w mokrem błocku, odurzone lubym chłodem tego bajorka. Poleżały chwilę, ciamkając z zadowoleniem, potem dźwignąwszy ciężkie cielska, potętniły po suchem igliwiu w las.

Stała tu cisza wśród drzew, jakby nalana rozpachnionem powietrzem i złotem brzasku napęczniała, ciężka i jakby wróżąca niepokój. Łamały się suche gałązki, szeleściła kora, ocierana z pni przez stado dzików. A one szły dalej trzęsącym truchtem, aż z zaciemnionego, wilgotnego mroku leśnego wychynęły na jasną polanę okrytą jeszcze podartemi płachtami nadrannych mgieł; darły się przez zbity gąszcz malin i kłującej tarniny, ociekającej rosą, przesadzały wysterczające z pośród fal zieleni, zwalone pnie zbutwiałych, gnijących od setek lat modrzewi, buków i sosen. Obrośnięte sędziwemi mchami, wrośnięte już w matkę ziemię, gniły te drzewa wchłonięte już łapczywie przez ziemię, pokryte puszczającem się już nowem życiem, nowych roślin, czerpiących z nich soki żywotne. Prowadzący stado szczeciniasty odyniec — krząknął nagle niespokojnie.. Stado zatrzymało się a wytknąwszy ryje, ruchliwemi nozdrzami badało wiatr — w którym czuć się dała obca i nieprzyjazna woń. Nic nie mąciło ciszy. Aż bystre, świdrujące oko dostrzegło kształt jakiś nieznany, skulony za pniem grubej sosny. Drugie krząknięcie i stado porwało się galopem w las.

Strzelec schowany za pniem z żalem powiódł wzrokiem za uchodzącem stadem. Tu patrzeć trzeba było na trakt wiodący groblą i ślepić, gdzie biała wstęga drogi wyłaniała się z ciemnej ściany puszczy — gdzie ukazać się miały wozy i ludzie.

Długo już czekają. Pochowali się dobrze a przycupli cicho za pniami, krzakami — to też zwierzęcia węch rozeznał tylko, że tu wzdłuż grobli cały oddział strzelców na zasadzce rorzucony czekał, przemokły od rosy, zziębnięty od porannego chłodu.

Strzelcy to skarbowi puszczy białowieskiej — Bożeż ty — do niedawna jeszcze cara miłościwego sługi, dziś w powstaniu polskiem za sprawą pana forstmajstra Ronki, na tegoż cara białego żołnierze i wozy czekają tu w Hwoźnie roku pańskiego 1831 — by znak dać, że „prowincje zabrane" do rewolucji warszawskiej i powstania całego Królestwa Polskiego przyłączają się sercem i duszą — ręką uzbrojoną, okiem wprawionem i zdrową piersią.

Nuży już to czekanie, ochotniczy oddział Kazimierza Houwalta z partji kapitana Żylińskiego. Bo to ani fajki nie zapalisz, ani głośniej nie odezwiesz się — boby ci w pięty poszło i on ruski miesiąc przyszłoby wspomnieć.

Dopieroż gdy Antuszewicz ucho po raz setny do ziemi przyłożywszy — cichym a dojmującym szeptem rzucił: jadą — poniosła się wieść żywa od krzaku do pnia, od pnia do krzaku, aż i do dowódcy Houwalta dotarła.

Wiadomo: z Białowieży iść miało 270 wozów pod eskortą grenadjerów z muromskiego pułku, którego bataljon z dwoma działami i watahą kozaków w Białowieży stał. Przyniósł oną wieść onegdaj strzelec Skoryk do Żubrowego Kuta, gdzie obóz cały powstańczy białowieskiej puszczy pod komendą kapitana wojsk polskich a ostatnio asesora Żychlińskiego — koczował. Wszyscy oni na tę zasadzkę do Hwoźni się darli, ale wybrano tylko strzelców w broń i amunicję dobrze zaopatrzonych.

Trzeba więc było teraz cicho dosiedzieć i one wozy z eskortą na trakt daleko wypuścić i dopieroż ogniem godnie przywitać.

Niosły się już od lasu kół niesmarowanych skrzypienia i turkoty. Przyleciał z oddali rozmowy ludzkiej pogwar, chrzęst uprzęży i klaśnięcia batogów.

Biły serca strzelcom Houwaltu: co też to dalej będzie? Ukazały się pierwsze wozy.

Antuszewicz z Bohuszewiczem za jednym grubaśnym pniem blisko lasu skryci, tamowali oddech, bo niemal przed ich nosami toczył się pierwszy wóz. Aż sobaka przeklęta jakaś, przy transporcie będąca, wesoło na trakt wyleciawszy z zadartym ogonem, nozdrza wilgotne ku onemu pniowi zwróciwszy i wiatr załapawszy, stężała w ruchu jak w kamień zamieniona, aż warknąwszy zrazu, ujadać jęła wściekle i ku wozom cofać się. Grenadjerzy na wozach będący jęli sukę kląć i odpędzać, aż tu burłacy konie wiodący nawoływać poczęli, że sobaka czujna i pewnie gdzieś powstańce — buntowniki ukryte siedzą. I tak chłopy one, gwery od grenadjerów wziąwszy, jęli palić w miejsce przez sobakę wystawione, czem zresztą nikomu krzywdy żadnej nie wyrządzili.

Strzelcy nie wiedząc co począć — dalej cicho trwali.

Aż wozy zatrzymały się. Czterech grenadjerów, broń do ataku wziąwszy, ruszyło na ów pień, za którym Antuszewicz z Bohuszewiczem na wedecie stali — za sobą w krzakach kilku strzelców mając. Tych

grenadjerzy dostrzegłszy z wrzaskiem okrutnym natarli bagnetami. Wtenczas z kępy padły strzały, a Moskale upadli na ziemię bez duszy.

Te strzały obudziły odrazu bitewny rozgwar. W okamgnieniu cała kompanja grenadjerów sformowana sprawnie na wzgórzu, poczęła dawać rotowy ogień, a strzelcy wyroiwszy się nagle z za pni i krzaków



bezładnie zaludnili polany, ostrzeliwując się gęsto a celnie z za pni. Po prawdzie już i zimno i rosa zbyt dokuczały, tak i dla rozgrzewki dobrze było poruszać się żywiej, puknąć z za drzewa, poskoczyć dalej, huknąć sobie. Popłoch powstał wśród wozów. Konie przerażone salwami grzmiącemi jak piorun i tłukącemi się o ściany boru, dęba stawały, łamiąc dyszle i rwąc uprzęże. Burłacy w przerażeniu szarpali lejcami, usiłując zawrócić, ale nie było już mowy o tem.

Kompanja grenadjerów, wystawiona dobrze na cel strzelców pukających z za zasłon, rychło poczęła się cofać, acz w porządku i nieustannie odstrzeliwując się. Gdy tem powodzeniem rozgrzani strzelcy już jawnie na trakt większemi kupami wyskakiwali — widać wydała się ich liczba Moskalom nadmierna, bo wtedy już z przerażeniem i strachem wielkim tył w rozsypce podali, uciekając bezładnie.

Wtenczas strzelcy broń do oka biorąc, strzelali jak do przepłoszonego zwierza, gnając nieprzyjaciela przed sobą aż rozgromili go zupełnie.

Gdy w oddziele Houwalta żadnego rannego ani zabitego nie uświadczono, będący wśród strzelców lekarz Szczapiński jął rannych Moskali opatrywać i cerować, podczas gdy reszta oddziału przy pomocy chłopów, których strzały tu zwabiły, podpalała wozy, odcinała konie, darując je chłopstwu, lub też pędząc w puszczę dzikiemi krzykami. Obłowiły się wtedy chłopki niemało.

Rannych Moskali załadowano na wozy i pod opieką lżej rannych wyprawiono do Brześcia. Oddział zaś, zebrawszy jeńców — w powrotną udał się drogę.

Dobrym duchem ożywieni maszerowali strzelcy żwawo ku Zubrowemu Kutowi — omijając Białowieżę, gdzie ów muromskiego pułku bataljon z kozakami i działami stał. Klucząc mądrze lasem przewinęli się sprawnie, widząc jak na dłoni bataljon pod bronią stojący i działa zatoczone. Obawiali się Moskale atakować, fałszywy sąd mając o sile powstańców.

Przedefilowawszy tedy spokojnie, zanurzyli się w las i spiesznie dążyli do obozu, gdyż głód potężnie doskwierał.

Będący przy oddziele doktor Szczapiński, długim marszem sfatygowany a i opatrywaniem Moskali umęczony, jako że nieprzyzwyczajony w forsowne marsze i znoszenie głodu — osłabł o milę drogi przed Zubrowym Kutem tak dalece, że ani kroku dalej nie mógł postąpić. Że więc Houwalt oddziału zatrzymywać nie chciał, dodawszy doktorowi 7 strzelców, między nimi Antuszewicza i Bohuszewicza — z drogi zejść kazał i tam w podszyciu odpocząwszy, wolno za kolumną podążać do obozu.

Bardzo szanownym człowiekiem był doktor Szczapiński — gdyż wespół z Kraskowskim Tomaszem i szwagrem tegoż forstmajstrem Ronką oniż to powstanie w puszczy uczynili — to też strzelcy chętnie przy nim przyzostali, czekając cierpliwie, aż się skrzepi, choć tam i ich z pustego żołądka mocno mdliło.

Odpocząwszy tak z pół godziny — wolnym marszem puścili się za kolumną.

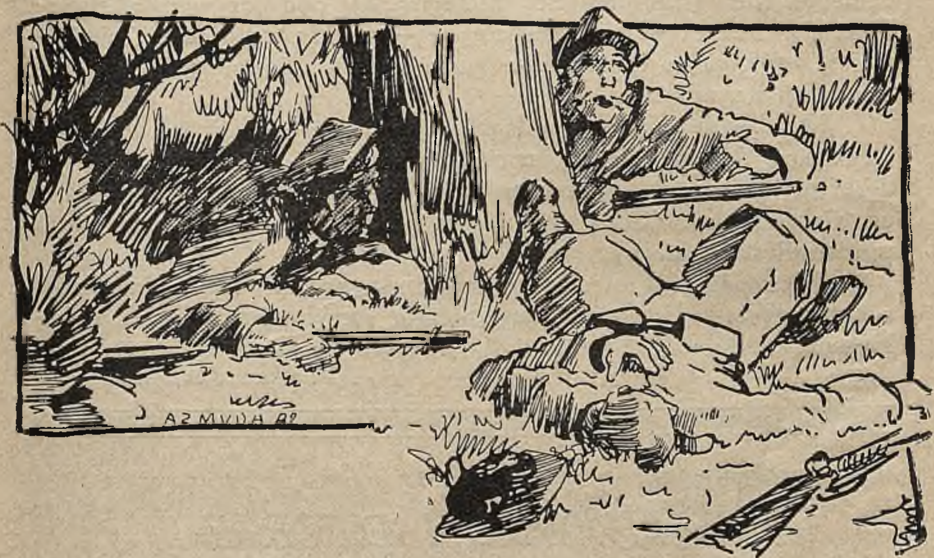
Antuszewicz z Bohuszewiczem szli na przedzie, wesoło gwarząc, uradowani niedawnem zwycięstwem i jak to młodzi tuszyli sobie wiele dobrego dla całej sprawy z tak drobnego powodzenia.

Gdy dochodzili już do grobli, blisko obozu położonej, zauważył strzelec jeden, że ziemia wokół dziwnie podeptana; przyglądnąwszy się śladom, suponował, że wielka ilość Moskali tędy iść musiała. Śmiał się z niego doktor Szczapiński, tusząc, że strzelec ślady własnej kolumny za rosyjskie bierze, jednak nie chcąc sobie później braku roztropności wyrzucać, — jął się z wielką ostrożnością pod groblę podsuwać.

Zdziwiło ich to, że wedeta obozowa, która z drugiej strony grobli stała — nie zatrzymuje ich o hasło ani wogóle głosem nie odzywa się.

I już wołał ich Antuszewicz przyciszonym głosem. Nadbiegli. Leżał powstaniec, z krwawą czaszką, strzałem pistoletowym danym zbliska w ucho, rozsadzoną.

Zostawiwszy przy trupie pięciu strzelców — udał się wielce zatroskany doktor Szczapiński wraz Antuszewiczem i Bohuszewiczem na dalsze zwiady. W miejscu, gdzie stała placówka — znaleźli zdeptaną



trawę i moc odgryzionych ładunków. Wielka walka widać iść musiała. Wkrótce natknęli się na obóz. Żal ścisnął serce.

Na spustoszonej polanie dogorywały wozy. Z baraków i magazynów z takim trudem pobudowanych, pozostały tylko dymiące zgliszcza. Wystawiony z darni ołtarz, przy którym ksiądz Harczyński, kapelan powstania odprawił nabożeństwo jeszcze przed wyjściem na zasadzkę do Hwoźni, był zrównany z ziemią. Nie było nigdzie żywego ducha. Wył gdzieś w oddali pies.

Wróciwszy do pozostawionych przy trupie 5 strzelców doktor Szczapiński, przyniósł im żałosną wieść, że obóz nie istnieje, a co z oddziałem, nie wiadomo. Nie chcąc, by w bezczynności wieścią oną zbyt się przejęli, zachęcił wszystkich do pochowania kolegi. Tak więc przykładnie smutnej razem jęli się pracy i czem kto miał, dół kopali w czarnej i mokrej ziemi. Tam powstańca ułożywszy i krótką modlitwę odmówiwszy, ciało przysypali i krzyżykiem brzozowym, naprędce skleconym, zaznaczyli.

Tymczasem doktor zdołał uspokoić się i wymyślił plan, by w ostępie odludnym schować się i odpocząć a potem szukać towarzyszy.

Ale strzelcy przybici niepowodzeniem oddziału smutno kręcili głowami i pogadywali nieswojo:

— Nie mamy już co robić.

— Wszystko skończone.

— Obóz zabrany.

— Przepadła Ojczyzna!

Uśmiechnął się gorzko doktor, przypomniawszy sobie, że i pan naczelnik Kościuszko po klęsce maciejowickiej podobne wyrzekł słowa: Finis Poloniae. A właśnie, musiało się — musiało się uparcie i mężnie wbrew wszystkiemu i wszystkim pamiętać: nie zginęła, póki my i nasze dzieci i wnuki...

Kto będzie oglądał wolną i niepodległą — zakryte wzrokowi ludzkiemu. Ale musiało się, musiało powtarzać: „nie zginęła" — po dech ostatni — po dni ostatek, bo w tem był sens, w tem było wszystko — od wielu, wielu pokoleń, w tem była prawda niezachwiana tu nawet w białowieskiej puszczy.

Więc odprawił pięciu strzelców, pragnących odejść do domów a sam z Antuszewiczem i Bohuszewiczem ruszył niezłomnie na poszukiwanie oddziału.

Tadeusz Kudliński

WIKTOR GOMULICKI

W LITEWSKIM DWORZE

W litewskim dworze, pod świerków cieniem,
Dobrze się modlić, dobrze pracować,
Przed burzą życia dobrze się schować
I dobrze przeszłość budzić wspomnieniem.
Duchowi skrzydła w tej ciszy rosną
I z pęt się zrywa, jak strumień wiosną.

W litewskim dworze słodko a wonnie,
I miód tu pachnie, i świeże siano.
Ściany tchną nawet wonią sośnianą,
A świerszczyk cyka w nich nieustannie.
W dzień, jak harf granie, słychać pszczół [brzęki,
Nocą — z mogiłek wiatr niesie jęki.

W litewskim dworze pełno świętości:
Po ścianach wiszą wizje Grottgera,
Tu Platerówna z ramek wyziera,
Tam „Unia" wskrzesza dzieło miłości,
I Męczenników widać oblicza,
I Jowiszową twarz Mickiewicza.

W litewskim dworze jesienną nocą
W oknach widmowe jawią się twarze:
Dawni wracają tu gospodarze,
Od rodzin swoich wzięci przemocą.
Czuła Litwinka bez zmysłów pada,
Gdy przed nią stanie taka twarz blada...

W litewskim dworze więcej pacierzy
Mówią za zmarłych, niźli za żywych,
I do dalekich, do nieszczęśliwych
Najczęściej Litwin myślami bieży —
A gdy obecność dręczy, jak zmora,
Wzdycha do jutra, marzy o wczora.

W litewskim dworze, jak w rajskiej głuszy,
Chciałbym przemarzyć, przetęsknić życie...
Lecz Bóg gdzie indziej: na skalnym szczycie
Samotne gniazdo zwił dla mej duszy...
Stamtąd na ciche, litewskie strony
Patrzę — jak Adam w raj utracony...



Boćki

Z zeszłorocznej pogorzeli nie zostało już ani śladu. Resztę osmalonych belek i dylów zabrano na opał; pokruszone cegły komina, co sterczały długi czas, jak cmentarny nagrobek, co dalsze rozkradli sąs edzi a pozostałym miałkim gruzem umościli dziury w błotnistej drodze; popiół wiatry rozniosły po polach albo też na nim trawy powschodziły nowe, jasno-zielone uśmiechnięte.

Nie było już i śladu pogorzeli. Ale nie było i chałupy, co tu stojała łońskiego roku.

Smutno zaklekotały boćki, powróciwszy z wiosną do swych pieleszy. Pustkę zastały w miejscu, gdzie upłynęła ich młodość niedawna.

Matusię wspomniały swoją — bocianichę starą, co ich ratowała przed pożarem: jeszcze wtedy młode były i latać nie umiały wysoko. Chróściane gniazdo, wyschnięte długą posuchą, już się zatliło i trzeszczeć poczynało smagane biczami płomiennemi, wysuniętemi z dymników. Nieopierzonym boćkom śmierć groziła niechybna. Ale na rodzicielską miłość to i śmierć niekiej nie poradzi. Porwało się matczysko. Skrzyknęło męża swego z mokradła i we dwoje zaczęli wynosić dziatwę — dziobami, skrzydłami, pazurami, jak ta potrefili. Dwoje pisklaków wynieśli na łąkę, trzecie już dosięgnął ogień. Matka rzuciła się między płomieniste jęzory i byłaby się stała ich pastwą — ale już ludzie dach wodą polewać zaczęli, dworska sikawka wzięła się do roboty — starą bocianichę odratowano. Mała jej pociecha z tego odratowania, skoro nietylko że straciła najukochańsze ze swych piskląt, ale sama sobie skrzydła opaliła, tak iż już odtąd dobrze latać nie mogła. Tylko tyle, że jeszcze pierwszego lotu nauczyła swe młode i na bociani sejm zaprowadziła je na łąkę za Wolą Niemiecką, gdzie się ptaki zbierały do odlotu. Nie odleciała z gromadą razem do ciepłych krajów — zdechłą znaleziono koło wyszarzałego pogorzeliska. Kości swoje położyła na ziemi rodzinnej i koło rodzinnej strzechy. Na co jej ta, schorowanej i bezsilnej, tułać się po obcych krajach! Młode i tak sobie dadzą radę.

Ojciec je poprowadzi — i gromada — a zresztą i to słońce jasne, co ciepłem swojem wskazuje, kędy droga do ciepłych krajów.

Tam hen daleko na połedniu, za wielkiem morzem, gdzie pomiędzy gajami i kurnemi zagrodami rzeka się przelewa modra, wielga i szumiąca, stoją wśród piasków wzgórki kamienne, podobne do kopic siana Śpią w nich pono ludzie dawno zmarli — królowie, co z tego słynni, że pierwsi nauczyli się rozeznawać wiosnę od lata i jesień od zimy i w kalendarzu to zapisali, choć taką mądrość dawno posiadły bociany, które od wieków wiedzą, że wiosna jest czasem miłości i nowego życia, lato okresem pracy i obowiązków, jesień porą odlotu, a zima dobą bezczynności i tęsknicy.

Ciepłoż i pięknie w tych ciepłych krajach, lecieć do nich nakazuje sama natura i ptasi rozsądek. Ale tam umierać i tam kości swe grzebać — przenigdy! Ale gniazda tam zakładać i szczęścia rodzinnego tam zażywać — przenigdy!

Chwile ptasiego skonu i chwile ptasiej miłości należą się jeno ojczystej ziemi.

Powróciły boćki młode z wiosną. Ojciec stary niedoleciał do rodzinnych stron. Siły mu odebrała śniegowa fujawica, która go zaskoczyła w karpackich górach... połamała mu skrzydła, nogi jego otłukła o twarde zębiska skał, potem cisnęła nieboraka w padół międzyleśnej kotliny, gdzie mróz i głodowe wycieńczenie dokonały reszty. Młode nie mogły mu dopomóc; same z wichurą borykać się musiały i ledwie z niej wyszły cało, gdyż zniosła je hen z dziesięć mil w bok od właściwego kierunku drogi, skąd dopiero po wielu nawrotach i kołowaniach wydostały się na tor właściwy.

W czasie tej wędrówki napotkały tak samo zbłąkaną jak i oni młodą bocianicę — młódkę, co równie pierwszą jak i oni odbywała podróż i niebardzo jeszcze właściwego kierunku była pewna. Podobnie też niedawno straciła ojca i matkę, a braci — jeszcze gdy małemi pisklętami były — wichr strącił z gniazda. Że to zaś sieroty zawsze do siebie najłacniej lgną na tym świecie, więc pokumała się z oboma spotkanemi bocianami—zwłaszcza że gniazda własnego nie miała i wszystko jedno jej było, gdzie osiędzie, byle w kraju swoim. W Polsce bo wieś tak do wsi podobna, że wszędy jakbyś do własnej rodzinnej wsi przyleciał. I wszędzie tu boćka szanują i wszędy spotyka się dusze bratnie, kochające. I wszędy żab jest obfitość i bajor coniemiara. A w Zalesiu — jako mówiły dwa bociany — jest ich mnogość nieprzeliczona.

Przylecieli więc we troje i zatrzymali się na topoli koło Gronkowej chałupy, gdzie już zeszłego roku gospodarz — świeżo ożeniony po raz drugi — koło założył wozowe, szprychy i piastę powyplatawszy wikliną, niby dno od ducki. Na kole tem w zeszłym już roku resztę lata po wspomnianej pogorzeli spędziły bociany; tutaj ostatnich doznały pieszczot matczynych; tutaj pierwszego lotu spróbowały — jeszcze nie-

bardzo sprawnego, i trochę chwiejnego i trwożnego. To miejsce wygrzały miłością swoją i promieniami swego dziecięcego szczęścia.

W bezlistnych chróstach gniazda, nieobeschłych zupełnie ze stajałego śniegu, wplątanych było jeszcze kilka wystrzępionych przytlałych, białych i czarnych piórek — ostatni widomy ślad anioła stróża macierzyńskiej opieki.

Boćki stanęły smutno w nieruchomej, posągowej zadumie; jedną nogę podwinąwszy w górę, dzioby pogrążywszy w śnieżnych zatokach piersi, wyglądały niby taki człek, co już ma krokiem naprzód postąpić, gdy nagle zastanowiony myślą jakąś trwożną, krok ten w połowie powstrzyma i osłupieje w miejscu, niepokojąc się czegoś lub wstydząc.

I byłyby tak stały długo w tem rozpamiętywaniu i powadze, gdyby naraz gromkim gwarem nie odezwały się żaby w bajorze, swarliwe, brechliwe, rozjędzone jak stare kumoszki.

— Ej, głupotki te żabska — głupotki, choć i głowacze! Poco im ta było swarzyć się ze sobą i karę Bożą na siebie przyzywać? Poco było budzić zadumane boćki i przerywać pacierz za umarłych?

— Hej, zwady, zwady — zwady! zdrady — zdrady — zdrady — szkarady! — przygadywały jedna przez drugą, starając się wzajemnie przekrzyczeć.

Boćki drgnęły — podniosły długie dzioby — jakby szablice z pochwy obnażyły — wywinęły niemi jakby próbując sztychów, i pomknęły na wojnę.

Oj, krwaważ to była wojna i miały się z pyszna biedne żaby. Zrazu próbowały oporu, skarżąc się i sprzeciwiając:

— Rety! Rety! Rety! Grzech! grzech! grzech!

Ale widząc, że się to na niewiele zdało, pocichły i chowały się głębiej w błoto. Bociany i tam je dosięgały, łowiąc je długachnemi dziobami jak wędą. Aż się wkońcu nażarły po samą gardziel i wróciły na gniazdo.

Do tego czasu oba bociany zgodne były, jak na braci rodzonych przystało. Ale tego dnia cosik się zmieniło. Czy to ich urzekły żabie klątwy, czy podziałał przykład onych swarów, czy może, jak to bywa, chleb zaczął ich rozpierać i dumę próżną w nich obudzać — dość że zaczęły się czubić z sobą i wadzić o byle co. Najpierw im poszło o miejsce na gnieździe, potem o jakąś gałąź, którą jeden nieostrożnie zrzucił był na drugiego, potem powadzili się o jakąś mysz, którą wraz obaczyli na podwórzu Gronkowem — i choć oba byli dobrze najedzeni, jednak każdemu z nich się ubrdało, że będzie nieszczęśliwy, jeżeli tej właśnie myszy nie dostanie lub odda ją drugiemu.

I tak od gałązki i myszki szło coraz dalej. Wkońcu zaczęły się bić o samiczkę.

— Nie może nas tu być dwóch gospodarzy na jednej chałupie. Dyć gospodynię mamy tylko jedną. Musi między nami wybrać kogo woli, kto godniejszy, ten zostanie na gnieździe, a drugi fora ze dwora!

Bocianica zadumała się, którego z boćków wybrać. Oba się wydały śwarne, a i uczynne, łaskawe, słowem grzeczne — gdyby nie ta chęć do bitki. Nie wiedziała, którego wybrać, więc myślała długo, włożywszy głowę pod skrzydło.

Za długo było czekać bocianom, zanim namyśli się bocianica, więc postanowiły sprawę rozstrzygnąć pomiędzy sobą. Jęły się praskać dziobami, jak dwa parobczaki, co z kłonicami naprzeciw siebie wylecą, gdy mają przeciwko sobie coś na wątpiach. Charatały się najpierw na łące, potem wzbiły się w powietrze i tam się z sobą tłukły niby dwie chmury, co spotkawszy się z sobą grzmią burzą i piorunami. Jak grad sypały się pióra białe, zrazu drobny puszek, potem i lotki większe; jak grzmoty sypały się huczne ciosy i od czasu do czasu zajadłe poklekiwania. Nie przelewki to były, ale walka prawdziwa. Nakaleczyły się i poraniły setnie oba boćki.

Gronek, który tej walce się przypatrywał, orząc w polu, w pewnej chwili zawołał:

— Oho! wiedziałem, że się Łukasz nie da!

Łukaszem przezwano starszego z boćków tego, co miał pióra nieco czarniejsze i szyję bardziej w łuk zgarbioną; młodszy zasie, co bardziej był klekotliwy, otrzymał imię Kleofasa. Poszło to stąd, że boćki pojawiły się w samą Wielkanoc, gdy na sumie śpiewano:

Łukasz z Kleofasem
oba jednym czasem
szli do miasteczka Emaus...

Józek Gronek, stojący przed kościołem, ujrzawszy ptaki, nie mógł wytrzymać z radości i przerwawszy śpiew, zawołał:

— Poźryjcie hawok! Juści i widzicie ich! Ady już lecom!

Bił się potem w piersi Józek Gronek i Boga przepraszał za ten krzyk i zgorszenie w kościele — ale już do boćków przylgnęły nazwy: Łukasz i Kleofas. A teraz właśnie ów Łukasz pobił Kleofasa.

Bocianica w sam raz wtedy przez ten czas zdążyła się namyślić: na męża wybrała — zwycięzcę...

Dumny Łukasz zasiadł więc jako gospodarz na gnieździe, podniósł śmiało dziób na słońce, jakby je na świadka przyzywając, i głośnem klekotaniem obwieścił światu podwójny swój triumf — w bitwie i w konkurach małżeńskich.

Kleofas, zbity, okrwawiony, zaklekotał po kilkakroć smutno, żałośnie, jakby z wyrzutem... zerknął w stronę ojczystego gniazda i odleciał, ociężale szeleszcząc skrzydłami postrzępionemi... Dokąd poleciał, nikomu nie było wiadomo. Może wybrał się szukać innej bogdanki, może poleciał w las, korzonki wydłubywać, które od wszelkiego bólu pono uleczyć potrafią, może na innem jakiemś opustoszałem gnieździe osiedlić się postanowił? Kto go tam wie?...

Wkońcu przestano zajmować się Kleofasem. Nie wspominała o nim — acz miała serce tkliwe i współczujące — nawet bocianica-bratowa, która zdawała się być w stanie małżeńskim najzupełniej szczęśliwą...

Wiosna rozwijała się w całej okazałości. Nad bajorami, żab pełnemi, wyzłociły się jaskry i kaczeńce. Bronzowe skiby Gronkowego pola poczęły się pokrywać śniedzią młodej runi. Drzewa i krzewy zaczęły stroić się w letnie sukienki. Najpierw młódź to czyniła, jako że zawsze do strojów skorsza a na zdrowie niebaczna; starsze kwiaty i kuszcze, przezorne i doświadczone, długo jeszcze w pączkach chowały swe liście, jak grosze lub papierki w zawiniątkach, niedowierzając w zupełności kwietniowej pogodzie. Późno liściwiem maić się poczęła i topola koło Gronkowej chałupy — ale z czasem i ona zielonością się okryła i kotkami kwietnemi. A na jej nadłupanym wierzchołku, niby ogromny kwiat słonecznikowy, sterczało gniazdo bocianie, kwitnące szczęściem rodzinnem.

W jego wnętrzu, na miękkiem posłaniu z mchu, miękkich prątek, suchych listków i pierza, spoczywały cztery duże bocianie jajka — przedmiot dumy i pieczołowitości młodej bocianicy.

Otulała je piersią swoją miękką, białą, swemi skrzydłami długiemi, szerokiemi, ostrokończystemi, podobnemi do pierwszych liścieni olbrzymiej jakiejś lilji, osłaniających grudki nierozwiniętych pęków kwietnych. Była jakby wieczkiem srebrzystem, nakrywającem i szczelnie zamykającem misterną skrzynkę gniazda, na której dnie, jak olbrzymie perły, spoczywały w matowo-białych skorupkach zarodki niezbudzonego jeszcze pisklęcego życia.

Strzegła ich całą czujnością swych bystrych oczu, całą mocą swego sprężystego ciała. Ogrzewała je całą gorącością swego drżącego serca, swych płuc ptasich, lekkich wprawdzie i nie ważkich, ale mogących w sobie pomieścić tchu mocnego wiele. A już gdy myślała o tem potomstwie swojem rychłem, to już całą siłą i uniesieniem matczynej miłości, całym ogromem i różnorodnością rodzicielskiej nadziei.

Bocian zasie — dumniejszy niż kiedykolwiek — klekotał pieśń upojenia i zachwytu ku czci słońca, które ich darzyło ciepłem, ku czci łąki, która darzyła ich zapachem, ku czci wody, która darzyła ich strawą... nawet ku czci tej drogi błotnistej, po której jeździł drabiniasty wóz Gronka, o kołach podobnych do nasady bocianiego gniazda, a klekocący luśniami i drabkami, niby całe stado bocianów. Nawet ku czci tej mgły, co podwajała wszystkie odgłosy wsiowe: klekotania, turkoty, krzyki, pobrzęki, poszczekiwania — i niosła je w swych tumanach, jak na skrzydłach białych, ku czarnemu, gałęzistemu gniazdu sosnowego boru.

W ten sposób umilał bociek markotne chwile swej małżonce, która odlatywać od gniazda nie mogła, bojąc się, by nie przeziębić swego drobiazgu — mającego się narodzić bocianiego potomstwa.

To też on — mąż-bociek — myśleć teraz musiał o wyżywieniu swej połowicy. Co tłustszą żabę znalazł — a coraz więcej takich było, bo już z głowaczy przeobraziły się i wyrosły jak się patrzy, na skrzekoty wielgaśne — to zaraz niósł do gniazda i zdobycz całą, porządnie wymiętosiwszy w dziobie, podawał do dzioba wysiadującej bocianichy. Nie zaznała ona nigdy głodu, ba, bywało nieraz, że on sam do wieczora głodny niemal chodził, bo choć mu się w ciągu dnia tyle żab przez dziób przewinęło, jednak żadnej nie spożył, dbając przedewszystkiem o to, aby ona wpierw najadła się do syta.

Raz cosik go zwiedło, ażeby polecieć dalej — jaże do samego boru. Wiedział, że jest tam bajoro niepłytkie, muliste, a żab i traszek w niem wielka obfitość... te zaś na mokradle koło Woli Niemieckiej były już mocno przetrzebione, a zresztą i nauczyły się chować głębiej przed bocianami. Poleciał więc nad owo nieuczęszczane bajorko w lesie i spodziewał się stamtela powrócić z sutym łowem.

Ale akurat zdybał go gajowy, człowiek służbisty, a przytem na Gronka mający o coś dawną zawziętość; mawiał, że mu Gronek drzewo kradnie z lasa (co jako żywo prawdą nie było, bo szyszki to nie drzewo) i że Józek, brat Gronka, zbierając maliny, depce młode drzewka (co prawdą być mogło, ale temu Gronek nie winien, że Józek takim gapą się urodził). Na dobitkę upatrzył sobie ten gajowy cosik i do Gronkowych bocianów (wiadomo, zazdrościł że do niego nigdy żaden bocian nie przyleciał!) rozpowiadając, że mu psują zwierzostan, jako że podobno zabijają młode zajączki i kuropatwy.

To też zobaczywszy Gronkowego bociana na obszarze leśnym, nie namyślał się długo, tylko zdjął fuzję z ramienia, stanął za sosną i wycelował. Ptak, który nie doznał jeszcze żadnej krzywdy od ludzi, nie podejrzywał nic złego i brodził sobie najspokojniej po wodzie starając się jej nie zmącić, by nie płoszyć żab i samemu zdobycz lepiej dostrzec.

Żaby umilkły i tylko dalej wśród rokicin niektóre śmielsze kumkały głosem zdławionym, przytłumionym, niby podając sobie hasło ostrzegawcze. Wszystko zastygło w jakiemś oczekiwaniu, znieruchomieniu, pocichło... Pocichły nawet sosny, co przez tę chwilę przestały chwierutać się z wiatrem... Nawet wiewiórka, co bystremi ślepkami świdrując z wysokiej sosny, przerwała obgryzanie smakowitej szyszki. Nawet pszczoły leśne, co pogrążywszy się w stągiewkach modrych dzwonków, w cichości upajały się słodyczą miodu. Nawet bociek, co wpatrzył się w cosik na dnie i gotował dziób do ciosu. Nawet gajowy, co stojąc za pniem sosny wymierzył lufę, do długiej szyi bocianiej podobną, w serce białego ptaka. Naraz z za sosny wykwitła smużka dymu — rozległ się huk twardy, złowrogi, rozbity w tysiące rozgłosów na gałęziach drzew. Bocian zatrzepotał skrzydłami — jakby wzbić się pragnął w powietrze — ale już ulecieć nie potrafił. Mała ołowiana

kulka, co ugrzęzła w sercu ptaka, zaciężyła w niem, niczem wielka bryła tego kruszcu, uczyniła go niezdolnym do lotu, z nóg go zwaliła. Ostatnie żałosne klekotanie uwięzło mu w gardzieli, jakby się nieborak czemś zadławił. Skrzydła rozpostarte, których zewrzeć nie zdążył, pokładły się wszerz na wodzie, jakby uściskiem ostatnim obejmując tę wodę zaciszną, zielonkawą, po której teraz rozlała się czerwona plama bocianiej krwi. Nogi ptaka wygięły się i rozkraczyły niezdarnie. Głowa



wbok przechylona, z dziobem joszcze napół otwartym, spoczęła na wodzie zlekka się w niej zanurzając pałąkiem szyi. Już się tego dzioba rozwartego nie bały żaby, już mogły bezkarnie koło niego przepływać i nawet wskakiwać na głowę swego niedawnego ciemiężcy.

I takim zastał go Józek Gronek, gdy przyszedł do lasu zbierać szyszki.

Bocianica czekała i czekała na swego męża, ciągle się spodziewając, że lada chwila on tu nadleci i z owego bajorka, o którem tyla dziwów jej opowiadał (sama nie była tam nigdy) przyniesie smakołyki przepyszne, na wspomnienie których aże ślina do dzioba płynie. Myślą o tych smakołykach skracała sobie czas, dłużący się okropnie. Potem myślała o mężu swoim, co ją tak kocha (ino co mu się też ta przytrafić mogło, że tak długo nie powraca?) — potem zasię o tych maleństwach, co poukrywane w białych skorupkach, widać już obudziły się do życia, gdyż cichuśkim stukotem, podobnym do kołatania robaczków w kłodzie starego drzewa, znać o sobie dawały. Potem myślała o Gronku, gospodarzu tak dobrym dla wszystkich, co właśnie wróciwszy od roboty, siedział na progu chałupy, spożywając wieczerzę, a coraz dając kęs własnej strawy to łaszącemu się Kruczkowi, to nad-

skakującym kurom, to sykliwym gęsiom, wyciągającym ponad wszystkich swe giętkie szyje.

Zapadł zmierzch. Bocianica czuwała jeszcze czas jakiś, przyglądając się gwiazdom taplającym się jak żaby w mętnej topieli niebios i nadsłuchując odgłosów bajora, rozgadanego, rozbrechanego, rozkwakanego kłótniami i zmowami wszelakich płazów. Lube jej były te głosy... ale głosu upragnionego, najmilejszego, słodszego ponad wszystko w świecie, nie było słychać .. Napróżno wytężała słuch, czy nie dojdzie do niej znajomy szelest skrzydeł. Zmorzona jednostajnością gwarów żabich i dalekim, głuchym, smętnym szumem boru, usnęła nakoniec, we śnie jeszcze pierzynką białego puchowia troskliwie okrywając maleństwa śpiące w skorupkach.

Ten wiatr zimny, który od boru nadciągnął, nie przyniósł nic dobrego, ino zacmił gwiazdy powłoką chmur — ino zasklamrzył w rózgach wierzbowych, jakby miał się za chwilę rozpłakać łzami rzewnemi. Miały rację żaby, że wróżyły słotę. Przez cały dzień i przez całą noc następną było wietrzno, ponuro, dżdżysto. Wichura targała gniazdem, jakby je chiała zerwać z topoli. A wyła przytem szalenie, jakby czyjąś śmierć głosząc. Raz spadł grad, twardy a dotkliwy jak ołowiane śruty. Bocianica całą swą siłą utrzymywała gniazdo w równowadze, całą rozpiętością ciała swojego chroniła przyszłą swą dziatwę od lodowych ciosów, mogących onej śmierć zadać jeszcze przed wykłuciem się ze skorupki.

Trzeciego dnia już deszcz zelżał, ale jeszcze mżyło zlekka, a za mgłą nie było widać nietylko boru, ale nawet mokradła. Droga cała była zalana wodą, że wyjechać nawet było trudno na pole, bo wozy powyżej osi zapadały się w błoto. Gronkowie, którym do roboty było pilno, raz po raz wypatrowali przez dźwierze, czy się ta krzynkę niebo nie wyciera; pozierali też na gniazdo bocianie, a litowali się, bo im Józek przyniósł wiadomość o Łukaszowej śmierci.

— Jak ona se tam tera da sama radę, biedaczka? Ale też ją cheba ten grad wczorajszy wysiepał setnie!

— Pewnie ona tam ledwo zipie. Bo to i przez dwa dni nic w dziób nie wzięna.

— Dyć musi drobiazgu pilnować i dosiadywać, a niema jej kto żarcia przynieść...

— A no pozwólcie, bratowa, to wlezę haw na drzewo i jeść jej zaniesę — dopraszał się Józek.

— A leź se, kiej chcesz; nik ci nie broni. A weźno ze sobą garnek tej fucki, com ją la kaczek narychtowała. Może se tam ona podje krzynkę nieboga.

Zaczął się Józek gramolić na topolę. Szło mu to niesporo, bo pień był oślizgły od deszczu, a przytem do znacznej wysokości pozbawiony gałęzi. Ponadto fucka, mocno serwatką podlana, chlupotała w garnku, oblewając chłopakowi spencerek, a drobione w niej kluski

nierzadko wyskakiwały wzwyż, jak żabki, i spadały wdół ku wielkiej uciesze żerujących kaczek. Ale wreszcie się jakoś wygramolił i siadłszy okrakiem na rozłożystym konarze jak na koniu, oparł się jedną ręką o gniazdo, a drugą wyciągnął przed siebie, podając gar z fucką obudzonej z odrętwienia bocianisze.

Trwoga szarpnęła sercem młodej matki.

— Ani chybi, przyszli mi jajka podbierać... Widziałam, że kurom to robili! — przemknęło się jej przez głowę. Ale nie jestem taka głupia jak kwoka. Będę się broniła!

I podniósłszy dziób w górę, jak nim nie trzaśnie z całej siły przed siebie! Gliniany garnek, z takim trudem i taką ostrożnością przyniesiony



przez Józka, pękł na ćwierci i obijając się o gałęzie, spadł na podwórze, druzgocąc się na miazgę, w której drobne czerepy zlepiły się w jedno z lepką białawą breją. Rzuciły się na nią skwapliwie kaczki i koguty, a nawet dumny kot nie zważając na siąpawicę, przyszedł zlizywać serwatkę. Kruczek, przywiązany do budy, nie mógł wziąć udziału w tej uczcie, więc tylko zdala pobrzękując łańcuchem, skakał i poszczekiwał zajadle — niewiadomo, z zazdrości czy z uciechy.

Józek, bojąc się, żeby mu bocianica tym razem nie rozbiła czerepu na głowie, zlazł z drzewa co sił w piętach, szczęśliwy, że skończyło się na skaleczeniu palca i rozdarciu spencerka. A bocianica, pewna, że uratowała dzieci od wielkiego niebezpieczeństwa, cierpliwie dalej znosiła głód i nędzę.

Ale przed południem wiatr przegnał chmury, a w samo południe zajaśniało znów słońce. W godzinę po południu już obeschły gałęzie drzew i jaskółki zaczęły krążyć po niebie. Znów nastało ciepło, które poczęło potrosze ożywiać zdrętwiałe i obolałe skrzydła bocianicy. Strzepnęła pióra, przygładziła je dziobem. W niedługi czas, gdy zrobiło się tak gorąco, iż pisklętom w skorupkach nie groziło już zaziębienie, odważyła się wstać na równe nogi, żeby wyprostować zesztywniałe kościska. Rozpięła skrzydła, plasnęła niemi kilkakrotnie, rozwarła dziób, jak człek co ziewa, i zaklekotała.

Nie było to już owo klekotanie szczęsne, radosne, jakie rozlegało się tu za dni niedawnych, gdy witała powracającego triumfalnie męża swego i pana, niosącego zdobycz obfitą. Teraz to była skarga rozklekotanej bocianiej nędzy, krzyk trwogi, wydawany przez matkę dziatwy pukającej do wrót życia, tęskne nawoływanie opuszczonej małżonki, żałosne zapytanie rzucane w przestrzeń zamgloną.

— Gdzie? gdzie? gdzie? gdzie?

Nikt jej nie odpowiadał. Ino echo klekotało od boru — jakby bocianim głosem.

Z rezygnacją machnęła skrzydłami — opuściła głowę i znów siadła na gnieździe, wysiadywać młode. Ale niebawem wstała powtórnie, znowu plasnęła skrzydłami i jakby coś ważąc w myśli albo próbując siły sterówek swych i lotek. Plasnęła raz i drugi — i jakby od niechcenia podleciała nieco w górę. Jeszcze sił jej starczy! Nie zdziadziała! Pochwaliłby ją małżonek. O gdybyż on już wrócił!

Usiadła na gnieździe. Znów wstała:

— Spróbuję, czy potrafię jeszcze sterować nogami w powietrzu.

Wzbiła się nad szczyt topoli. Okrążyła strzechę Gronkową. Józkowi przyjrzała się z niedowierzaniem, trochę groźnie. Że pamiętał!

Przysiadła na kalenicy. Znów wróciła na gniazdo. Znowu się zerwała. Coś ją podrywało.

— Dzieciom nic się nie stanie. Na chwilę ino odlecę. Żabki ze dwie se przyniesę, trza coś przegryźć. Żeby on tu był, tobym głodu nie miała... Ani tego lęku... A może go skrzyknę z łąki... Może prędzej dojrzę go stamtela.

I odleciała. Dwa razy jeszcze zawracała z drogi, obzierając się, czy kto maleństwu krzywdy zrobić nie chce. Podziobała wronę, co — jak się jej wydawało — zabardzo się zbliżała ku Gronkowej zagrodzie. Doleciała do łąki i schowała się we mgle. Oznajmiało ją zdala tylko klekotanie, którem głosiła, że czuwa i że lada chwila powróci na gniazdo.

Ale nie odrazu powróciła. Nawet to klekotanie rzadziej, jakby w dali się odzywało, a przytem tak się jakoś zmieniło w nucie.

Gdy na przedwieczerzu Gronkowie wrócili do chałupy, ujrzeli na tle barwnego nieba dwa wielkie chybotliwe cienie.

— Cóżeś gadał, że Łukasza zabito? Adyć to oba boćki lecą! — zbeształ Józka brat starszy.

— Prawdę powiadałem, jak tu stoję. Zresztą i Jantków syn powiadał to samo i słyszał, jako gajowy się chwalił, że dogodził Gronkowi.

— Przecie mnie oczy nie mylą, ale widzę dwa boćki.

— I ja też — przyświadczyła Gronkowa.

— I ja także nie inaczej — żachnął się Józek. — Ale com wtedy widział, to też prawda.

— Więc cheba cud to istotny... bo jak?...

Urwał, bo go Józek schwycił za rękaw. Boćki właśnie siadły na gnieździe.

— Ano przypatrz się kieś taki mądry. Czy to Łukasz był taki chudy i postrzępiony? I tak mu czarnych piór ubyło? — zaszydził chłopak.

Gronkowa, która już wpierw przysłaniała oczy ręką, chcąc lepiej się przyjrzeć, krzyknęła głośno:

— Kleofas!

W tej chwili bocian-tułacz zerwał się z gniazda i okrążywszy zagrodę Gronkową, poleciał w stronę łąki.

— Kleofas! a ino! toć i w nocybym go poznał po locie! Wrócił! Ale czy na długo?

Ledwo Gronek słów tych domówił, już z nad łąki wracał Kleofas, niosąc w dziobie żabę; gdy przyleciał na gniazdo, rozmamlał ją na miazgę i jął karmić bocianicę.

Odtąd już osiedlił się tu z powrotem na stałe. Póki bocianica wysiadywała młode, nosił jej pożywienie; gdy zaś już wylęgły się pisklęta, przynosił im co mniejsze żabki, drobił na kęski i do dziobków im podawał. Jak podrosły już sporo, zaczął przyuczać je lotu. Wieczorami siadał na gnieździe lub na strzesze i klekotał. Że jednak miał dziób swojego czasu nadwerężony przez brata, więc nie umiał tak pięknie klekotać, jak tamten nieboszczyk i nieraz się zacinał, wołając: Kle-kle-kle!

— Biedny Kleofas! nawet całego swego nazwiska wymówić nie potrafi! — żartował proboszcz, przejeżdżając koło Gronkowej chałupy.

Józef Birkenmajer

Ten z ludzi jest najdoskonalszym, kto dla bliźnich umie być najużyteczniejszym. — Najnieszczęśliwszą jest ta dusza ludzka, którą cudze szczęście dręczy.

Ks. W. Kalinka



WINCENTY POL

NA JESIENI



ORAZ ciszej — wrzesień! wrzesień!
Słońce rzuca blask zukosa,
I dzień krótszy, chłodna rosa —
Ha i jesień, — polska jesień!

O! jesieni złota nasza!
Tyś jak darów Boża czasza,
Dziwnie mądra, pełna cześci
I kojącej pełna treści . . . .

W pożegnanie grają lasy
Barw tysiącem, pełnych krasy;
Wiosną łąki tu się tęczą,
Starodrzewne lasy wieńczą
Miedzią, złotem i rubinem,
I szmaragdem i bursztynem.
Na jesieni świat się mieni,
I w dobrane gra kolory,
Pajęczyny srebrem dziany,
Jak kobierzec różnowzory
Na dzień wielki rozesłany.

Mgła poranna, co nie rada
Wdzięk osłonić na raz oku,
To się wznosi, — to opada;
I uroczy świat w tym mroku,
Co się dzieli na obrazy,
W plątaninie tęcz i gazy.

Jak czarowna niby wstęga,
Co tę ziemię z niebem sprzęga,
Z srebrnej gazy, z tęczy wątku,
I bez końca, bez początku
Płynie, sunie i przegania
I otula i odsłania
Wdzięki ledwo sercu znane,
A tak pięknie zasromane!

Aż gdy cicho złote słońce
Z dobrą wieścią wyszle gońce,
Mgła uchodzi wielkim zwojem,
I po czarach łzy się żalą.
Za wzgórkami gdzieś niebiosa
Jarząbatą płyną falą;
W blasku słońca perli rosa,
A świat strojny wielkim strojem,
Jak matrona się uśmiecha,

I w milczeniu znów oddycha
I powagą i pokojem.

Złote słońce i ścierń złota —
Nigdzie głosu — nikt nie śpiewa:
A po duszy się rozlewa
Jakiś smętek czy tęsknota.

Odleciały już bociany,
Polskiej strzechy gospodarze;
Już i żuraw rzuca straże,
W klucz powietrzny zawiązany.
I już tylko od jeziora
Słychać jeszcze wrzask kaczora
Lub szum długi, gdy gromada
Już wędrownych gęsi spada.

Jesień polska, to matrona!
Przysporzyła i oddaje:
A co wyszło z serca, z łona,
Ukojone — całe staje.
A ta srebrna pól tkanina,
Ta jesienna pajęczyna,
Owo rąbek wielkiej pani,
Który ziemia niesie w dani.

Cicho, chłodno — jakoś smętno,
Czule, rzewnie i pamiętno:
Bo wianuszki dawno zwite,
Wielkie prace odprawione,
Wielkie burze już przebyte,
Wielkie bole ukojone.
A więc słońce złotem ciska;
A złociste łanów ściernie
Srebrną gazą się połyska,
I przyświadcza temu wiernie
W wielkiej ciszy, w wielkiej wierze,
Niebo, — ziemia, — człek i zwierzę.





Kalikant

Poprzedzona mrokiem granatowym spłynęła na ziemię czarowną w łuskę skrzących gwiazd przybrana, noc czerwcowa. Spłynęła pc promieniach księżyca, nieodstępnego trabanta, co pod stopy jej roz snuwał przędzę jasną, nieuchwytną, przetykaną cieniem szafirowym Dla niej wysrebrzał drzewa, krzewy, pola, wzgórza, ścieżki, drogi.. Pod jego czarodziejską ręką wszystko naokół przybierało kształty tajemnicze, zwiewne, nieuchwytne.

Podczas jednej z takich nocy drogą, wyłożoną kamiennemi taflami a prowadzącą do grodu warownego, jechało dwóch ludzi konno. Jeden z nich jechał na przedzie. Wyniosła jego postać opięta była w ciemna opończę. Głowę przykrywał hełm żelazny. Jeździec posuwał się cichy i milczący. W pewnej chwili sięgnął ręką, opleconą w różaniec, do hełmu, zdjął go, przewiesił u łęku siodła i poddał głowę lekkiemu po wiewowi wiatru, który zwijał i rozwijał przędzę księżycową po szerokich rozłogach. Nic milczenia nie przerywało. Wreszcie jeździec nakreśliwszy wielki znak krzyża na sobie, jął szeptać pacierze, przesuwając ziarna różańca. Modlitwa szeptana żarliwie przez rycerza szła uroczyście w niebo, skuwając mistycznemi węzły ziemię i człowieka z Bogiem. Modlitwa ta przemieniała się w wszechpotężny hymn natury — który człowiek, tej natury twór najlepszy, za nią wypowiadał. Czarowna noc czerwcowa sprawiła, że ludzkie serce omdlewało z zachwytu i Bogu pokornie pod stopy się kładło.

Z zamodlenia wyrwał jeźdźca koń, który raptem przystanął nad głęboką fosą, otaczającą gród warowny. Jeździec skinął ręką. Podjechał natychmiast towarzysz, znać giermek i czekał rozkazu pokornie.

— Nie zdołaliśmy na czas dojechać — odezwał się melodyjnie starszy jeździec. Podjedź bliżej murów i, jeśli napotkasz straże, daj znać, aby spuszczono most zwodzony.

— Stanie się wedle woli, Wasza Wielebność.

Giermek podjechał wzdłuż fosy, wypatrując strażników na murach. Tymczasem jeździec, Waszą Wielebnością tytułowany, wzniósł oczy w niebo i długo, długo jeszcze słał ducha swego do bram niebieskich.

Z zachwycenia zbudził go raptem jęk, zrazu cichy, a potem głośniejszy. Zwrócił się więc w stronę skąd szmer pochodził i znieruchomiał czujnie. Długą chwilę tak trwał, a nie usłyszawszy nic podejrzanego, już chciał z miejsca ruszyć, kiedy go znowu jęk cichy dobiegł. Nie mógł jednak nic rozpoznać, bo przeszkodziły temu głosy, które od murów echem się odbijały. Były to giermka wołania i odpowiedzi straży. Jeździec czekał, aż rozmowy ucichną.



— Hej tam, strażniku — słychać było głos giermka.

— Kto woła?

— Jego Wielebność opat żąda opuszczenia mostu zwodzonego — wołał giermek.

Widać poznano go, bo natychmiast odpowiedziano.

— Stanie się wedle woli waszej.

Giermek wkrótce stanął przed opatem.

— Wasza Wielebność, straże zawiadomione. Wnet most opuszczą.

— Dobrze. Zejdź teraz z konia i przeszukaj tu, z prawa, te zarośla. Coś tam jęczy. Może nieszczęśliwy jaki potrzebuje pomocy.

Giermka dreszcz strachu przebiegł po krzyżach. Bojaźni żadnej nie miał, kiedy chodziło o potykanie się piersią w pierś z nieprzyjacielem. Ale iść w zawody z duchami, z czemś niepewnem, tego bał się wielce. Tu strach brał górę nad wrodzonem męstwem i unicestwiał wszelki odpór i odwagę. Jednak rozkazu nie mógł nie usłuchać. Spełniał go z drżeniem. Nakreśliwszy krzyż na piersi, ruszył w stronę wskazaną. Opat widział walkę wewnętrzną, jaką toczył ze sobą giermek. Dodał mu więc odwagi.

— Idź w imię Boga — a zły szczeźnie!

Giermek, pokrzepiony na duchu, ruszył naprzód. Rozchylił krzewy i pilnie wypatrywał, czy czegoś nie zoczy. Nagle, tuż koło niego, odezwał się jęk cichy. Stanął więc jak wryty i ani kroku dalej ruszyć nie mógł.

— No cóżeś tam zoczył? zapytał z drogi opat.

Więc giermek, przemógłszy strach, rozchylił ostrożnie gałęzie i ujrzał leżącą niewiastę, a obok niej małe dzieciątko. W paru susach znalazł się przy opacie.

— Tam, w krzakach leży jakaś niewiasta, a pobok małe dzieciątko, Wasza Wielebność.

— Sprowadź tu straż natychmiast. Niech zabiorą ją stąd i odstawią do klasztoru. Przypilnujesz rozkazów. Ja tu chwilę poczekam.

Giermek pędem udał się w stronę mostu, a za chwilę ukazał się poczet zbrojnych. Zoczywszy opata pokłonili się uniżenie i natychmiast skierowali swe kroki za giermkiem, który wskazywał drogę do miejsca, gdzie odkrył niewiastę.

Opat, nie czekając, ruszył powoli w stronę grodu. Gromadka zbrojnych wraz z giermkiem dotarła wkrótce do jęczącej niewiasty. Dowódca oddziału spojrzał na twarz leżącej.

— To ta sama niewiasta, — rzucił niechętnie — która jękami, szlochami a nawet przekleństwy chciała koniecznie dostać się do grodu.

— Czemuście nie wpuścili jej? — zapytał giermek.

— Wszak wiecie, że jest nakaz, aby do grodu nikogo nie wpuszczać, kiedy most zwodzony podniesiony. Zresztą może to czarownica? Teraz tyle strzyg po ziemi lata — i przeżegnał się pobożnie. A wiadomo, że w tym miesiącu jest ich najwięcej!

Na sporządzonych naprędce noszach ułożono nieprzytomną niewiastę wraz z dzieckiem i cały orszak ruszył zpowrotem ku miastu-grodowi. Wnet znaleźli się pod dudniącem szerokiem sklepieniem bramy w murze obronnym.

— Brzemię złożymy w infirmerji klasztornej — rozkazał giermek.

Niebawem znaleźli się w obszernych krużgankach klasztoru. Fala księżycowa i tu wszystko zalała swem płynnem srebrem. Milcząco, jak duchy, posuwał się orszak dość długo po wysrebrzonych jaśnią wirydarzach klasztoru, aż przystanął u drzwi silnie okutych. Giermek trzy razy mocno zakołatał. Po chwili wyszedł biały mnich i wpuścił przybyszów do wnętrza. Po złożeniu w infirmerji swego ciężaru strażnicy powrócili na mury. Klasztor po chwili zapadł w senne omdlenie. Tylko księżyc-artysta niestrudzenie pracował, wędrując przylgnemi srebrnemi stopami po ścianach, murach, wykuszach, wirydarzach klasztornych i witrażach świątyni. Po drodze rozrzutnie siał skarbami i zdał się radować z czarodziejskich swego światła miraży.

W ostrołukowej gotyckiej sali, w głębi u okien witrażowych, na szerokiem, dębowem krześle siedział przy stole mąż dostojny i gęsiem

piórem gorliwie coś pisał. Był to opat klasztoru, na poły mnich, na poły rycerz. O powołaniu duchownem świadczył zawieszony krzyż na piersiach, o powołaniu zaś rycerskiem świadczył hełm na stole leżący, a na czarnych ścianach rozwieszona broń wszelkiego rodzaju: koncerz, kolczuga, pawęż, miserikordja, dwie skrzyżowane ze sobą kopje i tarcze. Na chwilę opat przerwał pisanie i klasnął w dłonie. Na progu stanął giermek.

— Jak się miewa nasza chora? — zapytał.

— Ciągle jeszcze nieprzytomna.

— Pójdziemy tam razem. Zdaje się, że to ofiara naszych sąsiadów — mówił zamyślony...

Na wspomnienie sąsiadów ręka giermka mimowolnie spoczęła na rękojeści krótkiego mieczyka, który wisiał mu u boku. Opat dźwignął się z krzesła i skierował ku wyjściu.

— Prowadź — rzucił krótko.

Za chwilę znaleźli się obaj w dużej izbie chorych. Giermek zatrzymał się u łoża jednego.

— To tu, powiedział szeptem.

Opat przystanął i ciekawie spojrzał na białą, jak opłatek twarz chorej.

— Zawezwij O. Cyprjana.

Natychmiast zjawił się O. Cyprjan i zdawał cicho sprawozdanie.

— Od wczoraj nie można się docucić chorej, mimo stosowania wszelkich środków, jakie zna sztuka lekarska.

Opat czas dłuższy wpatrywal się w twarz chorej, która raptem drgnęła. Skinieniem ręki nakazał milczenie. Chora otwarła oczy, a widząc przy sobie nieznajome twarze, jęła drżeć z trwogi.

— Uspokój się, niewiasto. Bóg z tobą! Jesteś u przyjaciół. Niech się nie trwoży serce twoje — mówił powoli opat, nadając swemu głosowi jak najłagodniejsze brzmienie. Pod wpływem tych słów wrócił spokój na twarz chorej. Odemknęły się powieki, a na opata spojrzały wielkie, bezbronne oczy.

— Dziecko? Mieszko? — wyszeptały cicho wargi chorej.

— Jest dzieciątko — jest, zdrowe, dzięki Bogu.

Przez twarz chorej przeleciał leciutki uśmiech radości. Raptem ostatkiem sił dźwignęła się z łoża i przytknęła swe wargi gorączką spalone do ręki opata. Po chwili usunęła się bezwładnie na wezgłowie. O. Cyprjan natychmiast przytknął do jej ust orzeźwiający napój. Wzmocniona — jęła równiej oddychać. Opat, gładząc miękko ręką po głowie, pytał.

— Powiedz mi, kto ci zło wyrządził?

— Krzyżacy — wyszeptała z trudem i popadła w omdlenie.

— Tak przypuszczałem — mówił opat, a zwracając się do O. Cyprjana, rzekł:

— Miejcie o niej staranie — i z temi słowy opuścił salę.

Po drodze rozkazał giermkowi przywołać co przedniejszych rycerzy i starszych z miasta na naradę. Kiedy pracownia wypełniła się przybyłymi, nadbiegli gońce, którzy dali znać o napadzie Krzyżaków na okoliczne wsie, o mordowaniu mieszkańców i porywaniu kobiet i dzieci.

Wielkie wzburzenie powstało wśród zebranych. Wrzawę uciszył opat.

— Znowu na nasze ciche włoście napada wróg w żelazo zakuty z krzyżem Chrystusa na piersiach. Onegdaj podjęliśmy przy drodze niewiastę z dzieciątkiem, która ostatkiem sił uszła przed śmiercią z rąk krzyżackich i przed hańbą. Nie pomoże zanoszenie skarg na Zakon do papieży. To wróg nasz śmiertelny, a karzącą ręką Boga za ich nieprawości będziemy my! Przyszykujcie zbrojne poczty, rozeszlijcie wici. Musimy ukarać zbrodniarzy. Dziś jeszcze wyruszycie w pogoń.

Zebrani rozeszli się ochotnie spełnić rozkazy.

Lechicka cierpliwość przebrała się.

Wnet rozesłano wici, skrzyknięto rycerzy i o północy tegoż dnia poczet zbrojnych ruszył w pogoń za wrogiem, aby mu słuszną wymierzyć karę!

W chwili wymarszu, znaleziona niewiasta wyzionęła ducha.

— Jeszcze jedna krzywda, którą Bóg sprawiedliwie ukarze — rzekł opat, kiedy mu dał znać o tem O. Cyprjan. Ojcze Cyprjanie, zajmij się dzieckiem — to jest naszym obowiązkiem przez Boga wskazanym.

I oto w jaki sposób rozpoczął się żywot małego Mieszka w murach klasztornych. Bracia, pomni nakazów opata, zajęli się wychowaniem pacholęcia, któremu, gdy podrosło, opowiedzieli początek jego dziejów.

Pacholę rosło w atmosferze modlitwy i ekstazy, które pogłębiały jego niezwykłość. Często znajdywano go uśpionego ze zmęczenia na grobie swej matki. Tam niewinne, młode serce prowadziło długie, tajemne rozmowy, które później niosło nad szumiące wody i rozkwiecone łąki i pola. Gwarzyło z szumem drzew i z wiatru powiewem. Otoczenie klasztorne przyzwyczaiło się wreszcie do odmiennego trybu życia, jakie dziwny chłopak prowadził.

Nieraz znowu godzinami słuchał legiend pobożnych, opowiadanych wśród szarych braci, jak to żył ubogi święty Franciszek z Asyżu. Ich naiwnej treści prostotą nasiąkał jak gąbka.

W świątyni robiły na nim zawsze potężne wrażenie organy, na których mistrz Mateusz majestatycznie przygrywał podczas nabożeństw.

Wtedy blada jego twarzyczka różowiła się pod wpływem zachwytu. Dźwięki huczących u stropu organów tak go przejmowały, że cały przemieniał się w słuch i trzeba nim było dobrze jak drzewcem potrząsnąć, zanim się ocucił. W czasie takiego zachwycenia wyobraźnia jego muzyczna rozpinała szeroko skrzydła do lotu i szybowała, szybowała hen — w zawrotne mistyczne dale.

Razu pewnego przywołał go Ojciec Cyprjan do siebie, a kiedy Mieszko przybył, zagadnął:

— No, cóż, nie tęskno ci za niczem? Dobrze ci tu?

— Dobrze, Ojcze, odpowiedział Mieszko — całując w rękę mnicha.

— A może chciałbyś na świat? Nie w murach klasztoru?

— Nie, Ojcze — tu mój dom, jeśli pozwolicie.

— No, wyrostek z ciebie już spory! Trzeba o czemś pomyśleć.

— Tak, Ojcze — proszę o wyznaczenie mi jakiejś roboty.

— Zdaje się, że bardzo lubisz muzykę?

— Tak, Ojcze — bardzo!

— A może byś tak poszedł na naukę do Ojca Mateusza?

Chłopakowi oczy z radości pojaśniały. Z podziwu jednak nic nie odpowiedział. O. Cyprjan pytająco spojrzał na niego.

— Cóż, milczysz?

— Ojcze! Radość dech mi w piersiach zapiera.

— Nie myśl, chłopcze, że to nauka łatwa. Zrazu ciężko ci będzie. Zresztą O. Mateusz objaśni cię o twojej robocie. Idź z Bogiem do niego.

Mieszko pokłonił się Ojcu Cyprjanowi i natychmiast udał się do O. Mateusza.

Mistrz Mateusz mieszkał tuż przy świątyni w specjalnej przybudówce. Mieszkanko jego otaczano specjalną czcią i troskliwością. Tuż przed oknami rozciągał się mały ogródek, w którym mistrz Mateusz z zamiłowaniem pielęgnował kwiaty i rzadkie krzewy. Mistrz bowiem był w każdym celu artystą. Nie tylko był muzykiem, ale i poetą, malarzem, ogrodnikiem. Wszystko, co miało pokrewieństwo ze sztuką, nie było obcem mistrzowi. Kochało go też wszystko dookoła — ludzie, ptaki i kwiaty. Mieszko nieraz zaglądał do izdebki Ojca Mateusza, jednakowoż admiracja wielka onieśmielała go tak dalece, że nigdy dłużej nie zatrzymywał się nad to, co miał sobie zleconem do wykonania. Nieraz dobrotliwe oczy Ojca Mateusza zatrzymywały się na chłopaku, który pod tem spojrzeniem drżał dziwnie. Teraz z rozkazu O. Cyprjana miał stale z nim przebywać.

Czyż mógł marzyć o większem szczęściu? Migiem przebiegł obszerne podworce zabudowań klasztornych i zatrzymał się na progu otwartych drzwi mistrza Mateusza.

— Laudetur Jesus Christus — zawołał dźwięcznym głosem.

— Mieszko jestem. Przysyła mnie O. Cyprjan na Wasze usługi.

Mistrz Mateusz siedział pochylony za stołem i z przejęciem malował inicjały do psalmów. Obok stał tęgi gąsiorek, z którego od czasu do czasu dla pokrzepienia swych sił i fantazji dobry haust pociągał... Był to staruszek z białą koroną włosów na głowie, których białość zlewała się z niepokalaną bielą szaty mniszej, w którą był przybrany. Na głos chłopca podniósł głowę i dobrotliwie się uśmiechnął. Odłożył pędzelki, odsunął nieco zydel od stołu, przyczem jego prawica spoczęła na uchu gąsiorka i spojrzał na chłopaka, który stał skromny i cichy przy progu. Chwilę patrzał na niego uważnie.

— Wiem, będziesz moim pomocnikiem, chłopcze — kalikantem. Nie wiem tylko czy dasz sobie radę. Zresztą spróbujemy. Każdy początek jest trudny. Jak dobrze pójdzie, zaznajomię cię ze znakami muzycznemi. Zczasem wszystko pojmiesz.

Ośmielony dobrocią, jaka z ócz Ojca Mateusza tryskała, przysunął się Mieszko bliżej do stołu i spojrzał z nabożeństwem na zaczętą robotę. Złożył ręce jak do modlitwy i zawołał.



— O, jakież to cuda! Chyba aniołowie Pańscy Ojcu pomagają?

— Z pomocą Boga, jak się będziesz dobrze sprawował — zczasem i ty to potrafisz.

Wiedz, synu, że największem szczęściem człowieka jest umieć iskrę bożą, tkwiącą w człowieku, umieścić w jakimś kształcie zewnętrznym czy w muzyce, rysunku, barwie czy w słowie. Ale o tem potem. I z temi słowy dźwignął się ze stołka. — Teraz pójdziemy do świątyni, źródła natchnienia duszy ludzkiej.

Mistrz Mateusz szedł przodem, a za nim Mieszko, który starał się chód i zachowanie mistrza sobie przyswoić. Kiedy znaleźli się obaj w świątyni, Mistrz Mateusz padł na kolana i chwilę pozostał w milczeniu. Mieszko uczynił to samo. Po krótkiej kontemplacji mistrz Mateusz podniósł się i skierował w stronę chóru, gdzie były umieszczone organy. Mieszkowi serce biło ze wzruszenia tak silnie, że od czasu do czasu rękę przykładał do piersi, chcąc je uciszyć. Znalazłszy się na górze, chwilę mistrz Mateusz odpoczął, a potem podszedł do organów. Objął je całe miłosnem spojszeniem i skinął na Mieszka.

— Oto instrument, który śpiewa na chwałę Bogu wszystkiemi głosami natury, głosami chórów anielskich i cherubinów.

Obszedł wkoło olbrzymią budowę, jaką przedstawiały organy i zatrzymał się przy jednej ze ścian.

— Teraz wskażę ci twoje zadanie, przybliż się.

Tu leżał spłaszczony ogromny miech, a od niego prowadził drążek, na dźwigni podparty, połączony z ruchomą deską u dołu.

— Patrz tu, mój synu. Tu są płuca całej tej cudownej machiny, która tak długo milczy, aż nie odetchnie jak człowiek. Obecnie nieżywą zbudzić może tylko miech zasobny w powietrze i klawisz naciśnięty w manuale. Chwyć za ten drążek i pociągnij go na dół i nadepnij mocno stopą deskę u spodu.

Mieszko, nad którego głową drążek wysoko wysterczał, chwycił zań i z całych sił jął go ciągnąć na dół, naciskając stopą ruchomą deskę. Miech ledwie drgnął. Mocował się tak z miechem dobrą chwilę, a wciąż napróżno. Widział to mistrz Mateusz i dobrotliwie się uśmiechnął.

— Ładnego dostałem pomocnika.

A widząc strapioną minę Mieszka starał się go pocieszyć.

— To zrazu tak ciężko, później pójdzie łatwiej. Zresztą znajdziemy i na to radę. Dodamy tu parę ciężarków, napniemy mocno parę strun i zaraz ciężaru się zbędziemy. Spróbuj teraz.

Mieszko pociągnął za drążek i poszło łatwiej. Powoli jął się miech nadymać.

— Teraz dobrze! Tylko pamiętaj nadymać jednakowo, ni prędzej ni powolniej. Zaoszczędzisz siły, a organy stale będą miały dech w piszczałach. O tak — dobrze! Ostawiam cię, a sam idę i zagram. Z temi słowy mistrz Mateusz podszedł do klawjatury i za chwilę pod strop kościoła uderzyły wspaniałe dźwięki hymnu.

Próba Mieszka-kalikanta wypadła snać dobrze, bo mistrz Mateusz, skończywszy grać, zeszedł ze stopni swego wysokiego krzesła i zwolnił Mieszka od pracy, pogłaskawszy go dobrotliwie po głowie.

Odtąd zrósł się mistrz Mateusz ze swoim kalikantem. Tak się przywiązał do swego pomocnika, że mu zezwolił na zamieszkanie w swoich izdebkach.

Rano, po wspólnej modlitwie, mistrz Mateusz zabierał się do pisania i malowania psalmów i kancjonałów. Kalikant tymczasem mieszał i przygotowywał mu w wątlicach glinianych farby. Po pewnym czasie zaznajomił go mistrz ze znakami muzycznemi, a nawet powierzał od czasu do czasu malowanie inicjałów w księgach świętych. Przed każdą nową robotą mistrz Mateusz odmawiał modlitwę do Ducha Świętego.

— Zstąp Duchu Święty i zwól duchowi ludzkiemu na chwałę Twoją ukazać się w pięknie i w sztuce rąk ludzkich. Pobłogosław nędzy ludzkiej, która chce blaskiem Twoim łachman swój ozdobić, dla większej Twojej chwały.

Kalikant powtarzał modlitwę z taką gorliwością, że mistrzowi Mateuszowi wydała się zkolei jego pobożność wobec pobożności wyrostka zbyt skromna i mała.

Kalikant okazywał natchnienie z łaski boskiej i malował cudne, przecudne wzory, kwiaty i nakładał je takiemi barwami, że oczu oderwać od nich nie było można. Wzorów dostarczało mu otoczenie, a barwy

niebo i słońce. Zachwycała go bowiem cała przyroda, której miłować nauczył mistrz jego.

Często wychodzili obaj poza mury grodu i zanurzali się w rozkwiecone łąki, rozśpiewane gaje i szumiące lasy. Przystawali nad strumieniami i słuchali ich szmerów. Nieraz całe godziny spędzali w odrętwieniu, leżąc na szmaragdowej trawie i błądząc oczyma po niebie, po którem przelatywały pierzaste chmury jak białe ptaki.

— Synu — tu masz wokół księgę otwartą, w której sam Bóg pisze i maluje. Jeśli choć cząstkę z tych skarbów w duszy uniesiesz — będziesz szczęśliwy. Na widok tych wspaniałości serce ludzkie śpiewa radośnie od wschodu do zachodu na chwałę Bogu. Przed taką radością pierzcha wszelki smutek, nie straszna jest śmierć nawet. Synu, raduj się tylko w Bogu i radość swoją nieś wśród ludzi i rozświetlaj ich duchowe piwnice, pełne trosk i żmudy.

Kalikant słuchał mistrza i przejmował się radością natury. Nadstawiał ucha na czarowne melodje, jakie wokół rozbrzmiewały, czy w wietrze wieczornym, czy w szumie drzew, czy w nurcie strumienia. Grały mu obłoki, sunące po niebie, grały mu kwiaty, rozrzutnie szeroko rozsiane. Muzyka dźwięków zlewała mu się z muzyką barw, które cały świat zalewały jużto wschodem słońca, jużto lśnieniem południa lub dojrzałym jak pomarańcza dnia zachodem.

Nieraz, nieświadomie w obliczu przyrody — śpiewał hymn, który powoli, powoli unosił go hen — w zaświaty. A kiedy go mistrz Mateusz zaznajomił z hymnem św. Franciszka z Asyżu, nie było dnia, aby go w głos nie wyśpiewał.

Najwyższy, wszechpotężny, dobry Panie,
Twoją jest sława, chwała i cześć i wszelkie błogosławieństwo,
Jedynie Tobie, Najwyższy przystoją,
A żaden człowiek nie jest godzien nazwać Ciebie.

Pochwalony bądź, Panie, z wszystkiemi swemi twory,
Przedewszystkiem z szlachetnym bratem naszym słońcem,
Które dzień stwarza, a Ty świecisz przez nie;
I jest piękne i promienne w wielkim blasku;
Twojem, najwyższy, jest wyobrażeniem.

Pochwalony bądź, Panie, przez brata naszego, księżyc i nasze siostry [gwiazdy,
Tyś ukształtował w niebie jasne i cenne i piękne.

Pochwalony bądź Panie, przez brata naszego, wiatr
I przez powietrze i czas pochmurny i pogodny i wszelki,
Przez które dajesz tworom Swoim utrzymanie.

Pochwalony bądź, Panie, przez siostrę naszą, wodę,
Co pożyteczna jest wielce i pokorna i cenna i czysta.

Pochwalony bądź, Panie, przez brata naszego, ogień,
Którym oświecasz noc,
A on jest piękny i radosny i silny i mocny.

Pochwalony bądź, Panie, przez siostrę naszą, matkę ziemię,
Która nas żywi i chowa
I rodzi różne owoce z barwnemi kwiaty i zioły.

Pochwalony bądź, Panie, przez tych, co przebaczają dla miłości Twojej,
I znoszą słabość i utrapienie.
Błogosławieni, którzy wytrwają w pokoju,
Gdyż przez Ciebie, Najwyższy będą uwieńczeni.

Pochwalony bądź, Panie, przez siostrę naszą, śmierć cielesną,
Której żeden człowiek żywy ujść nie może;
Biada tym, co konają w grzechach śmiertelnych;
Błogosławieni, którzy znajdą się w Twej najświętszej woli;
Bowiem śmierć wtóra zła im nie uczyni.

Chwalcie i błogosławcie Pana i czyńcie mu dzięki
I służcie mu z wielką pokorą.

„Pochwała stworzenia" *), którą wyśpiewał Św. Franciszek, złożony niemocą u św. Damjana była dla Ojca Mateusza źródłem natchnienia, krynicą radości, skąd czerpał i innych obdzielał. Bo, czyż — wedle słów św. Franciszka — nie są słudzy Boga istotnie grajkami, którzy powinni podnosić serca ludzkie do radości duchowej? Źródło to przeczyste poiło teraz ich dwóch, było dla nich codzienną modlitwą, hymnem miłości i pieśnią słoneczną.

Mieszko po chwilach uniesienia wracał wyczerpany, ale z takim blaskiem na twarzy, że mistrz Mateusz zazwyczaj rozmowny milkł, patrząc z podziwem na uduchowione oblicze swego pomocnika. Dziękował też Bogu, że godnego będzie miał po sobie następcę. Wtajemniczał go więc we wszelkie arkana swej sztuki. Wkrótce jednak zrozumiał, że to, co daje — daje, za mało. Resztę sam uczeń dorabiał sobie ciągłem obcowaniem z naturą.

Mistrz Mateusz, jakkolwiek zapoznał swego kalikanta ze wszystkiem co umiał, jednakowoż pozostała jedna dziedzina — do której go jeszcze nie dopuścił: do tajemnicy gry na organach. Odkładał to na później. Uważał tę sztukę za szczyt wszystkiego, do której przez długie lata trzeba się sposobić. Wszak on również musiał odbywać długie studja zanim dostąpił do tego zaszczytu, jaki piastował w klasztorze. Wszak nie na darmo zapoznawał się z Franceskiem Landino we Florencji, Antoniem Sguarcialupo, Claudiem Merulo i z największym mistrzem mistrzów: Girolamem Frescobaldim. Sądził, że mimo nadzwyczajnych zdolności kalikanta jeszcze dużo wody upłynie zanim — zagra na organach. Może tu grała niewinna, do wybaczenia, zwykła słabość ludzka mistrza Mateusza? Kto wie? Mieszko kalikant nie śmiał prosić o zapoznanie go ostateczne z instrumentem. Tem gorliwiej zato poświęcał się obserwacji.

*) Tłum. Leopolda Staffa.

Jednak to mu już nie wystarczało.

Siła jakaś przemożna pchała go do klawjatury organów. Myśl jednak, że mógłby bez pozwolenia mistrza Mateusza dotknąć się klawiszy, przejmowała go lękiem, jakby miał popełnić świętokradztwo.

Długo się z sobą mocował.

Pociąg jednak był silniejszy.

Razu pewnego w nocy wstał ze swego posłania i cicho, aby nie zbudzić śpiącego w przyległej izdebce mistrza, skierował swe kroki do świątyni. Tu wszedł odrazu na chór.

Serce z trwogi zapierało mu dech w piersiach.

Najmniejszy szmer potęgował lęk i wzruszenie.

Po dobrej dopiero chwili przyszedł do siebie i podszedł do klawjatury. W świetle księżyca blyszczały białe klawisze jak rozwinięty pas ze srebrnych prostokątnych ogniw. W górze czerniały wysoko wzniesione piszczały, co jak wydłużone twarze ludzkie, u dołu z lekko rozwartemi ustami, zdały się nieprzyjaźnie na niego spozierać.

Wszystkie milczały jak zaklęte. Mieszko stał chwilę nieruchomy; wreszcie wszedł po schodkach na podium i zasiadł w wielkiem krześle mistrza Mateusza.

Ręce same opadły na klawjatarę.

Dreszcz uniesienia przebiegł przez jego nerwy.

Palce zaczęły przebiegać po całej klawjaturze lekko i bez wysiłku. Jakby nigdy nic innego nie robiły, jak tylko grały. I otworzyła się dusza kalikanta. Zagrały w nim dotąd tajone melodje, iż zdało się kalikantowi, że organy grają a świątynia cała aż po strop wyniosły pełna jest muzyki. A to tylko dusza jego grała.

Odtąd wykradał się kalikant co noc z izdebki i grał nieme hymny na cześć Boga.

Pewnego razu dano znać do opactwa, że do grodu ma zjechać ze stolicy swej biskup na wizytację. Wszystko co żyło jęło przygotowywać się do godnego przyjęcia tak wielkiego dostojnika.

W grodzie zawrzało jak w ulu.

Ruch, bieganina napełniła cały gród niebywałym rozgwarem i hałasem. Dostojni rajcowie miasta nakazali na wszystkich placach i na rogach grodu przez swoich heroldów, by miasto przybrało odświętne szaty. Zapowiedziano na czas przybycia biskupa festyny i huczne zabawy dla całej ludności. Wśród nadobnych mieszczek zapanowała radość! Od rana do wieczora przebierały w skrzyniach, ażeby jak najdostojniej i najpowabniej móc wyglądać, bo przecież nie lada zjazd będzie przytem dorodnego rycerstwa.

Rozesłane wici ściągały już świetne poczty rycerskie do grodu. Gospody pękały od nadmiaru gości.

Klasztor cały był również w ruchu. Krzątano się z zapałem. Sprzątano, odkurzano, zamiatano. Mistrzowi Mateuszowi polecił opat skom-

ponować utwór muzyczny na powitanie dostojnego gościa. Mozolił się więc staruszek nad układem hymnu. Przez całe dnie kreślił znaki muzyczne. Starość jednak nie radość. Na dwa dni przed przyjazdem biskupa mistrz Mateusz złożon chorobą, położył się do łóżka. Na wiadomość o tem u władz klasztoru nastąpił popłoch.

Ojcowie wielce byli tą wiadomością zmartwieni. Jakto? Ich najsławniejsze organy i ich mistrz najsławniejszy mieli milczeć wówczas, kiedy biskup będzie wśród nich? Posłać po innego mistrza? Nie było już czasu. Zresztą tak wielu ich nie było!

Natychmiast opat w towarzystwie O. Cyprjana odwiedził mistrza Mateusza. Kiedy wkroczono do izdebki, zastano go jak dyktował z łoża kalikantowi nuty, wychudłą ręką takt wybijając. Na widok przybyłych przerwał swą pracę i powitał ich bladym uśmiechem. Opat podszedł do łoża chorego.

— Wielkie zmartwienie sprawiliście nam, Ojcze, swoją chorobą.

— Wola Boga — Ojcze opacie. Już widać czas na mnie. Nie ku zmartwieniu mi idzie a ku radości.

— Nie trwóżcie serc naszych, Ojcze! I to w tym czasie, kiedy biskup ma do nas zagościć? Więc zamilkną organy i ich mistrz największy? Wszak biskup nieraz zachwycał się Waszą muzyką, która tak wzniośle wielbiła Boga.

Mistrz Mateusz nic się nie odezwał. Bo jakąż dać na to radę? Wyrzucał sobie w duchu swój starczy egoizm, że nie zapoznał kalikanta z ostatnim swoim kunsztem.

Mieszko, stojąc w nogach mistrza, wpatrywał się pilnie w twarz jego. Zdawał się czytać walkę, jaką z sobą mistrz Mateusz toczył. Podszedł więc do niego i pocałował go serdecznie w rękę. Mistrz Mateusz zrozumiał. Ręką przygarnął do siebie kalikanta i w czoło go pocałował. Zwracając się do opata, rzekł:

— Będę się modlił do Boga o siły, które pozwolą mi przywitać muzyką naszego biskupa.

Opatowi i Ojcu Cyprjanowi kamień spadł z serca. Z radością uścisnęli ręce mistrza.

— O. Cyprjan zastosuje przy pomocy boskiej swoją sztukę lekarską i wzmocni Wasze siły — rzekł opat. — Teraz ostańcie z Bogiem. I ja za was wzniosę modły do Boga.

Mistrz Mateusz dziwnie się uśmiechnął. Cierpliwie poddawał się zabiegom O. Cyprjana i wciąż milczał.

— No, tętno Wasze równiej bije. Zdaje się, że siły wrócą. A ty — zwrócił się O. Cyprjan do kalikanta — przyjdź za chwilę do mnie, a dam ci napój dla Ojca, który mu co godzinę będziesz podawał. — I z temi słowy opuścł obu.

Nastąpił dzień przyjazdu biskupa.

Cały gród przybrał wygląd bogatego kramu, na którym znajdowało się wszystko co mogło oko zachwycić. Co kto miał najdroższego

kładł na siebie, kładł na okna i balkony i zdobił bramy i ściany swych domów. Ciasne ulice grodu wyglądały jak płonące strumienie różnobarwnych tkanin. Przez ulice złotem słońcem zalane i przez place przewalał się tłum różnobarwny i różnorodny. Tłum ten był w ciągłym ruchu. Tylko gdzie niegdzie zatrzymywały się gromady, by popatrzeć na trupę linoskoczków, lub śpiewających rycerskie ballady rybałtów. Od czasu do czasu przeciskały się przez tłum świetne poczty rycerskie. Na ich widok płonęły liczka i biły serca u niejednej niewiastki.

Wszechpotężna radość życia przewalała się przez miasto i zdała się z brzegów obronnych murów występować.

Na wyniosłych wieżach, rozstawione straże pilnie wypatrywały, czy nie zoczą na horyzoncie biskupiego orszaku. Przez otwarte bramy grodu raz wpadali raz wypadali gońcy.

Wtem, przeciągłe dźwięki trąb i rogów dały znać, że oczekiwany dostojnik zbliża się do miasta. Wnet rozkołysały się wszystkie dzwony i do ogólnej radosnej melodji grodu dołączyły swoją przecudną muzykę.

Hosanna!... Hosanna!...

Wyszły procesje z chorągwiami, za niemi długi sznur mnichów w białych jak śnieg szatach. Każdy z nich niósł w ręku tęgą woskową świecę z zapalonym płomieniem, który ostrożnie przed powiewem wiatru osłaniał. Szły dziewice w biel przybrane z wianuszkami kwiatów na głowie. Sunął długi szereg pacholąt, co sypały kwiecie od świątyni aż do bram miasta i zpowrotem. Jechało następnie świetne rycerstwo na koniach, a każdy na piersiach niósł zapalone słońce w zbroi. Bogate kropierze spływały z wierzchowców. Za rycerstwem szły poważnie szeregi mieszczan dostojnych. I mieniły się przestronne fałdziste hazuki, kopieniaki, opończe, nasuwienia, inderaki, kwefy, szustahory. Aksamity, adamaszki, telety i tabiny włoskie, co pod słońce wodę udawały, strugi, brokatów, altembasy czyli złotogłowia, guzy djamentowe, forety i pontały, wysokie żupice składały się na obraz tak przecudny i niewiarygodny, że oko gubiło się w tych wspaniałościach i nie mogło wszystkiego ogarnąć.

Płynęła wezbrana kolorami rzeka naprzeciw biskupa.

Tymczasem w izdebce mistrza Mateusza kalikant krzątał się jak mógł najpilniej, aby z czoła mistrza spędzić przysiadającą nań w locie nieuchwytnym śmierć.

— Mieszko, zdaje się, że nie będę mógł zadość uczynić woli opata. Co będzie? — pytał słabo mistrz Mateusz.

— Mistrzu, nie trapcie się. Przy pomocy boskiej może da się jakoś zrobić...

Mistrz Mateusz spojrzał miłośnie na swego kalikanta.

— Jakto, tybyś?...

— Tak, ojcze! Ja ciebie zastąpię i nikt o tem wiedzieć nie będzie. A teraz ostańcie z Bogiem, bo już czas iść do świątyni. Muszę uprosić

kogoś, by mi kalikował. Słychać już wielki gwar. Pewnie zbliżają się do świątyni. Pobłogosławcie mnie, ojcze. — I ukląkł przy łożu chorego.

A kiedy błogosławieństwo otrzymał, czem prędzej wybiegł z izdebki. Na chwilę przystanął na progu, bo widok, jaki mu się przedstawił, oczarował go tak, że znieruchomiał i patrzył szeroko rozwartemi oczyma na przewijający się pochód. Na przedzie na białym koniu jechał biskup, a po bokach towarzyszyli mu piękni jak anioły paziowie. A dalej za nim hen, w nieskończoność zwijał się i rozwijał wielki krąg ludzkiego węża ruchomego.

Ocknął się jednak i pędem pobiegł do świątyni. Tu w kruchcie porwał gapiącego się, tęgiego chłopaka i pociągnął go za sobą na chór. Tu pouczył go jak ma się z miechem obchodzić, a sam udał się do klawjatury.

Był już czas najwyższy. Pochód bowiem doszedł do bram świątyni, a za chwilę wlał się wraz z dostojnikiem do nawy i wypełnił ją po brzegi.

Mieszko, zasiadłszy w karle mistrza Mateusza poczuł, że wziął na się brzemię, które przerasta siły jego. I byłby może zemknął, gdyby nie pamięć na umiłowanego mistrza i wkroczenie do świątyni biskupa. Ostatni moment pozwolił mu na skupienie odwagi i palce jego spoczęły na klawiszach organów.

I sam nie wiedział kiedy spłynęła triumfująca muzyka powitalna na tłum zebrany w świątyni. Hymn ten musiał być niezwykły, bo cała świątynią po chwili umilkła i wszyscy jak zaklęci słuchali nieruchomo tonów, spływających w nawę kościoła.

Mieszko kalikant grał — nie licząc się z czasem tak długo, jak długo w nim melodja królowała.

Kiedy przestał, tłum ocknął się jak z zaklęcia i szmer pobiegł po kościele. U ołtarza głównego widać było rozradowane twarze Ojców klasztoru i opata, który raz wraz spozierał na biskupa, jakby mu podkreślał, że mistrz Mateusz jest mistrzem nad mistrze, jakiego świat nie słyszał.

Na twarzy biskupa malowało się również wielkie zadowolenie.

I rozpoczęło się nabożeństwo. Świetność jego uzupełniały organy. Mieszko kalikant wyśpiewał długo tłumiony hymn ku chwale Stwórcy, a do szczytu doszedł ten hymn na Sanctus. Muzyka tak wszystkimi zawładnęła, że każdy w nią wsłuchany zapominał się modlić, a modlił się melodją organów. Pod czarem tym pozostawali aż do końca nabożeństwa. Nieraz jak na komendę odwracały się głowy w stronę chóru, choć nic tam dojrzeć nie mogły.

Nabożeństwo się skończyło.

Kościół opustoszał.

Miasto oddało się zabawie i weselu.

Opactwo przyjmowało biskupa i dostojników wspaniałą ucztą.

Mieszko kalikant podziękowawszy pomocnikowi swemu, który mu dzielnie kalikował, zeszedł z chóru i pobiegł natychmiast do izdebki mistrza Mateusza. Przypadł do jego łoża i głowę skrył na piersi mistrza.

— Słyszałem, rzekł mistrz Mateusz słodko, — to chyba wszyscy anieli i cherubini zeszli ci na pomoc. To całe niebo grało.

Mieszko kalikant nic nie odpowiedział. Mistrz wciąż gładził ręką głowę swego pomocnika.

— Mieszku, godziny moje są policzone. W tym czasie, kiedy inni ucztują — spraw mi ucztę ostatnią i kiedy ja po przyjęciu św. Sakramentów będę wybierał się we wieczną drogę, ty... — nie mógł mistrz dokończyć, bo zabrakło mu w piersiach tchu.

— Ależ, Ojcze mój, tobie jeszcze czas wybierać się we wieczność. Kto mi będzie ojcem i przyjacielem?

— Umieram spokojnie — mówił mistrz po chwili przystankami — boś ty następcą moim, o jakim nie śmiałem marzyć. Bóg jest łaskawy. Ojcem ci będzie Bóg a przyjacielem sztuka. Cóż ci więcej potrzeba, mój chłopcze? Pójdź teraz do którego z Ojców duchownych i zaproś go tu, bym odbył z nim ostatnią rozmowę. Tolko, wychodząc, pootwieraj mi wszystkie okna, bym nie uronił żadnego dźwięku, ni obrazu ze świata...

Kalikant poszedł spełnić ostatnie życzenie swego mistrza.

Miało się już ku wieczorowi... W olbrzymim refektarzu klasztornym przy zapalonych świecach i pochodniach korzystano radośnie i gwarnie z darów bożych. W pewnym momencie biskup, rozglądając się po otoczeniu, zapytał.

— A gdzież jest mistrz Mateusz? Dzisiaj przeszedł sam siebie.

Takiej muzyki nie słyszałem w życiu. Opacie, raczcie przywołać tu mistrza Mateusza.

Przy stole powstało wielkie poruszeuie. W tym rozgwarze i rozgardjaszu nie zauważono zupełnie nieobecności mistrza Mateusza. To też Ojcowie skwapliwie teraz jęli na wszystkie strony za nim się oglądać. Po chwili podszedł jeden z braci do opata i coś mu szepnął na ucho. Opat się zmieszał. Biskup ze zdziwieniem spoglądał na zamilkłe zebranie, i w chwili, kiedy miał nowe zadać pytanie — usłyszano muzykę organów.

— Ach, to taką niespodziankę przygotowaliście mi, Ojcowie? Kiedy już tak uczcić mnie chcecie, godnem jest, abym ja, wasz pasterz, osobiście podziękował mistrzowi Mateuszowi za jego wzniosłą muzykę. — I z temi słowy podniósł się od stołu i skierował swe kroki w stronę świątyni, a za nim ruszyła zaskoczona życzeniem biskupa cała świta ucztujących. Im bliżej byli kościoła, tem wyraźniejsze dochodziły ich dźwięki, a czar muzyki brał ich w swe przemożne posiadanie.

Organy tak przejmująco przemawiały do duszy, że bladły twarze ze wzruszenia.

Muzyka jużto kaskadą prędkich jak błyskawica pasaży, jużto najsłodszą melodją spływała na ziemię i łączyła się z poszumem drzew

i rozgwarem świata. Jużto szła dźwiękami w niebo jak dymy kadzideł ofiarnych. Biła w nich potęga miłości i cierpienia, potęga uwielbienia Stwórcy i radość życia.

Przy takiej muzyce wonczas szła dusza mistrza, hen do progów niebieskich — szła słodka i radosna.

W momencie kiedy mistrz Mateusz ostatnie oddawał tchnienie, a muzyka dochodziła szczytów uniesienia, biskup wraz z orszakiem wkroczył do świątyni. Tu wszyscy przystanęli cisi i milczący, idąc za przykładem dostojnika. Muzyka stawała się coraz cichsza, wątlejsza i wreszcie jak dym się rozwiała, pozostawiając po sobie jakieś dziwne, nie z tego świata tchnienie.

Pierwszy ocknął się biskup, a zwracając się do opata, rzekł:

— Dziwnie przejmująca muzyka. Takiemu mistrzowi musimy osobiście w jego królestwie podziękować, i skierował swe kroki w stronę chóru. Za nim pospieszyła reszta.

Znalazłszy się na chórze jął się rozglądać dookoła, szukając mistrza Mateusza. Hej, światła tu, zawołał i podszedł w stronę klawjatury, a rzuciwszy na nią wzrokiem, wydał lekki okrzyk.

— Ach!

Wszyscy obecni rzucili się natychmiast w tę stronę, ciekawi co się stało. Na wysokiem krześle, w którem zwykle zasiadał mistrz Mateusz, siedział teraz — kalikant — Mieszko kalikant — pomocnik mistrza Mateusza, na którego pochodnie rzucały długie migotliwe światła. Zmieszani spojrzeli po sobie. Milczenie przerwał biskup.

— Teraz rozumiem tajemnicze wasze zachowanie się, Ojcze opacie, i nieobecność mistrza Mateusza. Ale to nic! Bóg pobłogosławił nas większym mistrzem, którego, jeśli pozwolicie zabiorę do swej stolicy. No, chłopcze, nie wstydź się, nie kryj twarzy na klawiszach.

I z temi słowy podszedł do Mieszka — i dłoń swoją, w fiolety przybraną, położył mu na głowę. Głowa pod ciężarem ręki usunęła się jednak bezładnie. Biskup pobladł. Odwrócił się do świty i rzekł.

— Ależ on nieżywy!

Podskoczył O. Cyprjan, podskoczyli i inni, lecz każdy sprawdził już tylko śmierć Mieszka kalikanta.

Więc ukląkł biskup i głośno jął odmawiać modlitwę za umarłych, a za nim chórem głośno i z przejęciem modlitwę powtarzano.

Po chwili dźwignął się z kolan i zwrócił się do otoczenia.

— Za wielki to był mistrz na naszą ziemię i dlatego Bóg powołał go w anioły, święty on — ten wasz — tu O. Cyprjan podpowiedział — Mieszko-Kalikant...

Wtem dano znać, że przed paroma chwilami oddał Bogu ducha również mistrz Mateusz.

Nastała cisza, która milczeniem skuła wszystkich.

Tajemną obręcz przerwał biskup.

— Bóg powołał ich do Swoich Chórów niebieskich. Obaj mu się spodobali! Chwała Panu na wysokościach — zakończył biskup wzruszony, a za nim wyrzekli wszyscy — Amen!

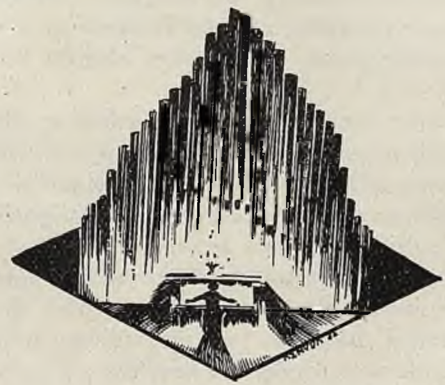
Mieszko Kalikant jednak nie umarł, to ciało tylko umarło. On żył. I nieraz świątynia rozbrzmiewała muzyką, przy wtórze której szły dusze pobożnych do bram niebieskich. Słyszały tę muzykę serca czyste i niewinne.

I odtąd legenda oplotła organy klasztoru i Mieszka kalikanta.

Legenda ta szła z pokolenia w pokolenie i była krynicą boskich wzruszeń dla niezmiernej rzeszy życiem utrudzonych.

Czy słyszysz ją, serce?

Bolesław Eustachiewicz



Kazimierz Laskowski (El)

Hej, żeby tak...

Hej, żeby tak w garści socha
Iść warkoczem skib,
Orać dla tych, co się kocha,
Na powszedni chleb — o wiośnie,
Na powszedni chleb!

Hej, żeby tak wodzić pługiem...
„Odsię", „wiśta", „ksie!"
Ponad Wisłą, Narwią, Bugiem,
Tam, gdzie serce rwie i dusza,
Tam, gdzie serce rwie!

Hej, żeby tak ziarna z korzec
Na tysięczny plon,
Niechby rosło, jak proporzec,
Jak krakowski dzwon szumiało,
Jak krakowski dzwon!

Hej, żeby cztery siwe,
Bicz konopny... hej!
Huknąć! jechać w dni szczęśliwe
O wiosence tej złocistej,
O wiosence tej!



Pax Piłsudczyka.

(Nowelka napisana przez legjonistę J. Wąsika w styczniu 1916 r.)

Na ziemi szalała burza wojny, tak wielka, jakiej dotychczas nie bywało, jakiej żadne kroniki w żadnej historji świata nie notują. Wojna ze wściekłością niebywałą prowadzona, na ziemi i pod ziemią, w powietrzu, na wodzie i pod wodą. I spłynęły krwią i łzami i Tamiza i Dunaj i Sekwana i Dniestr i San i Bug i wiele, wiele innych rzek. A już najbardziej chyba nasza kochana Wisełka.

Wszędzie smutek i łzy.

I w niebie smutno było w tym kącie, w którym kwaterowało rycerstwo polskie. A był ich tam poczet znaczny, samych głośnych nacyj, samych sławnych w Polsce imion. Był więc p. Zawisza Czarny, herbu Sulimczyk, był p. Powała z Taczewa i p. Lis z Targowiska i p. Jastrzębiec i p. Skrzetuski i p. Wołodyjowski i Longin i Kmicic i Muszalski łucznik i najbardziej znany p. Zagłoba. A z nowszych byli i Kościuszko naczelnik, Chłapowski, Skrzynecki, Bem, Dwernicki, ks. Józef, Różycki i wielu innych. W ostatnich dniach przyszedł do nieba transport jakichś szarych, mizernych, niepokaźnych osóbek i... o zgrozo, przydzielano ich także do polskich Rycerzy. Jakiś tam Herwin, Grudziński, Medyński, — jakiś tam major Kuba. — Z początku myślano, że zaszła pomyłka, że niebieski kwatermistrz się pomylił. Ale gdzie tam, taki rozkaz otrzymał. To już straszne. Rozkaz? Taki dyshonor rycerstwu polskiemu? Ho, wkońcu możeby się zgodzono na to; bo ci sublokatorowie tacy jacyś byli spokojni, takie ujmujące jakieś człowieczki. Ale pomiędzy rycerstwem był przecież p. Zagłoba, ogromnie czuły na tego rodzaju historje. On to

tam siedzi za tym stołem i rej wodzi i krzyczy i wymachuje rękoma i mruga zdrowem okiem i czerwieni się, a raz w raz pociąga z kryształowego puhara kryształowy nektar niebieski. „Waćpanowie, powiada, już to różne monstrua widziałem, (pamiętasz Michale, jakem tego Czeremisa, co Halszki pilnował, utłukł?). Otóż, powiadam, różne monstrua widziałem, ale takich, jacy tu onegdaj świeżym transportem przybyli, — takich jeszcze nie widziałem. I to — to nie wiem jak nazwać, — to chamstwo między nas jest zaliczone? Zali was krew nie zaleje? bo mnie już zalewa". — Tu pociągnął p. Zagłoba haust potężny, i tak ciągnął dalej: „Furda tam ich wygląd. Furda, powiadam, bo nie każdemu taka fizys dana jest jako mnie, i nie każdego persona musi być taka jak Rochowa. Furda to, furda wszystko. Ale to, że oni do rycerstwa polskiego chcą się zaliczać, do onej nacji, z której my się wywodzimy". Tu p. Zagłoba gruchnął się potężnie w piersi, aż sklepienie niebieskie echem oddało, wydął policzki i surowym wzrokiem wokół toczyć zaczął, — „tego wyrozumieć nie mogę i tu kładę swoje veto. I jakem Zagłoba, nigdy nie pozwolę. Waćpanowie! Veto powiadam, a kiep ten, co tak samo nie powie!" Rycerstwo zaczęło kiwać głowami i sapać. A od tego sapania zbroice zaczęły chrzęścić złowrogo. A Zagłoba wpadał w zapał, wpadał w oburzenie. „Waćpanowie", — krzyczał — „natożeśmy zasłużyli? Za naszą pracę taki nas dyshonor spotyka? Veto!" A bas jego rozlegał się jak grzmot po sklepieniu niebieskiem. Zagłoba spojrzał i uczuł się zwycięzcą. — Wtem nagle staje przed nim p. Muszalski, ten co Dydiuka z prostego stanu tak pokochał i w te odezwał się słowa: „Hola, mości panie Zagłoba! My wszyscy się tutaj cenimy. Mnie także to sposponowanie naszej nacji spokoju nie dało. Kalkulowałem i nic wykalkulować nie mogłem. Wtenczas udałem się personaliter do św. Piotra z pokorną prośbą o wyjaśnienie. A św. Piotr aż się kluczem na mnie z wielkiej alteracji zamachnął. „To ty, niecnoto, to ty, poganinie, — powiada — jakieś nacje wymyślać będziesz? A wieszże, ty hultaju, że ja jednego tego rycerzyka nie oddałbym za was dziesięciu osiłków?" Na takie dictum pochyliłem czoło i zacząłem kornie św. Piotra przepraszać, tłumacząc mu, iż nic zgoła nie wiedziałem o ich szlachetności. Udobruchał się starowina i powiada: „Wiedz, iż mali oni ciałem, ale wielcy duchem. Wiedz waćpan — powiada — tam na ziemi teraz wielka wojna, a oni ci malutcy, za Polskę po rycersku walczą i giną. Krew za tę waszą Ojczyznę przelewają. Azali nie godni są waszego towarzystwa? oni są męczennikami za wolność tej ojczyzny, której wyście tylko od napaści wroga bronili. Zali nie są was godni ci malutcy? Hę?"

Cóż miał odrzec p. Zagłoba? — Zerwał się, jako sprężyną podrzucony i krzyknął: „Jako żywo! nie może być. Oni rycerzami? nie, nigdy! — Muszalskiemu krew zabarwiła lica, oko ponuro za-

płonęło: „Waćpan mi kłam zadajesz?" Zanosiło się na burdę. Zagłoba zaczerwieniony, mrugał jedynem zdrowem okiem, zas Muszalski szarpał potężnego wąsa i zgrzytał zębami. Obaj patrzyli groźnie na siebie. Zagłoba, czując za plecyma Michała i Rocha, coraz więcej animuszu nabierał. Chwycił się pod boki i już miał plunąć jakiemś obelżywem słowem — gdy nagle, jakiś silny, przejmujący śpiew rozległ się na sali. Coś potężnego miał w sobie, bo zdumieni Rycerze wyciągając szyję, spoglądali w stronę, skąd śpiew dochodził. Tam w kącie stała grupka tych malutkich, tych, jak się Zagłoba wyrażał „karłów rycerstwa polskiego", a pieśń jakaś dziwnie uroczysta, a smutna, a silna, pieśń co nerwami szarpie i ból sprawia i moc jakąś wlewa, pieśń co twarze rumieni — płynęła spokojnie po sali. I cisza się zrobiła na sali, tylko pieśń dzwoniła potężna, hucząca.



A karłowaci rycerze jakby urośli pod wpływem tej pieśni, jakaś potęga i moc biły od nich. I tacy byli piękni, że rycerstwo ze zdumieniem na nich spoglądało. A pieśń dzwoniła o uszy, odbijała się od ścian i znów do uszu wracała i ryła się tam gdzieś głęboko i przygniatała powagą i porywała smutkiem, ta cudna pieśń, ta „Rota" polskiej duszy.

... Aż nagle urwała się. I jeszcze echo powtórzyło kilka ostatnich tonów... i cisza. Wszyscy stoją jak wryci. Śpiewacy zasłuchani w przebrzmiałą melodję, słuchacze — do głębi wzruszeni prostotą słów, i ich siłą.

A gdzieś w głębi dusz, jakaś siła tajemnicza, a potężna, co pierś rozpierała, co krew do szybszego obiegu pobudzała, — ta siła, jak echo powtarzała słowa pieśni: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród".

Ta siła — tam — gdzieś w głębi duszy wołała potężnie:

„Tak nam dopomóż Bóg!"

I budziła w duszy jakieś przygasłe płomienie, uczucie wspierało, falą swą zalewało, aż... wybuchło.

Mali, bładzi znaleźli się w objęciach żelaznych Rycerzy. I jednym i drugim brakło ze wzruszenia głosu. Tylko p. Zagłoba huczał basem, a ukradkiem łzy ocierał, a ciskał się między rycerstwem, aby się dostać do tych śpiewaków i uściskać ich — tych, których przed chwilą za niegodnych swej uwagi uważał. Powoli, powoli, wzruszenie mijało, spokój wracał. Rycerze porozbierali między siebie śpiewaków i zapanowała ogólna harmonja. I znów rozległ się wesoły gwar przy stołach, pytania, odpowiedzi, okrzyki. P. Zagłoba porwał jednego ze śpiewaków, posadził go sobie na kolanach i co najsmaczniejsze kąski mu przysuwał. I nietylko p. Zagłoba — bo całe rycerstwo ubiegało się o to. Wszyscy chcieli być pierwszymi, wszyscy lepszymi.

— Widzicie waćpanowie — odezwał się Zagłoba — jak ciężko bylibyście skrzywdzili tych basałyków kochanych. A mówiłem: rozpatrzeć sprawę dobrze, bo im dobrze z oczu patrzy.

— Jakto, — przerwał p. Muszalski — przecież waćpan mówił...

— Mówiłem, tak jest, mówiłem, że są za młodzi, bo przecież młodsi są ode mnie. I waćpan mógłbyś być moim synem.

— Ale przecież, — zaczął p. Muszalski.

... — I jako młodszy — ciągnął nieprzerwanie p. Zagłoba, — powinieneś znać mores przed starszymi, nigdy im nie przerywać, a broń Boże, przeczyć.

Skonfundowany p. Muszalski usiadł, a Rycerzom zaczęły już policzki drgać z tajonego śmiechu. P. Zagłoba, nie chcąc dopuścić do żadnej dyskusji na ten temat, zaczął wypytywać małego śpiewaka o nazwisko, o rodzinę, o to co się tam na ziemi, co w Rzeczypospolitej się działo i dzieje.

I zaczęło się długie, przerywane wykrzykami Rycerzy, opowiadanie. Rycerze zasłuchali się w dzieje tej Matki rodzinnej, tej Polski ojczystej, za którą tam kiedyś krew przelewali. I łzy bólu i gniewu wyciskały im opowiadania o Sybirze, o wywłaszczeniu, o Chełmszczyźnie. I przed ich oczyma rozwinął się krwawy obraz zawieruchy, jaka teraz tam na ziemi panuje. Obraz nędzy i rozpaczy miljonów. Straszny i krwawy obraz wojny, jakiej dzieje świata nie notują. Obraz walki narodów, gdzie olbrzym zmaga się z olbrzymem, gdzie jedno stąpnięcie stopy tego olbrzyma obraca w perzynę miasta i sioła i tysiące ludzi unieszczęśliwia. A ziemia, o którą im najbardziej chodzi, ziemia, którą ongiś piersiami swemi zasłaniali, ta ziemia, przez którą tyle już burz przeszło, gdzie zda się, każda grudka ziemi krwią nasiąkła, ta ziemia jest terenem tej wojny — jest areną tych zapasów. To też znów krwią spłynęła i spływa, znów ostatnie siły żywotne wysłała w bój krwawy, w bój beznadziejny. A jednak tyle wieków niewoli — całe morze krwi i mąk najstraszniejszych, cały wysiłek potężnych wrogów, pastwienie się nad niewolnemi — wszystkie Sibiry i cytadele, najstrasz-

niejsze tortury i więzienia — ginąca młodzież, tyle razy w proch zdeptane, krwią serdeczną okupione marzenia o wolności, nie zdołały złamać, nietylko złamać, ale nawet ugiąć duszy tego narodu. I dziś znów krew z ran im płynie, znów życiem płacą haracz wolności — zda się nie podołają temu nadludzkiemu wysiłkowi — a jednak z mocą śpiewają: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród — nie damy pogrześć mowy!”

...Opowiadanie dobiegło końca. Twarze Rycerzy stężały w jakimś smutku Bo i jakże nie smucić się, gdy się słyszy, że ta kochana ziemia znów we krwi, znów we łzach.

Zagłoba, który najbardziej w myślach pogrążon był, zerwał się nagle i rzekł: „Waćpanowie, mam myśl, mam wielką myśl”. Rycerze, jak ze snu zbudzeni — włupili duże, zdziwione oczy w Zagłobę. A on mówił: „Kiedy człek słyszy o tych różnych utrapieniach, które na naszą „Mater Poloniae” spadają, to się we mnie o mało wnętrzności nie poskręcają. Ale nie myślcie, żeby to było z jakiejś żołądka niedyspozycji. Nie. Krew mnie chce zalać — z żalu. Jakiś mędrzec grecki, zda mi się, że Holofernes — powiedział: „Jeżeli ci rzecz jakaś, smutek, albo ból czyni — wyrzuć ją”. Otóż wracając ad rem, chcę i ja wyrzucić rzecz, która smutek i ból nam sprawia. Dlatego wznoszę okrzyk: „Precz z wojną!” Jednak sami waćpanowie uważacie, że nie dość krzyknąć, trzeba uczynić. Ale jak? — Musimy się udać do Tego, który to uczynić zdolen jest. Wiecie wszyscy, kto nim jest. Tym Wielkim, tym Wszechmocnym jest Bóg. Waćpanowie! do Boga, do Pana naszego, do Ojca naszego udajmy się z pokorną prośbą o zmiłowanie nad tą biedną matką naszą”.

Wrzask się wielki uczynił między Rycerstwem. Jedni krzyczeli: „Niech żyje nasz Ulisses!” Inni z podziwem kiwali głowami, a jeszcze inni chcieli wraz iść. Zagłoba zaś stał jako paw między wróblami, a jedyne zdrowe oko błyszczało mu zadowoleniem.

I poszli... a gdy stanęli przed obliczem Pana, cała ich sprawa nabrała w ich oczach niepozornego znaczenia. Majestat Boski, Najświętsza Powaga — onieśmieliła ich. Poklękali wszyscy w pokorze i nie śmieli wzroku w niebo podnieść na Boga. A Bóg, Ojciec Dobrotliwy, — uśmiechał się.

Rycerze trącali najwymowniejszego p. Zagłobę, ale i jego wymowa znikła gdzieś.

Wreszcie ośmielił się i rzekł: „Panie Wszechmocny, Ojcze nasz Sprawiedliwy! My rycerstwo polskie, kornie się przed Tobą chylimy i prosimy Cię — jeśli się to Twoim wyrokom, Panie, nie sprzeciwia — racz uczynić pokój, Panie nasz Wszechmocny! Tam na ziemi znów krew za Polskę przelewają i ręce do Ciebie wyciągając wołają: „Boże, uczyń Polskę i pokój”.

Uśmiechnął się na to Ojciec Dobrotliwy i wyrzekł jedno słowo: „Dobrze”. A rycerze w niemej podzięce pochylili czoła. I twarze im się zarumieniły radością i szczęściem. I gdyby nie Boska Powaga i Boska Świętość, możeby zaraz na miejscu dali folgę swemu uczuciu. Ale zato gdy się znaleźli w swej sali — uściskom i okrzykom nie było końca, a najwięcej dokazywał p. Zagłoba, szczycząc się tem, że wyjednał pokój. I dzień ten byłby jednym z najszczęśliwszych dni jego — gdyby nie jedna drobnostka. Oto p. Zagłoba, chociaż tyle wieków jest w niebie, nie może się całkowicie pogodzić z niebieskim nektarem i z lubością wspomina zwykły ziemski miód, a zarazem i z żalem, że ten specjał utracił na zawsze. To też oko jego pokrywa się czasem mgłą smutku — o jak np. teraz — i jakoś tęskno patrzy na dno kielicha.



A tymczasem na ziemi stało się słowo Pana. Anioł pokoju roztoczył swoje opiekuńcze skrzydła nad ludzkim padołem. I wnet słońce jakoś jaśniej i weselej zaświeciło i jakaś błoga cisza rozlała się w powietrzu. I strwożony wieśniak wychodził ze swej kryjówki i z uśmiechem spoglądał na świat Boży. I strudzeni żołnierze odpoczywali w cieniu drzew i ptaszki jakoś radośniej śpiewały, bo śpiewu ich nie głuszył grzmot armat, bo nie straszył ich świst kul. I dobrze było i błogo. Natura i ludzie swą radością dziękowali Panu.

A w wielkiem mieście był wielki Kongres. I byli tam przedstawiciele wszystkich narodów i wszystkich państw. Układano warunki pokoju. Łyse głowy Bismarków i Metternichów pochyliły się nad mapą i studjowały ją zawzięcie.

W niebie radość niemniejsza. Malutcy Rycerzykowie-śpiewacy, płakali i całowali ręce p. Zagłoby — a on niby z gniewem się opierał, a łzy równocześnie miał w oczach. Nagle myśl jakaś widocznie go tknęła, bo zerwał się i pobiegł — do św. Piotra.

Tu zaczął prosić, aby mu tenże, choć przez szparę od wrót niebieskich, pozwolił popatrzyć się na pokój na ziemi. Stary lis. Znał dobrze naturę ludzką i chciał sam przypilnować pokoju. Św. Piotr z początku wzdragał się, ale ponieważ czuł z dawien dawna jakąś słabość do Zagłoby, — przyzwolił.

Zagłoba przytknął zdrowe oko do szpary i co zobaczył? Zobaczył kongres, łyse głowy dygnitarzy i mapę, na której właśnie czerwonym ołówkiem oznaczano granice Polski. I zobaczył, że czerwony ołówek jakoś dziwnie niepewnie jeździ po papierze, jakoś błądzi, zbacza z właściwej drogi i z jakąś zaciętością dąży ku środkowi Polski. Zagłoba zatrząsł się ze strasznego gniewu, niepomny, że głos jego nie doleci, zawołał: „Ha skurczybucie, szwabski poganinie! To u ciebie granice Polski pod Warszawą?" Ręka łysego ministra drgnęła jakoś nerwowo i z jakiemś bojaźliwem posłuszeństwem zakreśliła właściwe granice Polski.

Zadowolony p. Zagłoba udał się na salę do Rycerzy, aby dalej z nimi używać wiecznej szczęśliwości.

J. Wąsik



„Tysiącem słów nie uczynisz tyle, co jednym czynem".
Ibsen

„Dwoje uszu ma człowiek, lecz tylko jedne usta, — znaczy to, iż trzeba więcej słuchać niż mówić".

„Dar wymowy cenią ludzie wysoko, ale jeszcze więcej dar słuchania".

„Nie zawsze trzeba mówić, co się wie, ale zawsze trzeba wiedzieć, co się mówi".
Św. Teresa



Z pamiętnika

(Opowiadanie starego Kresowca)

Wilka i Litwina natura ciągnie do lasu... Jakkolwiek urodzony na Podolu wśród stepów, które całą duszą ukochałem, uganiając, skoro jesień nastanie, za szarakiem, za lisem, a częstokroć i za wilkami, krew litewska we mnie grać poczynała jak tylko pierwszy śnieg upadł i stężałe błoto nie pozwalało na wyjazd w pole z chartami, wtedy to taka nieprzeparta siła ciągnęła mnie ku borom litewskim, ku ostępom Polesia, rozciągającym się wśród nawpół zamarzniętych bagien, że żadne względy nie były w stanie mnie zatrzymać. Znikałem na czas jakiś w krainie puszcz i niedostępnych trzęsawisk, skąd wracałem bogaty we wrażenia i myśliwskie przygody, a częstokroć i w zwierza, najczęściej „przypadkiem“ napotkanego.

Miałem do wyboru szpilkowe lasy razciągające się na wielkiej przestrzeni w gubernji grodzieńskiej a należące do mego krewnego i wielkiego przyjaciela Stanisława Strawińskiego. — Dalej kilkadziesiąt tysięcy morgów w gubernji mińskiej własności Stanisława Horwatta, męża mej bratanicy, a następnie sławne knieje ś. p. Hieronima Kieniewicza, w majątkach Dereszewicze i Bryniew, na głębokiem Polesiu położonych. Ożeniony również z córką mego brata, ukochany przez wszystkich, którzy go znali, Rucio Kieniewicz, gościł w swym dworze tygodniami takich myśliwych jak Józef Weyssenhof i doktor Zaborowski, którzy za rozkosze myśliwskie, zdobyte trofea, wypłacali się prześlicznemi nowelami pełnemi humoru, werwy i poezji, wspomnieniami łowieckiemi.

Nie będąc ani autorem, ani „znakomitym myśliwym“, a tylko stryjaszkiem Pani domu, byłem podejmowany w gościnnym Bryniewie całemi miesiącami i stamtąd wyniosłem najpiękniejsze moje wrażenia i triumfy myśliwskie. Upolowałem niedźwiedzia, którego do mego przyjazdu, a więc przez parę tygodni, kilkudziesięciu leśników pilnowało w barłogu, broniąc dostępu do kniei, w której „Myś“ na zimę pod śniegiem się zagrzebał.

Poznałem tu sławnego „Moroza", który zniknąwszy w ostępie na parę godzin, wyprowadził na mnie olbrzymiego łosia, iście przedpotopowe zwierzę, które zrobiło na mnie tak wielkie wrażenie, żem przez chwilę wahał się strzelać, sądząc, iż popełniam zbrodnię. Dopiero pięść Moroza groźnie ku mnie wyciągnięta przypomniała mi przykry mój obowiązek. Gdy łoś runął, Moroz zbliżył się do mnie i splunąwszy, rzekł: „Panoczku! wam na piecu leżeć, a nie do łosiej strzelać". — Unikaliśmy się potem wzajemnie i tylko moja wysoka pozycja socjalna „Stryja Pani Leli" sprawiła, iż mi przy spotkaniu czapkował i nie spluwał.



Gdym przywiózł do domu moje litewskie, a raczej poleskie trofea: niedźwiedzia, łosia i kilka wilków, gdym je ustawił przed gankiem wśród gałęzi sosnowych, cała Bębnówka i wsie okoliczne zaczęły się schodzić tłumnie, na łosia zwłaszcza patrząc z przerażeniem, z niedźwiedziem bowiem już je cygan oswoił.

Wtedy się zdarzył wypadek, który mógł mieć fatalne następstwa. Krytemi saniami, czwórką rączych koni zajechał pod ganek najmilszy sąsiad o wiorst 30 i przyjaciel, dobrze znany w towarzystwie lwowskiem ś. p. Zygmunt Mniszek. Gdy konie lejcowe spostrzegły łosia i nad nim drapiącego się na gałęź niedźwiedzia, stanęły dęba, zawróciły na miejscu i jak szalone rzuciły się do ucieczki, pociągając za sobą dyszlowe i szczęściem rozłożyste niewywrotne sanie. Kilkanaście razy furman obleciał naokoło olbrzymiego dziedzińca, zanim zdołał opanować zziajane, trzęsące się ze strachu rumaki. Przepraszałem drogiego sąsiada, który ze znaną swą dobrocią i uprzejmością starał się wmówić we mnie, że najmilsze wspomnienie o przygodzie tej zachowa.

Ale odbiegłem od rzeczy, a porwany wspomnieniami zapomniałem o bielaku i o jego na Podolu przygodzie.

Lat temu dwadzieścia kilka, może trzydzieści, wybrałem się w styczniu do Nakryszek w gubernji grodzieńskiej. Towarzyszył mi nieodstępny wierny mój Pawełek, który od najmłodszych lat brał udział we wszystkich mych pieszych i konnych ekspedycjach w kraju.

i za granicą, a następnie synów mych do szkół do Libawy i Rygi odwoził i ze szkół na wakacje przywoził.

Zima na Litwie była bezśnieżna, mała więc była nadzieja, byśmy wałęsając się po puszczy jakiegokolwiek zwierza napotkać mogli. Chrzęst gałęzi pod nogami spłoszyłby go niewątpliwie. Ale za to czekała nas niespodzianka prawdziwie rozkoszna, której chyba zażywają mieszkańcy Kanady.

Jeziora i rzeczułki rozlane wśród puszczy silnie były zamarznięte, a czyste i lśniące jak tafle lustrzane. Przypięliśmy tedy łyżwy, które nam gospodarz kazał wziąć ze sobą dla przebywania rzeczek, i zarzuciwszy rusznice na plecy, poczęliśmy szybować pod zwisającemi nad brzegami jezior świerkami i jodłami. Nie potrafię opisać rozkoszy, jakiej doznawałem przelatując godzinami całemi wśród nieznanej mi puszczy, wpadając z jednego jeziora w drugie zapomocą łączących je rzeczułek lub sianożęci zalanych wodą i zamarzniętych. Częstokroć jarząbki zrywały się nad głowami, ale jam o strzelbie zapomniał zupełnie; lecieć, lecieć tak bez końca i miary, do utraty sił i przytomności. Szał przestrzeni i pędu opanował mnie.

Poczciwy Pawełek, który mnie na krok nie odstępował, opamiętał mnie wkońcu: „Panie, nie powrócimy przed nocą do domu. Państwo będą strasznie niespokojni, rozeszlą leśników po całej puszczy, ale myśmy na łyżwach ogromny szmat kraju przebyli. Nie znajdą nas. A tu podobno w nocy wilki stadami się włóczą". — Czem był nasz powrót, nie będę opisywał. Jak traperzy Alaski odnajdowaliśmy ślady naszych łyżew, pot nas zlewał obficie, zmrok już zaczynał zapadać, a myśmy lecieli i lecieli. Raptem gdy się już ściemniło na dobre poznaję zwartą firankę sosnowego lasu wysokopiennego, otaczającego dwór i sadybę nakruszecką. Odpinamy łyżwy, ostatnim wysiłkiem zbolałych nóg idziemy w kierunku, skąd dochodzą nas dalekie szczekania psów. Wtem trąca mnie Pawełek obdarzony iście sokolim wzrokiem i pokazuje mi jakieś zwierzątko białe jak śnieg, lecące wprost na nas „na sztych". Strzelam! Pawełek podnosi zająca białego t. zw. bielaka, o którego egzystencji w tych stronach nie byłem uprzedzony.

Wkraczam do dworu z triumfującą miną, lecz nieco markotno mi się robi widząc, iż niesiony przeze mnie „fenomen" nie wzbudza ani zapału ani podziwu. Kuchcik na ganku stojący twierdzi, iż „szarak" smaczniejszy.

Ledwie żywy rzucam się na łóżko, wtem przynoszą mi depeszę. Karolek Kosielski zaprasza mnie najserdeczniej, bym na trzeci dzień przybył na doroczne polowanie do Wońkowiec, na Podolu. Odmówić nie mogę. Kocham serdecznie Karolka kolegę moich synów, a wiem czem są polowania w Wońkowcach. Lasy świetnie utrzymane, naganka prowadzona znakomicie. Zwierzyny huk, a goście to kwiat ziemiaństwa podolskiego, — nie mówiąc o wybornej kuchni, o znakomitych

winach. Nadewszystko pociąga mnie sam gospodarz, którego znam od dziecka i szczerze pokochałem za jego wartość moralną, wesołość i dowcip, za jego szaloną odwagę.

Młodym chłopakiem będąc w Odesie dla dotrzymania słowa danego koledze wszedł do klatki lwa, pod okiem pogromcy, pogłaskał króla pustyni i wyszedł najspokojniej nie okazując wzruszenia. Potem w lat kilka czy kilkanaście polował w Afryce na lwy, nosorożce i dzikie bawoły, dając dowody nieustraszonej odwagi, — ale to w świecie myśliwskim stało się chlebem codziennym.

Gdym przed laty przebywał w Nicei do hotelu, w którym mieszkałem, przyniesiono Karolka Kosielskiego, który wprost z Afryki powracał nawpół żywy wskutek ukąszenia przez muchę tse-tse, czy też zarażenia żółtą febrą — już nie pamiętam. W żadnym hotelu go przyjąć nie chciano, gdyż wyglądał na konającego, do szpitala zaś dla chorób zakaźnych nie pozwolił się zanieść. Wkońcu Hotel Royal, w którym Karolek kilkakrotnie przemieszkiwał, zlitował się nad nim. Został przyjęty i doktor kolonjalny angielski w przeciągu paru miesięcy wyleczył go zupełnie. Takiego temperamentu, energji, radości życia, wesołości w tak słabym na pozór organiźmie w życiu nie spotkałem.

Na jego to zaproszenie z radością pośpieszyłem, wiedziałem bowiem, że będzie wesoło, gwarno, huczno i buńczuczno, a polowanie będzie prowadzone w największym porządku iście po galicyjsku. Z ówczesnej bowiem Galicji czerpaliśmy wzory myśliwskie, a już co Karolek rozkazał, musiało być ściśle wykonane.

W chwili wyjazdu na polowanie wołam Pawełka: „Gdzie mój bielak? — „Tu za oknem w torbie“. — „Nikt nie widział?” — „Nikt — ale J. Pan Kosielski czegoś mi palcem pogroził!“ — „Cóż ty na to?” — „A no nic! pocałowałem w rękę, a on mnie za ucho pokręcił”. — Oj, źle, myślę, ale niema co. Alea jacta est — „Bierz torbę z bielakiem, bierz drugą strzelbę i nie odstępuj ode mnie ani kroku“. — Przepuściłem kilka miotów przeważnie wysokopiennego rzadkiego lasu, a gdym się znalazł na stanowisku wśród gęstych zarośli podszytych oczeretem i łoziną skinąłem na Pawełka, wyjąłem bielaka z torby i z całej siły rzuciwszy go jak najdalej w gąszcz — wślad za nim strzeliłem. Niebawem nadchodzi naganka, powstaje krzyk, zamieszanie, wynoszą chłopcy „białego zająca“, wyrywając go sobie wzajemnie. „To ja joho najszoł! Brechnia! — Ja dawno za nym slidyw. — Win na mene a ja joho buczkom, to win jak pyrnuł ponad hołowoju taj na Paniw“...

Nadjeżdża leśniczy na tęgim bułanku, uspakaja energicznie wrzeszczących chłopaków, a dojrzawszy przyczynę zamętu, nie traci rezonu ani na chwilę, a pokręciwszy sumiastego wąsa, wznosi bielaka do góry i pali mu perorę: „Tuś mi hyclu jeden! Trzy dni za

tobą śledzę. W noc księżycową podszedłeś do chaty, przeżegnałem się tylko i nawet żonie nie powiedziałem. Ale potem w biały dzień na rozstajnych drogach. Powiedzieć Panu Karolowi, czy nie powiedzieć? Ej lepiej nie powiem. Jaśnie Pan taki wesoły jeszcze zbeszta, a wykpi to już na pewno".

Rzucam zasłonę na moich sąsiadów. Nie pamiętam kim oni byli, ale zdaje się, że obaj widzieli acz niewyraźnie hecającego ku mnie na sztych bielaka. — A kochany gospodarz bardzo dyskretnie, ale wciąż Pawełkowi palcem przy nosie groził.

Niema co, będę królem polowania, bo przecież bielaka na Podolu nikt jeszcze nie zabił.

Podano do stołu. Nakryto w podkowę, zastawa piękna; na bufetach pod ścianami rzędy poważnych lub wesołych butelek, kozacy w szerokich hajdawarach i pasach amarantowych lub żółych, zwijają sie gracko, kapela Herszka rżnie od ucha. Goście we frakach zasiadają do stołu.

Biesiadnicy przeważnie młodzi, kuchnia wyborna, wina wyśmienite. Pan domu niesłychanie gościnny i uprzejmy, nic przeto dziwnego, iż nastrój towarzystwa szczerze był wesoły i nieco podniecony. Przyczyniła się do tego niemało wyborna kapela Herszka, która równej sobie na kresach nie miała. Tak ją lubiła młodzież podolska, iż częstokroć do Kijowa i Odesy na śluby lub na bale ją sprowadzała. I nigdy nie powstydził się Herszko Płoskirowski wobec wielko-miastowych kapeli. A gdy do mazura stawali: Alfred Żurowski, ten ulubieniec Podola, dwaj bracia Stadniccy i sławny jeździec Tadeusz Dachowski, Herszko się przeistaczał, oczy jego iskrami sypały, cały zdawał się być w powietrzu. Jego żydkowie, jakby elektrycznością dotknięci, cudów dokazywali. Było co posłuchać, było na co popatrzeć. Dużo widziałem tańców, — dużo kapeli słuchałem włócząc się zamłodu po rozmaitych krańcach świata, ale ten mazur zaćmił wszystkie inne wspomnienia i do grobowej deski w pamięci mi pozostanie.

Ale wracajmy do naszej wesołej biesiady. Z pewnym niepokojem, no i zażenowaniem coraz częściej słyszałem dolatujące mnie słowa: „Bielak, — biały zając". Coraz więcej biesiadników widziało go przemykającego przez knieję przed zaczęciem naganki. Młody gospodarz przypatrywał mi się filuternie, jego oczy zdawały się mówić: „No jak z tego wybrniesz?" — Wtem pod oknami sali zagrzmiały trąby, kilkadziesiąt smolnych kagańców oświeciło dziedziniec i ujrzeliśmy wspaniały rozkład kunsztownie ustawiony, pośrodku którego na wysokiej żerdzi wyciągnięty jakby do skoku królował mój nieszczęsny bielak. „A bodajbyś nigdy poza puszcze litewskie nie wyjrzał"... Cofać się wszakże było za późno, porwałem kielich szampańskiego i gdy ucichły trąby i rogi....

„Panowie! — rzekłem, drodzy przyjaciele i sąsiedzi! Pozwólcie, bym w kilku słowach Wam powtórzył wrażenia, jakich przed paru dniami doznawałem na Litwie. Błądziłem ze strzelbą nad brzegiem Switezi. Księżyc w pełni oświetlał olbrzymią taflę lustrzaną. Marzyłem o pięknym młodzianie, o cudnej dziewczynie. Wtem z głębi



lasu wypada i wprost na mnie leci biały zając, zjawisko mi nieznane. Zmierzam się do niego, a on prychnąwszy szyderczyn śmiechem, staje na zadnich skokach i rzuciwszy mi „do widzenia za parę dni na Podolu“, wskakuje do przerębli i ginie mi z oczu”.

Kochani biesiadnicy homerycznym śmiechem bajeczkę mą przyjęli. Nikt się nie obraził, Herszko zaś przyskoczywszy do kapeli

zaintonował wesoło, a za nim rozochoceni Żydkowie: „Nasz Pan Jodko dobry Pan i t. d". Bębny i basetle wtórowały ochoczo. Zrobiło się szumno i gwarno, a mój Pawełek we drzwiach stojący pokładał się od śmiechu.

Oj wesołoż bo było na tych naszych Kresach ukochanych! —

Nastały lata zamętu światowego, lata krwi i pożogi. Gdzieżeście, moi towarzysze mili, wśród których szczęśliwą młodość spędziłem? — Wielu z was padło od kuli i noża, wielu zginęło męczeńską śmiercią z rąk rozbestwionych od Północy przybywających bandytów. Szczęśliwi, którzy dopadli granic Polski i, chociaż z mienia wyzuci, salwowali życie. — Rozsiani po całym obszarze Rzeczypospolitej kresowcy nasi karku nie zgięli: wzięli się do pracy, cudzych kątów nie wycierają, pomocy nie żebrzą, a jeśli niektórzy znaleźli przytułek u zamożnych po tej stronie krewnych, pracą i pieczą nad mieniem starają się za gościnę odwdzięczyć. A wszyscy wiedzą, iż jeśli nie oni sami, to ich synowie lub wnukowie powrócą tam na rubieże i chociaż w odmiennych warunkach służyć będą Matce Ojczyźnie, osłaniając ją jak niegdyś od zalewu barbarzyńców.

Ja byłem szczęśliwszy od innych. W gościnnym Lwowie, który tylu naszych biedaków przytulił i ukoił, znalazłem dach nad głową i w wieku, w którym się niemal wszyscy chylą ku spoczynkowi, dostałem pracę świetną, niespodziewaną, w Ossolineum, tym kresowym przybytku nauki i wiedzy polskiej.

Przez dwa i pół lata pracowałem z miłością i zapałem i nigdy szczęśliwszym się nie czułem, jak kiedy w zielonym fartuchu i takichże rękawach, chroniących mnie od wiekowego pyłu, układałem na półkach tak cenne księgi Bibljoteki Moroczyńskiej. Te białe kruki, te wspaniałe aldy i elzewiry napełniały mnie rozkoszą. Zapomniałem o utraconych dobrach, o bezbrzeżnych stepach, o rumakach. A gdy mi powierzono Archiwum ks. ks. Lubomirskich z Borystanowa, nowem życiem żyć począłem. Korespondencja Księcia Konstantego z lat kilkudziesięciu w języku francuskim prowadzona, to skarbnica niewyczerpana dla hisroryka wojen napoleońskich. Wszystko to miałem w ręku, czytałem. Książę Konstanty, jenerał dywizji, adjutant Cesarza Aleksandra I. bierze udział czynny w bitwach i potyczkach, które opisuje w listach swych do żony (z domu hrabianki Tołstojówny), koresponduje z jenerałami Wittgenstejnem, Kutuzowym, Barclay de Tollym i innymi, cytuje rozkazy dzienne Murat'a, Ney'a i innych marszałków francuskich, a gdy po bitwie, w której po stronie francuskiej padło kilka tysięcy Polaków, obudziło się w nim poczucie gorącego patrjotyzmu, udał się do imperatora i błagał go o zwolnienie od szarży i zaszczytów. Cesarz aczkolwiek bardzo niechętnie pozwolił mu wojsko opuścić, rozkazując jednocześnie, by

jechał do Paryża, dokąd wkraczały armje aljanckie. — Listy Księcia z Paryża są również nieocenionym skarbem dla dziejopisa epoki napoleońskiej.

Gdy książę jenerał osiadł na wsi w Borystenowie, zaczęły się dla niego długoletnie trybulacje i walki, które z listów i dokumentów poznałem dokładnie. Z wielką odwagą i niespożytą energją bronił książę od prześladowania byłych unitów, w jego i okolicznych majątkach osiadłych. Nie szczędził on kosztów, zabiegów, uciążliwych podróży, narażał się satrapom, walczył z nimi zawzięcie, by uratować od prześladowania i zagłady włościan, którzy wiernymi ojców wierze pozostać pragnęli. I tak, człowiek niepospolitych zalet umysłu i serca, niedoceniany przez współczesnych, Moskalem przezwany, urósł w mych oczach, dzięki swym listom, do rzędu mężów niepospolitych, gorących patrjotów i katolików.

A jakież to jeszcze skarby powyżej wymienione archiwum zawiera. — Listy wojewody ks. Lubomirskiego do syna, w których poleca mu, by jechał do Cudnowa (na Wołyniu) oglądać i kupić kilkanaście bachmatów wraz z rzędami i kapami złotolitemi, które Turek przyprowadził. Toż cały poemat, wzór nieoceniony dla Brandtów i Kossaków, którzy go niestety nie znali.

A te wycinanki, wiersze i rysunki ze sztambucha księżnej Konstantowej Lubomirskiej. Pojawienie się uroczego Chevalier de St. Prieux, jego wiersze miłosne i tragiczna śmierć na polu bitwy, to są perły, któreby Wasilewski nanizał i stworzył z nich drogocenny klejnot.

Przy układaniu i segregowaniu archiwum szczęście mi prawdziwie sprzyjało. W roku kanonizacji Świętej Matki Barat odkrywam jej list do księżny Lubomirskiej pisany. Za zezwoleniem dyrektora Ossolineum tłumaczę na język polski, a kopję zanoszę Przewielebnej Matce de la Saussye, przełożonej „Sacré Coeur".

A ileż to jeszcze skarbów powyższe archiwum zawiera. Całe pliki dokumentów tyczących się ś. p. księdza biskupa Felińskiego. Ksiądz biskup Godlewski widział je w mej pracowni i miał prosić pana dyrektora, by mu pozwolonem było czerpać z tej skarbnicy dla opracowywanej przez niego monografji męczennika.

A te stronice wydarte z ksiąg rachunkowych rosyjskich, zawierające „Spis drogocennych pamiątek polskich w muzeach moskiewskich". — Pokochałem to wszystko, myślałem w naiwności mojej, że do końca życia już niedalekiego, wśród tych szpargałów pozostanę. Nie zapomnę radości, jakiej doznałem, gdy mi przyniesiono starą, wielką, pyłem zaprószoną kopertę, zawierającą całą plikę brudnych listów, kartek pożółkłych, pomiętych, prawie nieczytelnych. — Przez kilka dni wertowałem, dobierałem podobne pisma, konfrontowałem: daremnie. Raptem w samym rogu pomiętej, zabrukanej

ćwiartki papieru dopatruję słowa „Sire” drobniutkim szryftem niebieskim atramentem napisane. Z najwyższą uwagą zaczynam odczytywać i niebawem z ćwiartką papieru pędzę do kustosza p. Tyszkowskiego, zapytując, czy nie zna pisma, które mu przynoszę. — „To jest pismo Króla Stanisława Augusta“. — Domyślałem się, ale nie śmiałem wierzyć swojemu szczęściu. — Była to korespondencja księżny Lubomirskiej z królem Stanisławem Augustem, podówczas w Grodnie się znajdującym.

Gdy mi powierzono uporządkowanie korespondencji ś. p. dyrektora Kętrzyńskiego, podziwiałem uprzejmość i pracowitość dyrektora, który swem mikroskopijnem pismem na odwrotnej stronie kopje swych odpowiedzi umieszczał. Setki Niemców molestowały go, by im wyszukał dowody przynależności ich do polskich rodów. Czytałem listy z pola wojny w 1870 i 1915 roku pisane, w których oficerowie różnych rang prosili i obligowali dyrektora Kętrzyńskiego, by im rodowody wyszukał i przesłał. Na wszystkie te listy i nagabywania pan dyrektor najakuratniej odpowiadał.

Muszę się tu przyznać do pewnej złośliwości. Gdy mi powierzono pisanie listów w języku francuskim do akademji, bibljotek, uniwersytetów zagranicznych, używałem wyrażeń grzecznych ale ciętych, gdy chodziło o reklamacje u Instytutów sowieckich, nie wypełniających swych zobowiązań.

Rozstanie się z Ossolineum było dla mnie ciosem równającym się prawie z utratą majątku, z opuszczeniem rodzinnych stron. Ciosem tem boleśniejszym, iż był najzupełniej niespodziewanym. Powracałem z Truskawca, gdziem z uszczerbkiem dla kuracji nieodzownej po ciężkiej chorobie, dokańczał tłumaczenia na jezyk francuski przepięknej Jubileuszowej Księgi profesora Adama Fischera. Polecono mi, by tłumaczenie było gotowe na 24 czerwca. Dnia 23-go wysłałem je „express” poleconym listem. W kilka dni potem wracam do Lwowa szczęśliwy, prawie zdrów, pełen zapału do pracy. Zastaję na biurku list z Ossolineum, w którym mi piszą, iż ze względów oszczędnościowych od 1 sierpnia przestaję być pracownikiem Zakładu. — „Ze względów oszczędnościowych!” — Mój Boże, jabym darmo służył! Dyrekcja wie o tem. Przecież całą zimę, nie mogąc chodzić, wynajmowałem dorożkę, co mnie drożej kosztowało, niż ta moja pensja. — A więc starcza nieudolność! — A ja rwałem się do pracy, sądziłem, że jeszcze rok, dwa potrafię być pożytecznym.

Przyznaję, iż taka raptowna, niczem nieusprawiedliwiona decyzja, do której nie byłem przygotowany, wywarła na mnie wrażenie deprymujące. Serce mi biło gwałtownie, w oczach mi się ściemniło, stałem bezradny nie mogąc kroku postąpić. I kto mi wymierzył ten cios! Ossolineum, które ubóstwiałem, dla którego pragnąłem ostatnie lata poświęcić! Ale rogata dusza kresowca nie dała się

i tym razem. Przebolałem, otrząsnąłem się i chwyciwszy pióro do ręki, bajki dla was piszę.

Może, drodzy czytelnicy, jeśli jeszcze który pozostał, zechcą mnie zapytać, co się stało z bohaterami mego opowiadania o „Bielaku na Podolu".

Karolka Kosielskiego odwiedzałem jeszcze dwa razy.

Gdyśmy z własnego dworu zostali niemal wyparci przez wojska rosyjskie, następujące na Austrję i Niemcy, gdy sztaby świetnych pułków gwardji, ismaiłowcy, siemionowscy, preobrażeńcy, pawłowscy, kozacy cesarza i cesarzowej, dzika dywizja i t. d. i t. d. jedne po drugich, a częstokroć jednocześnie zaczęły nas nawiedzać zajmując dwór, oficyny, kuchnie, stajnie i wszelkie ubikacje, życie stawało się nad wyraz uciążliwe. Do ostatniej chwili przyjmowaliśmy generalicję w naszym salonie, zapraszaliśmy do naszego stołu, by nie dać się wyrugować; ale co miesiąca na kilka dni dla wypoczynku wyjeżdżaliśmy do Płoskirowa. Stąd ostatnią parą jukierów, ostatnim wózkiem węgierskim, po okropnej przemarszem taborów rozbitej drodze, przebywałem 60 wiorst dzielących mnie od Wońkowiec. Słyszałem iż Karolek obłożnie chory, pragnąłem go odwiedzić przed śmiercią, bo go serdecznie kochałem. Uprzedzony był o mojem przybyciu, ale mnie wieczorem nie przyjął. Cierpiał podobno szalenie. — Ku wielkiemu memu zdziwieniu pokoje gościnne zastałem w największym porządku, kolację wyborną na stole, ani śladu postojów wojskowych, które cały kraj dokoła do góry nogami przewróciły. — Nazajutrz rano wchodzi do mego pokoju Karolek, blady, wycieńczony, oczy zdradzają gorączkę, ale humor wyborny, wesołość, koncepta, ten sam najmilszy młodzian, któregośmy tak wszyscy kochali i cenili. — Opowiada mi, iż Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz, naczelny wódz armji, którego gościł przez parę dni, rozesłał rozkazy do wszystkich sztabów, by dwór wońkowieckich omijały, by nikt nie śmiał niepokoić chorego gospodarza. Po śniadaniu zachodzą pod ganek pyszne amerykańskie rysaki, obwozi mnie Karolek własnoręcznie po folwarkach, które zastałem w stanie kwitnącym. Wszędzie ład i porządek, ani śladu rozprzężenia.

Po wieczornym obiedzie pożegnał mnie Karolek, ofiarowawszy mi uprzednio prześliczną „kurbaszę" (szpicrutę), którą sam własnoręcznie wykroił na moją intencję ze skóry zabitego przez siebie nosorożca, a w Wiedniu kazał wygładzić i złotym monogramem opatrzyć.

Jeszcze raz odwiedzałem wielce mi drogiego młodego przyjaciela, ale anioł śmierci roztaczał nad nim swe skrzydła. Uściskaliśmy się serdecznie, wiedząc, iż to jest ostatnie nasze na tym świecie spotkanie.

Mój wierny Pawełek, który mi przez lat trzydzieści służył bez przerwy, towarzysząc mi w podróżach, ekspedycjach konnych lub

pieszych, następnie chłopców moich do szkół odwoził, osiadł na roli w sąsiedniej wsi, gdzie 50 morgów pola nabył z oszczędności u mnie stale przechowywanych. Gospodarował świetnie, ale chłopi sąsiedzi nie mogli mu darować, iż szlachcic herbowy Kamieński żyje ich życiem, sam za pługiem chodzi, a liczna jego rodzina we wszystkiem mu pomaga, wykluczając prawie potrzebę najmu. Gdy wybuchła wojna światowa cała nasza okolica porżnięta została okopami, opleciona drutami kolczastemi, wśród których nieustanne bitwy staczano.

Gmina wsi Żerebek, uszczęśliwiona iż za jednym zamachem pozbędzie się przykrego obowiązku i zemści się na znienawidzonym intruzie, rozkazała Pawełkowi, by trupy pozostałe w okopach i wśród drutów kolczastych zwoził na cmentarz. Przewiózł ich Pawełek sporo, niektóre w stanie rozkładu. Dzieci jego mu dzielnie pomagały. Nie było się przed kim pożalić, bo gmina, a raczej Wiejski Komitet stawał się wszechwładnym. — Biedny mój kochany Pawełek nikł w oczach z dniem każdym. Gdy mi dano znać, że już z łóżka nie wstaje, pojechałem go pożegnać. Otoczony liczną rodziną, spokojne, a takie piękne, swe oczy wznosił ku Bogu. Ucieszył się wielce moim przyjazdem. Nie skarżył się a tylko chwyciwszy mą rękę, do ust ją przycisnął i gasnącym już głosem wyszeptał: „Mnie Pana żal“.

Odprowadziłem niebawem na miejsce wiecznego spoczynku najwierniejszego ze sług, najpoczciwszego z ludzi, jakich w życiu spotkałem.

Nie długo Herszko kapelmistrz przygrywał bolszewikom. Bóg się nad nim ulitował — dostał pomieszania zmysłów i niebawem życie zakończył.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

P. S. — Wielka pociecha i zadośćuczynienie miłości własnej spotkały mnie przed kilku dniami. Książę Kurator Zakładu im. Ossolińskich, odwiedziwszy mnie w mym domku, namawiał bym powrócił do pracy, zapewniając, iż w zredukowaniu mnie nie brał żadnego udziału.

Na tem miejscu składam Ci, książę, moje serdeczne podziękowanie. Ukochałem Ossolineum całą duszą. Wyrazić nie potrafię ile Mu chwil szczęśliwych zawdzięczam. Ale powrócić nie mogę. Za późno!!!

Jan Narkiewicz Jodko

„Nic tak się nie mści bezwzględnie, jak to, co trzeba było zrobić, a czego się nie zrobiło“.

H. Sienkiewicz

PRACUJ I OSZCZĘDZAJ

OSZCZĘDNOŚĆ pojmowana w szerokiem znaczeniu winna polegać nie tylko na odkładaniu przez jednostkę dochodów dla zapewnienia sobie przyszłej konsumcji, ale i na kumulowaniu drobnych wkładów w wielkie kapitały inwestycyjne, które mają tę zaletę, że pochodząc z kapitalizacji rodzimej, uniezależniają życie gospodarcze kraju od kapitałów zagranicznych.

Inteligencja, oraz bardziej uświadomieni mieszkańcy miast zrozumieli już własny interes w lokowaniu oszczędności w dużych instytucjach, które zdobyły sobie powszechne zaufanie i dają składającym całkowitą pewność i bezpieczeństwo powierzonym wkładom. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa ze wsią.

Około 100 miljonów dolarów leży w Polsce bezużytecznie w pończochach, schowkach i skrytkach, nie przynosząc ani właścicielom, ani społeczeństwu żadnej korzyści.

To też każdy uspołeczniony obywatel państwa powinien intensywnie uświadamiać otoczenie o szkodliwości tezauryzacji kapitałów i o korzyściach, które daje oszczędzającemu odpowiednio wielka instytucja oszczędnościowa.

W Polsce posiadamy specjalnie powołane dla deponowania oszczędności instytucje, na czele których stoi

największa zbiornica — P. K. O., słusznie zwana Skarbnicą Narodu Polskiego.

Przyjmuje ona, jak wiadomo, wkłady i wypłaca oszczędności za pośrednictwem każdego Urzędu Pocztowego, dociera więc do najdalszych zakątków kraju, a świetna jej organizacja techniczna, która niejednokrotnie służy za przykład dla zagranicznych instytucyj o podobnym charakterze, umożliwia składanie oszczędności zwykłych, w złotych w złocie i emigracyjnych.

Biorąc to wszystko pod uwagę, przyjmijmy za zasadę, że pieniądze narażone na niebezpieczeństwo w domu, należy składać na książeczkę oszczędnościową.

Gdy wszyscy to zrozumieją, nie będzie u nas biednych starców i żebraków, gdyż każdy będzie miał spokojną i zapewnioną przyszłość.

Naród, w którym oszczędzanie stało się przyzwyczajeniem każdego obywatela, buduje swe gospodarstwo na najtrwalszym fundamencie.

I. Mościcki

*

Każdy Urząd Pocztowy w Polsce wypłaca pieniądze złożone na książeczkę oszczędnościową P. K. O. bez względu na miejsce wystawienia książeczki względnie wpłaconych sum.

*

P. K. O. zapewnia swoim klientom bezwzględną tajemnicę wkładów.

*

Najlepszym podarkiem świątecznym i noworocznym jest książeczka oszczędnościowa P. K. O.

*

Rozumnie pojęta oszczędność polega nietylko na przezornem wydatkowaniu swoich dochodów, ale i na rozumnem lokowaniu pozostałej nadwyżki.

*

Naród, nie umiejący pr cować i oszczędzać, zginąć musi z powierzchni ziemi.

*

Naród oszczędzający współzawodniczy z powodzeniem z innymi narodami i posuwa się naprzód, podczas gdy nieoszczędzający upada i zwolna ale nieubłaganie traci grunt pod nogami.

*



Dwa rody podolskie

Cała ziemia Podolska, jaką była kraina niegdyś szeroka i daleka, aż po morze Czarne sięgająca, a zawsze i po dziś dzień prawdziwie mlekiem i miodem płynąca, związana jest w dziejach i w podaniach mnogich głównie z dwoma nazwiskami bohaterów, a mianowicie Buczackimi i Jazłowieckimi. Gdyby nie ta skłonność szkodliwa, która łaknie rozgłosu większego dla zła jak dla dobra, pewnieby Podole słynęło najgłośniej czynami niepoliczonymi wojewodów, kasztelanów, starostów i biskupów, zdobiących domy Buczackich i Jazłowieckich a tak zasłużonych dla Polski. Lecz niestety! nowoczesność dawno u nas nakazuje pokoleniom zaznajomienie się z czynami Ramzesa lub Hanibala, ażeby młodzież polska wchodziła w życie tylko z nauką powszechną, przy zaniedbaniu związku z ziemią ojczystą. W czasach ostatnich rozwielmożniło się w kraju naszym dążenie stanowcze do obniżenia wszelakich wysokości, do wyszydzenia przeszłości, do oczernienia przodków i ich postępowania. Niema wątpliwości, że pochodzi to wszystko z widzenia tylko cieni i to najgorszych, ażeby nikt świateł nie dojrzał.

Jeżeli chodzi o kresy wschodnie, pod względem ważności ich dla Polski, to byłoby to niesprawiedliwością rażącą, gdybyśmy nie uwydatnili ani ofiar, ani poświęceń Buczackich i Jazłowieckich przy obronie nietylko Ojczyzny, ale i Europy przed nawałą wschodnią. Można śmiało powiedzieć, że od czasów niepamiętnych Buczacz i Jazłowiec odgrywały rolę strażnic wielkich, skąd wychodziły zastępy gotowe na śmierć z miłości do Polski. Ziemia cała od Dniestru aż po stepy Budziackie zroszona krwią polską — i zasiana kościami najwierniejszych synów Polski, którzy

spełniali w służbie wojennej obowiązki strzeżenia granic dla zabezpieczenia Europy całej. Tatarzy byliby dotarli aż zachodu wielkiego, gdyby nie przedmurze to, na czele którego stali nieustannie bojownicy z rodu Buczackich i Jazłowieckich. Posłuszni byli oni królowi polskiemu zawsze i wszędzie, wszak był starosta Buczacki z chorągwią swoją podolską, i pod Dąbrówną (czyli z niemiecka Grünwaldem). Wiemy, że Lwów, jako stolica Podola, chował z żalem wielkim Michała Buczackiego, o czem Długosz wspomina. Dziejopisarz ten wystawia stałość bohaterską i odwagę niezachwianą w chwili najstraszniejszej śmierci Bartłomieja Buczackiego... „aby cnota wiekopomnie w uściech ludzkich słynęła i dla drugich stała się przykładem zachęcającym". Mieli ci Buczaccy przy katedrze lwowskiej kaplicę swoją, własną, która zasianą była pomnikami śpiżowymi i alabastrowymi, głoszącymi czyny dobre a piękne tak Buczackich, jako i Jazłowieckich. Nie umiano uszanować tej spuścizny i poburzono wszystko i w proch rozsypano, mieląc okruchy alabastrowe pod „stiuk" barokowy wieku XVIII. Zgroza! jak w Polsce nieszczęśliwej ustępuje zawsze polskość, ażeby popadła w zapomnienie i pogardę.

Gdzież obrazy cnót staropolskich i gdzie te przykłady a wzory zachęcające?... Nie stało się, jak chciał Długosz, ponieważ u nas panuje gorączka tępienia swojszczyzny kosztem naleciałości, coraz bardziej nas wynarodawiających...

Poginęły pomniki i grobowce Buczackich i Jazłowieckich gwoli zatarcia śladów dla celu takiego, iżby dzisiaj myśl wroga mogła łatwiej w świat wmówić, że Polaków nie było na Podolu. Jakże mógłby cudzoziemiec w to uwierzyć, iż krew polska i życie polskie stanowiły obronę Podola, skoro my sami nic o tem nie wiemy. Nauka urzędowa każe powtarzać, jakoby Poznań założyć mieli sami Rzymianie, Kraków Skandynawcy, Toruń Niemcy a Lwów Rusini, więc wynik byłby taki, że właściwie Polaków nigdy u nas nie było. Chcąc szukać prawdy należy u nas wszystko co nasze powyrzucać i wszystkiemu co macierzyste zaprzeczyć. Tak też się dzieje stale i przymusowo. Zatem herbu Skarbek (przezwanego później „Habdank") nie można wiązać ani z Buczackimi a Jazłowieckimi, gdyż to kłamstwo, co Długosz i Niesiecki piszą, jakoby znak ten rodowy pochodzić miał od Krakusa, zabijającego smoka Wawelskiego. A jednak nad bramą zamku w Jazłowcu są wykute w kamieniu dwa smoki, obok których widnieje godło Skarbek, wyobrażające linię krokiewkową w kształcie czcionki W. Zabytek ten pozwala na przypuszczenie, że rody Buczackich i Jazłowieckich, obydwa herbu Habdank czyli Skarbek, należą istotnie do najstarszych w Polsce, walczących wiernie ze smokami nieprzyjacielskimi, jakie pod postaciami rozmaitemi występują. Niesiecki na-

zywa smoka: B o a, którego uśmiercił szewc Skuba i pisze tak: „Ja z Długoszem trzymam, że ten klejnot dano S k u b i e”. Nauka atoli polska dzisiaj nie może się zdobyć na odwagę, iżby słowom Długosza lub innym rocznikarzom polskim dała wiarę i prawdę, więc dlatego trzeba wszystko przewracać do góry nogami i urągać nam samym, ponieważ musimy spełniać to, czego nas nauczyli wrogowie najzaciętsi.

Tak przeto nic już nie wiemy ani o Buczackich, ani o Jazłowieckich, jakkolwiek rody te obydwa położyły się do grobów we walkach dla dobra Polski i Europy. Niewdzięczność nasza tem gorsza, ileże przez niepamięć grzebiemy w nicości cnoty wiekopomne, uwiecznione nad bramą zamku dolnego w Buczaczu napisem:

„Sustine et abstine
Jan Zbożny Buczacki“.

Tarczę herbową, Skarbek, trzymają d w a l w y, dla podania nam nauki, jaką to siłą dzierżyć nam przekazano dziedzictwo stare.

Wbrew tym przykazaniom, co krok przypominającym nam dzielność l w a, nie bronimy własności naszej i pozwalamy, ażeby młodzież nasza cieszyła się królową kina amerykańskiego, a zgoła nic nie wiedziała o ofiarności i poświęceniu takich dwóch l w ó w, jakie pod nazwą Buczackich i Jazłowieckich przez wieki całe czuwały i walczyły.

„S u s t i n e e t a b s t i n e” było to zawołanie wskazujące ku górze, dla trzymania się tylko wyniosłości i wzniosłości. Posłuszni wołaniu temu przodkowie nasi, spełniali na prawdę p o s ł a n n i c t w o narodowe, aż legli wszyscy i zeszli z widowni dziejów. I właśnie dlatego, że obydwa rody podolskie znikły już aż do nazwiska, że nie umiano uszanować ani jednego nagrobka ich członków, że poznikały z dziejów ślady wszelkie ich wielkości, wreszcie, że zapomnienie nasze z pogardą wszystko pokryło tajemnicą grobową, właśnie dlatego staje się koniecznością dla nas, iżbyśmy postacie owe przywołali ze stuleci dawnych i okazali potomnym.

Dwa zamki przepotężne są świadkami widomymi ich życia i pracy: B u c z a c z i J a z ł o w i e c. Że do jednego należały one zawołania tak górnego, jak „S u s t i n e e t a b s t i n e”, dowodem najlepszym połączenie zamków obydwóch gankiem podziemnym, ciągnącym się w głębokości ziemi po pod jary od Buczacza aż do Jazłowca. Prawie wszystkie zamki w Polsce najstarsze znały tę sztukę podkopywania się, ażeby łączność między nimi istniała w rzeczywistości. Były d w a zamki w B u c z a c z u, musiały być dwa zamki w Jazłowcu, jak były dwa zamki we Lwowie, w Krakowie, w Kijowie, w Wilnie i t. d. Myśl to polska zakładania zamków p o d w ó j n i e, bo i kościół u nas bywał w i ę k s z y i ko-

ściół mniejszy, był chór większy i chór mniejszy, był hetman większy, koronny i hetman mniejszy, polny. Dwa zamki strzegły bogactwa grodu ponad Strypą, w którym głośne były płuczkarnie złota. Wspomina o nich Sarnicki. Nietylko to złoto z piasku rzecznego dobywane wzmagało dobrobyt, bo i żyto i pszenica rodziły się na Podolu jak w Egipcie.

A pamiętać się godzi, nam Polakom przedewszystkiem, iż były w Ojczyźnie naszej czasy błogosławione, kiedy złoto i zamożność



Jazłowiec — ruiny zamku

obracały się tylko na dobro i na sławę narodu. Stąd pochodzi mądrość szczytna, jaka do dziś dnia widnieje na średniku bramy zamku dolnego w Jazłowcu:

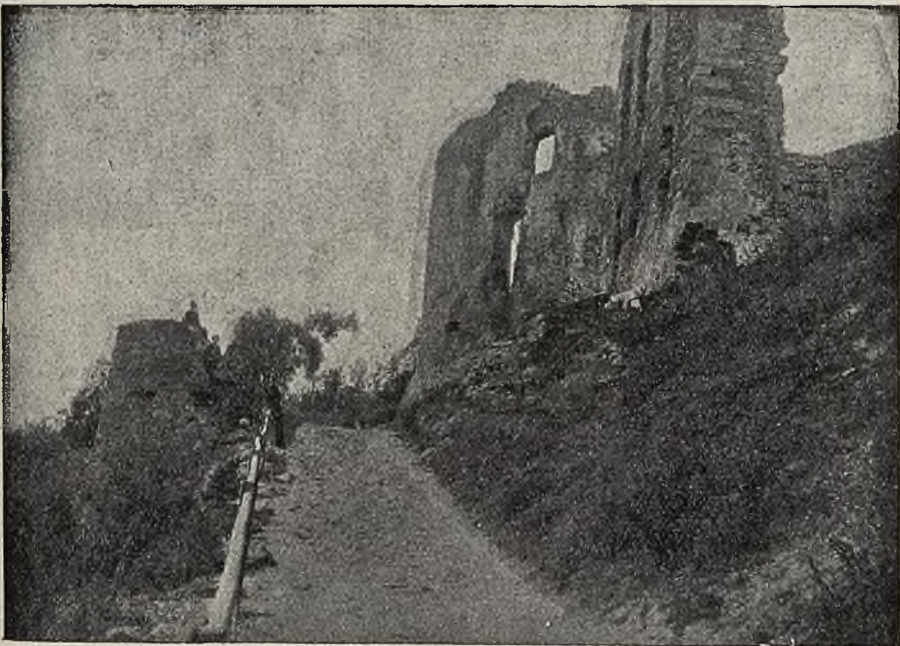
„Honestus rumor alterum est patrimonium!“

Wyobraźmy sobie, że myśli podobnie głębokie a wzniosłe były w Polsce nad drzwiami każdemi i nad oknem każdem, więc naród trzymał się górnie a podniośle wszędzie a zawsze, albowiem o niczem innem nie myślał, tylko o sławie a zatem o Bogu. Sława ta

była zawsze dobrą i poczciwą, dłatego pokrzepiano się zasadą, że sława poczciwa to dobrodziejstwo drugie po darach wszystkich od Boga przyrodzonych.

Słusznie też przekazał nam Długosz, wedle słów wyżej przytoczonych, obowiązek czuwania „aby cnota wiekopomnie w uściech ludzkich słynęła i stała się przykładem zachęcającym".

Cóż z tego wszystkiego, kiedy starania nasze obecne nie dążą do niczego innego, jak tylko do zobrzydzenia przeszłości Polski, w której nikt nie może się dopatrzyć żadnej jasności, gdyż czarno-



Buczacz — ruiny zamku

widztwo każe przodków naszych obciążać winami i grzechami niebywałymi. Jeżeli Sienkiewicz podaje, że na Żmójdzi u belek stropowych wisiały gwiazdy różnokolorowe, to nie oznaczają one tam wyjątku, bo i na Podolu i w całej Polsce tak było. Lud i naród wycinał je z opłatków, aby miał nad głowami niebo wysokie, ustrojone jasnością. I na Podolu życie upływało w miłości dobra czyli sławy, zatem Narodu i Boga, stąd słowo każde było sławą, a więc Słowianie byli istotnie Sławjanami.

Ani król Jagiełło, ani Warneńczyk, ani Sobieski, ani Kościuszko nie szli w pole chwały dla chciwości lub korzyści jakiejkolwiek.

Nie! Sama cześć i sława nakazywała im stawać z piersią otwartą przed pociskami wrogów, goniących tylko za zdobyczą.

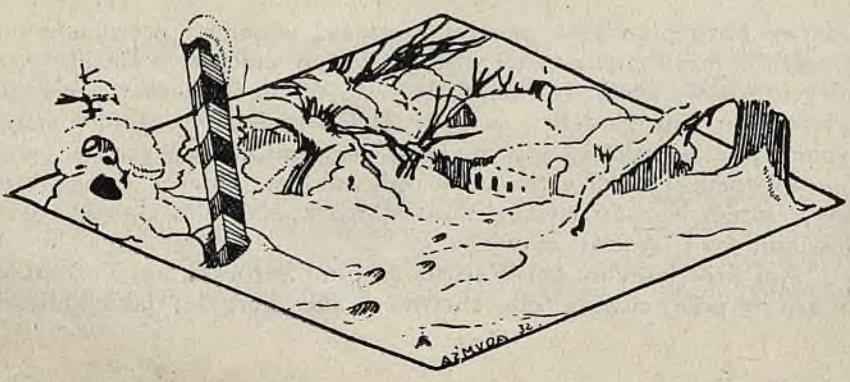
Tak i z Jazłowca starożytnego a szczerze polskiego poszedł na wyprawę hetman Jazłowiecki razem z młodziutkim Władysławem Warneńczykiem, jedynie za przewodem tych gwiazd, któremi Polska zdobiła stropy swoje i sklepienia kościelne. Pożegnał ten Jazłowiecki synka swojego, który do niego rączki wśród płaczu wyciągał, bo przeczuwał nieszczęście. Razem z królem znikł w walce o „Posłannictwo" wielkie a naród długo, bardzo długo oczekiwał ich powrotu, bo wierzyć nie chciał, aby w sprawie świętej taki smętny był koniec. Ale świat świętościami gardzi zawsze. Przekonano się nareszcie, że to prawda ta ofiara życia pod Warną w roku 1444, tam po nad brzegami fal morza Czarnego. Po Polsce do dziś gdy na Anioł Pański dzwonią, to dzwon wielki potem trzy razy po trzykroć uderza żałośnie w kresę jedną na pamiątkę poległych pod Warną. I tutaj w Jazłowcu czas długi panował zwyczaj taki, ażeby wzywać ludzi do modlitwy za duszę hetmana Jazłowieckiego. Gdy dzwon kościelny dziewięcioma jękami ożywia okolicę, a słońce krwawo zachodzi po za widnokrąg Podola, wówczas wyobraźnia ludu zdaje się widzieć w blasku słońca pacholę młodziutkie o rączkach rozkrzyżowanych idących wiecznie na spotkanie ojca swojego. Nie każdy wszakże może dostąpić tego cudu, aby obaczył to dziecko anielskie. Musi być czysty jak po spowiedzi wielkanocnej i musi mieć sumienie śnieżnobiałe. Wtedy łaska Boska to sprawia, że wzrok olśni jasność niebiańska ą biedne dziecię hetmańskie jak umarło z tęsknotą na ustach tak do dziś odzywa się do ludu polskiego z pytaniem:

„Czy wrócił już hetman Jazłowiecki z pod Warny".

Oto dowód, jak wysoko podnoszono chorągiew zastępów polskich, idących do walki za dobro i sławę, za Naród i Kościół.

Dwa rody podolskie: Buczackich i Jazłowieckich godne pamięci naszej najwdzięczniejszej.

Prof. Dr. Zubrzycki





Polesie

Polesie, ta mało ogółowi mieszkańców Polski znana kraina egzotyczna na wschodzie naszej Rzeczypospolitej stała się ostatniemi czasy przedmiotem zainteresowań, objawiających się w coraz to częściej pojawiających się artykułach prasowych o tej „zapomnianej ziemi", o tej „polskiej Holandji" jak ją jeszcze za dawnych czasów nazwano. Czy istotnie przygodni podróżujący, opisujący to województwo i skreślający swe wrażenia pod nakazem chwili mają rację? Odpowiem na to pytanie dając w krótkim artykule według możności wiarogodny opis dzisiejszego Polesia.

Jak wiadomo, zalicza się Polesie, obejmujące całe województwo poleskie, największe w Polsce o 36.825 km² powierzchni, o zaludnieniu 20,7 mieszkańców na 1 km², do największego w Europie obszaru bagnistego, zajmującego głównie dorzecze Prypeci. Jest to największy na wschodzie pas Wielkich Dolin, który przepływa Prypeć o długości 315 km w granicach Polski. Dzisiejsze Polesie dzielimy na dwie części, z których jedna należy do Białorusi sowieckiej. Rzadkość zaludnienia Polesia tłumaczy się tem, że kraina ta posiada zaledwie 22 proc. ziemi ornej, 28,6 proc. zajmują lasy, a resztę stanowią łąki, pastwiska bagniste a przedewszystkiem nieużytki, w tem około 2 miljony hektarów (30.000 m²) bagien i błot trzcinowych i trawiastych przeważnie torfowych, które można osuszeniem zamienić na glebę miejscami bardzo urodzajną.

Przyczyna tego zabagnienia leży w minimalnem spadku rzeki: płynącej z zachodu na wschód Prypeci z całem dorzeczem wijącem się w kształcie wężownic licznych rzek i rzeczułek, z których Prypeć i jej prawobrzeżne dopływy nadają się jedynie do żeglugi. Grunt jest ponadto nieprzepuszczalny, a koryta rzek zarastają roślinnością bagienną, co zmniejsza w znacznym stopniu szybkość ich spływu. Projektowana gigantyczna praca meljoracji całego Polesia polegać ma przedewszystkiem na uregulowaniu zabagnionych koryt rzek i przyspieszeniu spływu wód z terenów zabagnionych. Spływ tych wód jest również bardzo uzależniony od prac meljoracyjnych i pogłębiania koryta Prypeci na terenie sowieckim (335 km). W niewielkiej odległości od granicy polsko-sowieckiej wody Prypeci spiętrzone są progami. Usunięcie tych „porohów" przez rząd sowiecki ułatwiłoby w znacznej mierze pracę meljoracyjną. Wobec nieprzychylnego ustosunkowania się do tych prac władz sowieckich uzależnieni są nasi inżynierowie meljoracyjni sami od siebie i ograniczeni do rozwiązania tej kwestji ściśle w granicach państwa polskiego.

Nie od dziś zajęto się kwestją meljoracji Polesia. Już za czasów królowej Bony zbudowano w XVI w. kanał odwadniający w powiecie kobryńskim. Inicjatywę tę naśladowali później magnaci polscy, przekopując na swych posiadłościach rowy osuszające. Dzięki inicjatywie króla Stanisława Augusta powstał w r. 1775 Kanał Królewski długości 45 km, a w XVIII w. powstał Kanał Ogińskiego. Za czasów rosyjskich utworzono „Zachodnią Ekspedycję osuszania Błot Poleskich", na czele której stanął Polak gen. Żyliński. Lecz rowy i kanały niestarannie utrzymywane, zamuliły się i zarosły, a wojna przerwała wszelką dalszą pracę.

W odrodzonej Polsce rozpoczęto w czerwcu 1928 r. pracę na nowo, tworząc w Brześciu n/Bugiem Biuro Projektu Meljoracji Polesia pod kierownictwem wybitnego fachowca z dziedziny meljoracji, inż. Józefa Próchnika. Do roku 1932 projektowano wykonanie zupełnego planu projektu osuszenia Polesia wraz z potrzebnemi pomiarami, studjami i programem finansowym. Prace pomiarowe dokonuje się głównie przy pomocy samolotów. Pozatem przeprowadza biuro pewne roboty zasadnicze, regulując rzeki i pogłębiając wzgl. budując pomniejsze kanały, uzyskując przez to znaczne obniżenie powierzchni wody gruntowej. Jednakże ze względu na brak środków pieniężnych prace te postępują bardzo powoli naprzód. Ogólny koszt osuszenia całego zabagnionego obszaru wynosi 480 miljonów, jednakże z tego terenu wyniósłby około 200 miljonów zł. Osuszenie dałoby ziemię orną i umożliwiłoby utworzenie około 200.000 nowych gospodarstw rolnych. Niezależnie od prac wspomnianego biura tworzą się na obszarze Polesia mniejsze spółki meljoracyjne, które własnym sumptem osuszają tereny, uzyskując coraz to większe obszary ziemi

ornej. Obecny kryzys podciął dotkliwie stan finansowy tych spółek, uzależniając je zupełnie od swych własnych, nikłych funduszów. Na obszarach, nadających się do uprawy osiedlają się koloniści polscy, wzmacniając coraz to bardziej żywioł polski na Kresach. O ile uprzytomnimy sobie, że nieużytki poleskie wynoszą około 10% obszaru całej Polski, to wtedy w zupełności zrozumiemy jakie nowe możliwości kolonizacyjne przedstawiają się dla żywiołu polskiego, który wynosi tu około 25% po wsiach, a po miastach jeszcze mniej. Cały handel, przemysł i rzemiosło spoczywa bowiem w rękach żydowskich, a wieś, strasznie kulturalnie zaniedbana przez rosyjskiego zaborcę, niewcześnie będzie mogła dorównać wsi zachodu Polski.

W związku z zabagnieniem Polesia przedstawia się stan dróg, które obecnie buduje się kosztem samorządów i dobrowolnemi szarwarkami ludności wiejskiej. Jednakże prowizoryczne te drogi czy trakty, nieumocnione kamieniami, gdyż tych na Polesiu niema, rozpadają się po kilkurazowych deszczach i są nawet chłopskim wozem z trudem do przebycia.

Poleszucy, mieszkańcy tej krainy, wyglądem swym melancholijnym upodabniają się do tej smutnej ziemi błot i bagien. Obecny kryzys gospodarczy dotknął ich może najdotkliwiej, gdyż ustały wyręby lasów i zwózka drzewa, przy których to pracach jako tako zarobić mogli. Obecnie wynajmują się jako drwale, znajdują pracę przy sianokosach oraz przy budowie domów drewnianych. Poleszuk jest zupełnie samowystarczalny. Las dostarcza mu budulca do swego „obichodu" (obejścia), rola lnu i konopi do wyrobu sukman, łozy nadbrzeżne materjału do wyrobu łapci, któremi bez trudu brodzi po błotach rodzimych, znajdując czasem skąpy zarobek, hodując bydło lub zajmując się rybołówstwem. Zimą ubiera się w długie kożuchy baranie, nie zdejmując ich aż dopiero wiosną. Na twarzy zarośnięty, jest Poleszuk cichy, smutny, jakoby wylękniony. Dola jego nie jest do pozazdroszczenia. Odcięty bagnami i puszczami od reszty świata, stał się nieufnym wobec wszystkich wymysłów cywilizacji. Niechętnie posyła nawet swoje dzieci do szkoły, rozumując, że jeśli sam bez umiejętności czytania i pisania daje sobie radę, to dzieciom to także zbyteczne. Nie umiejąc uniknąć wyzysku handlarzy, przeważnie żydowskich, nie dowierza nikomu.

Kobiety ubierają się w koszule (rubaszki), wyszywane czerwonym, geometrycznym ściegiem i spódnice z lnu, na które zakładają fartuchy wyszywane w te same wzory. Zamężne noszą na głowie „namitki" (zawijki), zawijając je na sposób turbanu kunsztownie około głowy. Trudnią się przeważnie pracą domową, hodowlą lnu i konopi, z których najwięcej Poleszuk produkuje.

Na wsiach przeważnie ludność białoruska wyznania prawosławnego, po miastach ludność żydowska. Jednakże mało widać tu

kultu religijnego u ludności wyznania prawosławnego: drewniane cerkwie z cebulastemi wieżami, znajdujące się nieomal w każdej wsi, w niedzielę świecą pustkami, a „batiuszkę" (księdza prawosławnego), nikt słuchać nie chce. Dużo posłuchu znajduje tu agitacja bolszewicka, rozpowszechniająca się w zastraszający sposób.

Dawniej utrzymywały kulturę i tradycję polską liczne dwory i zaścianki szlacheckie, z których obecnie niewiele pozostało. Lud wiejski, częściowo katolicki, zmuszony został, po skasowaniu w r. 1839 Unji, do przyjęcia prawosławia, które mu jednak żadnego zadowolenia nie sprawia. Apostoł Polesia, błogosławiony Andrzej Bobola, którego śmierć męczeńską za sprawę wiary katolickiej czci pobożna ludność uroczystym odpustem w Janowie koło Pińska, zaskarbił sobie niepospolite zasługi celem pozyskania inowierców na łono Kościoła katolickiego. Przedwcześnie zmarły ś. p. ks. biskup Zygmunt Łoziński zainicjował sprawę unji obrządku prawosławnego i wschodniego, którą jego następca ks. biskup nominat Bukraba zapewne z tą samą gorliwością i zapałem prowadzić będzie.

Polesie jest rajem dla wszystkich myśliwych. Mamy tu bowiem różnej zwierzyny i ptactwa wodnego pod dostatkiem. Znajduje ona bezpieczne schronienie wśród bagien i puszcz. Wilki dają się ludności wiejskiej podczas każdorazowej zimy dotkliwie we znaki, rabując najlepsze sztuki trzody chlewnej. Na polowanie zjeżdżają się nemrodzi z całej Polski. Najprzyjemniejsze jest polowanie na głuszce. W niedostępnych kniejach na pograniczu szczęśliwiec znaleźć może nawet bobry i niedźwiedzie.

Nieliczne miasta poleskie niewiele różnią się od wsi większej na zachodzie Polski. Przeważają tu schludne, drewniane domki, pokryte słomą, gontami lub blachą cynkową. Jedynie domy rządowe i zamożniejszych żydów zbudowane z cegieł.

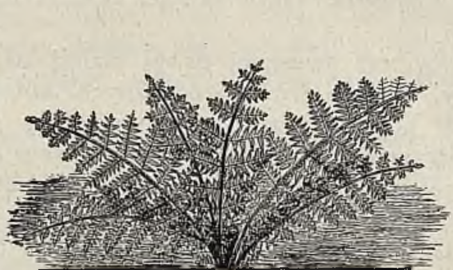
Smutne jak całe Polesie są dzieje tej krainy, zamieszkałej od zarania naszych dziejów przez szczep słowiański Derewlan, od których wywodzą się dzisiejsi Poleszucy. Po długich walkach zawładnęli Polesiem książęta ruscy Rurykowicze, z których Włodzimierz Wielki oddaje je w r. 1016 swemu synowi Światosławowi. Po jego śmierci rozpadło się Polesie na kilka oddzielnych księstw ze stolicami w Pińsku, Brześciu n/B. i Turowie. Po krwawych walkach powstaje nowe, potężne księstwo pińsko-turowskie, które niebawem w XII w. staje się terenem walk Litwinów z Tatarami. Gedymin, książę litewski, podbiwszy całe Polesie, oddaje je synowi Narymuntowi, robiąc Pińsk stolicą tej ziemi. Gedyminowicze rządzą księstwem 200 lat. Epokę ich panowania z braku dokumentów trudno jest dokładnie scharakteryzować. Po różnych przejściach i po wygaśnięciu linji Gedyminowiczów pińskich, król Zygmunt I. w r. 1523 daje księstwo swej żonie Bonie, której rządy przez 40 lat stanowią

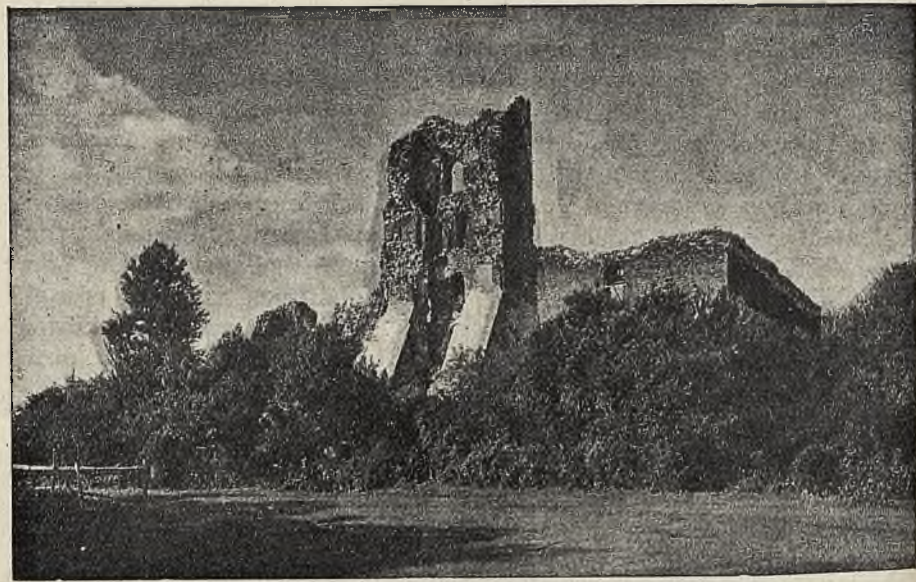
prawdziwe dobrodziejstwo dla tej ziemi. Królowa Bona buduje drogi, kanały, szkoły i kościoły, osiedla miasta i dwory, sprowadzając ludność z innych połaci Polski. Po dziś dzień szlachcić polski przechowuje z wielką czcią dyplomy i nadania królowej. W r. 1569 zostaje utworzone województwo brzesko-litewskie. Wojny kozackie dotarły również do Polesia. Hetman Janusz Radziwiłł zadaje kozakom dotkliwą klęskę pod Turowem. Po wojnach szwedzkich podnosi się znaczenie Polesia. Najważniejszą arterją wodną Prypećią idą transporty handlowe przez Kanał Królewski, Muchawiec i Bug do Warszawy i Gdańska. Za czasów panowania Stan. Augusta, wzmaga się dzięki działalności kilku mężów jak hetmana Ogińskiego, który przekopał w r. 1765 kanał, noszący jego imię, ks. biskupa Marsalskiego, Romualda Traugutta i Mateusza Butrymowicza, podstarosty pińskiego i posła na Sejm Czteroletni, ponownie znaczenie Polesia. W tym czasie wybudowano Kanał Królewski.

W drugim i trzecim rozbiorze przypada Polesie Rosjanom, którzy zniszczyli jego życie i kulturę. Zaborca zniósł w r. 1795 od wieków istniejącą diecezję pińsko-turowską i przez 125 lat niewoli niszczy systematycznie wszystkie ślady kultury polskiej. Po odzyskaniu niepodległości i walkach ostatnich wojen, których ślady widnieją do dziś na całem Polesiu, nastąpiły inne czasy. Stolicą województwa Poleskiego był do r. 1921 Pińsk; po spaleniu się w tym roku Pińska, została stolica przeniesiona do Brześcia n/Bugiem.

Oto wkrótce dzieje i losy Polesia, dla którego, odkąd wróciło na łono prawdziwej Macierzy, rozpoczęły się lepsze i pomyślniejsze czasy.

Alfons Wysocki (Łuniniec)





Pierwsze polskie pułki na kresach

Odbieram lakoniczną kartkę od ks. Nosalewskiego: wojsko polskie do Płoskirowa się zbliża! Proszę zaraz przyjeżdżać, przygotować powitanie.

Wojsko Polskie! Ja mam je witać! Boże mój, dzięki Ci, żeś mi pozwolił dożyć tej chwili! Nie tracimy jednej minuty. Siadamy z żoną do powozu. Czwórka dzielnych siwoszów, ostatnia jaka mi pozostała, rwie z kopyta, jakby czując, że tam na nas coś bardzo wielkiego czeka.

Trzydzieści wiorst strasznej drogi dzieli nas od Płoskirowa. Poryły ją armaty, tysiące kibitek o pełnych kołach, w żółte kosmate syberyjskie konie zaprzężonych wyżłobiły głębokie koleiny. Siwoszów nic zatrzymać nie zdoła! Czysta krew arabsko-sławucka w żyłach ich płynie. Wyprosiłem je od gwardji, która już w pierwszych dniach chrapkę na nie miała, wymodliłem od lejb-huzarów, wykradłem od Czeczeńców, oficerowie kozaccy jej cesarskiej wysokości już je dosiedli byli, ale w mgnieniu oka znaleźli się na ziemi. Nie dały się wierne rumaki, przeczuwały, że w dniu radości i chwały zawiozą nas na spotkanie Wojska Polskiego.

Trybuny naprędce sklecone, a nad niemi powiewają radośnie proporce o barwach narodowych.

W pierwszym rzędzie widzę kilkunastu młodych ludzi ze sfery ziemiańskiej, wpatrzonych gorejącemi oczyma w stronę nadciągają-

cych polskich oddziałów, a więc braci Skibniewskich, którzy niebawem zginęli w obronie Lwowa, trzech braci Dunin-Borkowskich, Kleczyńskich, Staropińskich i wielu innych. Wszyscy oni przekradli się niebawem przez granicę, wstąpili do polskich formacyj i wsławili imię kresowców na wszystkich polach bitew, a wielu z nich zginęło śmiercią chwalebną.

O chwilo niezapomniana! W dniu śmierci będę o tobie pamiętać, chwilo najuroczystsza w mem życiu! Podchodzi Wojsko Polskie. Parę bataljonów piechoty, parę szwadronów kawalerji; ludzie zmizerowani, wychudzeni; konie zdrożone zdają się wlec nogami, ale gdy trąbka zagrała, iskra elektryczna przebiegła przez szeregi. Taka sprawność, taka energja w ruchach, taka radość w oczach! Zrozumiałem, iż ci chłopcy, te konie jakby ze snu zbudzone imię Polski na krańce świata rozniosą.

Wstępuję na mównicę. Wtem od strony miasta tuman kurzu powstaje. W szalonym pędzie, w zwartych szeregach, kilkuset jeźdźców się zbliża. Zapóźnieni ułani czy szwoleżerzy piorunem stają do apelu? Ale nie! Nad barkami jeźdźców jak białe łabędzię unoszą się wyloty; na głowach baranie papachy. To Ingusze, sławna dzika dywizja ks. Czawczawadze. Chwila straszna! Czy wpadną na polskie oddziały i walka nastąpi okrutna, walka nierówna? Tam świeże, wypoczęte oddziały na koniach górskich, szalonych, a tu znużone, wycieńczone forsownym marszem, jakby na odludną wyspę rzucone słabe formacje polskie. Spoglądam na nie. Cisza złowroga. Patrzę na trybuny, płonące różnobarwnym rojem kobiet i dzieci, ani śladu paniki lub trwogi; widmo śmierci na kresowców już wrażenia nie sprawia.

W szalonym impecie wpadają Ingusze przed trybuny i stają jak wryci. Dowódca na cudnym złotym bachmacie dobywa szabli, unosi się w strzemionach, i donośnym głosem woła: „Wolne orły kaukaskie polskim orłom cześć oddają!” Z tysięcy piersi wyrywa się okrzyk radosny; książę zatacza złotym rumakiem, za nim cała wataha okrąża polskie szeregi i w jednym rzędzie z ułanami się ustawia.

Teraz następuje dla mnie chwila największego szczęścia, jakiego w życiu doznałem: witam wskrzeszone Wojsko Polskie.

W kilku słowach podam treść powitania, by dać pojęcie, jak radosny i podniosły nastrój wśród ludności zapanował.

Wojsko Polskie! Te słowa magicznie przeleciały przez naszą okolicę, wstząsając nami do głębi serca. Dziecię szerokie rozwiera źrenice, do kolan matki się tuli i pyta: „Mamo, Mamo, czy to prawda, Wojsko Polskie, żołnierze polscy idą?” Dziewicy serce bije jak młotem, pons oblewa krasne jej lica, a wiatr od stepu przynosi jej słowa dawno niesłyszanej piosenki: „Tam na błoniu błyszczy kwięcie, stoi

ułan na pikiecie" i tej drugiej tak junackiej a wesołej: „Moja mamo, był tu żołnierz, miał z granatem żółty kołnierz".

Młodzieńca oczy goreją, a z ust jego rwą się słowa: „Pójdę na bój krwawy, Ojczyzna mnie woła".

Starzec u grobu stojący dzięki składa Najwyższemu, iż mu pozwolił dożyć tej chwili radosnej. Przed gasnącemi jego oczyma przesuwają się postacie naszej wielkiej epopei, wspomnienia dziecinne z 1863 r., prorocze słowa wieszczów naszych, któremi młodość naszą karmiono, cierpienia męczenników naszych za wolność w tajgach Sybiru. Wszystko mu mówiło, że dzień zmartwychwstania niedaleki, a teraz powtarza słowa: „Odpuść, Panie, słudze swemu, bo widział ziszczone marzenia lat dziecinnych".

Na polach walki światowej miljon Polaków krew swą przelewa i w tragiźmie nieznanym w dziejach ludzkości brat spotyka brata, zadaje mu cios lub z jego ręki umiera, ale jednem hasłem, jednym celem — wolna niepodległa Polska! W imię tego hasła powstaliście, żołnierzyki wy moje, a gdy nastąpi dzień rozrachunków dziejowych świat cały, który orzekł, iż Polska wolna i niepodległa itsnieć musi, świat ujrzy przed sobą potężną, jednolitą, a karną armję polską, ożywioną duchem swobody i niepodległości, wierzącą w przeznaczenie Ojczyzny zmartwychpowstałej. Armja ta stanie do apelu i grzmiącym jak huragan głosem zawoła: „Jam jest".

Gdym domawiał te słowa, młody chłopczyna w mundurku pocztowym przedziera się przez tłum publiczności, dopada do generała Symona, u stóp jego się słania, o coś prosi, błaga, a gdy genarał dobrotliwie poklepał go po ramieniu, chłopak jak szalony dopada do szeregów, rzuca się na szyję żołnierzy, ściska, płacze, wreszcie wybiega na front i oszalałym z radości głosem woła: „Niech żyje Wojsko Polskie! Niech żyje Brygadjer Piłsudski!"

Już nigdy nie wrócił chłopczyna. Matka staruszka czekała, czekała, aż wreszcie do niego na tamten świat poszła, a taka dumna, że jej Władyś przez samego generała do wojska był przyjęty. A teraz może spoczywasz, chłopczyno ty złoty, pod arkadami na placu Saskim, w grobie nieznanego żołnierza. Znicze nad tobą płoną, a wojacy świata całego znoszą wieńce na twój grób.

Dumny jestem, że ten dzieciak kresowy, który w biednym mundurku pocztowym listy roznosił, nauczył nas jak Polskę kochać, jak życie za Nią oddawać.

Jednocześnie prawie na krańcach Wołynia ginie zamordowany przez rozbestwione żołdactwo rosyjskie nasz święty męczennik za wiarę, za miłość ziemi ojczystej, której opuścić nie chciał — książę Roman Sanguszko. Kilkunastu pchnięciami bagnetów przeszyty dogorywa w trupiarni, do której go wrzucono, a oczy jego (widzieli to naoczni świadkowie) zwrócone ku niebu zdawały się przebaczać mordercom.

I my mielibyśmy nie powracać do tej naszej krwawej ziemicy! Cierpliwi są kresowcy lecz nieustępliwi. Z dziada pradziada przywykli do napadów hord barbarzyńskich, do mordu i rzezi, do ziemi swej kiedyś powrócą i znowu straż obejmą na rubieżach Rzeczypospolitej, pługiem a szablą niepodległości Macierzy swej strzec będą.

Jan Narkiewicz Jodko

Wspomnienia z Berezyny z czasów wojny światowej

Było to w początkach 1918 r. gdy śnieg jeszcze pokrywał ziemię ale rozpoczynały się już roztopy. W miasteczku Berezynie, dokąd mnie zapędził los wojny, zajmowałem stanowisko instruktora Warszawskiego Centralnego Komitetu Obywatelskiego, na okrąg Berezyński, opiekując się wygnańcami Polakami, których Moskale powypędzali w czasie wojny z Polski do Rosji.

W okręgu Berezyńskim rozległym na około 40 kilometrów w promieniu od Berezyny i w Berezynie było ich około 1200 ludzi, w tem około 200 dzieci, poumieszczanych po szkołach i ochronkach.

Pewnego wieczora, gdy po wspólnej kolacji ze swym personalem biurowym, szkolnym i szpitalnym, udałem się do swego mieszkania, znajdującego się w trzecim domu od ochronki na tej samej ulicy, w niedługim czasie po przybyciu, puka ktoś do moich drzwi. Było to już dość późno wieczorem, około 10 godziny.

— Kto tam? — pytam.

— To ja Oleśka — odpowiada; była to służąca z ochronki.

— Wejdź, co chcesz?

— Jakiś pan — mówi — przyjechał i chce się z panem widzieć.

— Co za pan? czy tutejszy, czy obcy, znasz go?

— Obcy, pierwszy raz go w życiu widzę.

— Co chce?

— Nie wiem.

Były to czasy bolszewickie i Berezyna była już w tym czasie zajęta przez bolszewików. Więc każdej chwili można było się spodziewać czegoś nadzwyczajnego z ich strony. Zastanawiając się chwilkę nad tem, myślałem że może jaki bolszewik przyszedł, o co w tym czasie było nietrudno, ale nie namyślając się długo, będąc przekonania, że jeżeli to bolszewik i jeżeli go nie przyjmę, za chwilę przybędzie ich większa ilość i nie pytając się o pozwolenie, siłą wejdą do mnie, rzekłem więc do służącej:

— Gdzie jest ten pan?

— Tutaj stoi przed domem.

— Poproś go niech wejdzie.

Za chwilę wchodzi do mnie ów pan o miłym wyrazie twarzy, ubrany w bekieszę w długich butach, przemokniętych jak widać. Robi na mnie sympatyczne wrażenie i wzbudza zaufanie, powątpiewam więc, by to był bolszewik. Przedstawia mi się:

— Jestem Burhardt, oficer polski z Kijowa.

Wrażenie wielkie zrobiły na mnie te słowa, nie spodziewałem się czegoś podobnego, pierwszy raz w życiu widzę oficera polskiego i z nim rozmawiam. Powątpiewałem narazie w jego oświadczenie ale myślę sobie, przecież niedaleko stąd, w Bobrujsku i w okolicy stoi polski korpus generała Dowbór-Muśnickiego, o którym już wiele ludzie mówili i stale się o tem słyszy, więc zaczynam przychodzić do przekonania o prawdziwości jego opowiadania. On mówi dalej:

— Jadę z Kijowa ze sztabu polskiego do Bobrujska do generała Muśnickiego z ważnemi papierami wojskowemi, które mam ukryte w cholewach od butów. Nie mogłem się przedostać najbliższą drogą prosto z Kijowa do Bobrujska z powodu, że cała tamta okolica jest zajęta przez bolszewików i przedostanie się tamtędy jest niemożliwe, z obawy, by nie wpaść w ich ręce, udałem się dalszą okrężną drogą z Kijowa w stronę Moskwy a następnie do Orszy i do najbliższej stacji kolei od Berezyny, skąd przeszło dwie mile przyszedłem pieszo i chciałbym zaraz udać się w dalszą drogę, by jak najprędzej przybyć do Bobrujska, proszę więc pana o ułatwienie mi dalszej podróży.

Zastanowiła mnie trochę ta szczerość jego mowy do mnie, — myślę sobie, że człowiek, który mnie pierwszy raz widzi, wcale mnie nie zna, z taką otwartością odzywa się do mnie, czy może to jest jaki podstęp, ale jego wygląd sympatyczny, zachowanie się odpowiednie i szczerość mowy, uspakajały mnie w podejrzeniu i przekonywały, że mówi prawdę.

Mówię więc do niego, że narazie w nocy trudno jest coś w tej sprawie przedsięwziąć, ale proszę pana trochę odpocząć, może pan się czem trochę posili, bo prawdopodobnie pan jest zmęczony i głodny po takiej drodze, a przez ten czas może coś wymyślimy co do dalszej pańskiej podróży. W Berezynie i okolicy są bolszewicy, trzeba więc tak działać, żeby nie mieli najmniejszego podejrzenia o pańskich zamiarach, gdyż inaczej napewno nie dojechałby pan do Bobrujska i armja polska mogłaby przez to dużo stracić a szkodaby było, gdyż domyślam się, że muszą to być bardzo ważne papiery wojskowe, które pan wiezie do Bobrujska. Proszę więc pana na kolację, a przez ten czas będziemy radzili, co zrobić z dalszą pańską podróżą.

Wobec niemożliwości natychmiastowego udania się w dalszą podróż, zgodził się p. Burhadt na krótki odpoczynek.

Poszliśmy razem do ochronki, gdzie była służąca, kuchnia i trochę zapasów żywności. Kazałem na poczekaniu usmażyć jajecznicy, którą zjadł z wielkim apetytem i następnie zaproponowałem mu spoczynek. Podczas tych rozmów i różnych kombinacyj co do dalszej podróży p. Burhardta, przyszło mi na myśl, że moja kancelistka biurowa, panna Idalja Sielicka pochodzi z tych stron i że matka jej i rodzina mieszkają na pół drogi od Berezyny do Bobrujska około 50 wiorst od Berezyny i że prosiła mnie przed kilku dniami, żebym jej pozwolił w najbliższą niedzielę pojechać tam do swej matki. Tam niedaleko już rozpoczyna się teren okupacji polskiej, którą korpus generała Muśnickiego zajmował.

Panna Sielicka miała brata w wojsku, w armji rosyjskiej i po zdemoralizowanem rozpadnięciu się tej armji, spodziewała się, że wkrótce przyjedzie do niej i razem pojadą do matki, o czem wiedziano i mówiono w Berezynie.

Myślę więc sobie, że dobrze będzie ogłosić w Berezynie, że przyjechał brat p. Sielickiej i razem pojadą jutro rano do matki i nikomu nie przyjdzie na myśl, że przyjechał oficer polski, i tym sposobem bolszewicy nie zwrócą na to uwagi i oboje bezpiecznie pojadą niby brat z siostrą w odwiedziny do swej matki.

Mówię o tem p. Burhandtowi; bardzo mu się mój projekt podobał i rad był, że tym sposobem łatwo dostanie się do Bobrujska. Trzeba więc to w czyn wprowadzić w jak największej tajemnicy przed bolszewikami.

Idę więc do kancelarji na przeciwną stronę ulicy, gdzie w przyległym pokoiku mieszkała panna Sielicka, oznajmić jej w sekrecie o przybyciu polskiego oficera, i prosić ją, żeby zamiast w niedzielę pojechała jutro rano do swej matki i zabrała z sobą p. Burhardta niby brata swojego z obawy, by się nie dowiedzieli bolszewicy, że wiezie oficera polskiego. Panna Sielicka, jako zagorzała patrjotka, chętnie się na to zgodziła i rzekła z zadowoleniem.

— Wiedzą wszyscy w Berezynie, że mój brat miał przyjechać, to i powiem że przyjechał i razem jedziemy do matki, nikt go tutaj nie zna toć i nie będą wiedzieli, że oficera polskiego wiozę.

— Ale proszę panią tajemnicę zachować i być ostrożną a ja idę kazać Anulewiczowi na jutro bardzo rano przygotować konia do sanek do podróży. Dobranoc pani — proszę jutro bardzo rano przygotować się do wyjazdu. Wracam do Pana Burhardta i mówię mu, że wszystko już na jutro rano do jazdy gotowe. Proszę pana przespać się trochę, posłanie już gotowe, ubranie i buty przez noc przeschną trochę i jutro rano pojedzie pan do Bobrujska. Niebezpieczeństwo będzie przed bolszewikami tylko do granicy

okupacji polskiej około 50 wiorst, dalej będzie pan już bezpiecznym jak u siebie w domu.

— Bardzo dobrze! Dziękuję panu za genjalną myśl dla dalszej mojej podróży.

Proszę mojego przybysza, by szedł spać, gdyż było już bardzo późno wieczorem.

Po wzajemnem dobranoc pozostawiłem p. Burhardta w przygotowanym dla niego pokoiku do spania i odszedłem do swego mieszkania.

Drugiego dnia, gdy poszedłem rano do ochronki na śniadanie, nie było już panny Idalji ani pana Burhardta, słyszę tylko od osób tam będacych, że brat panny Idalji przyjechał w nocy i pojechała z nim do matki, dawno go się spodziewała i nareszcie doczekała się, a przypuszczała, że może zginął gdzie na wojnie.

Upłynął jeden dzień i drugi, — drugiego dnia wieczorem wrócili oboje do Berezyny. — Wszystko załatwione i wróciliśmy szczęśliwie, odzywa się do mnie p. Burhardt, teraz poproszę pana o konie i odesłanie mnie do Borysowa do kolei, muszę wracać pilno do Kijowa.

Kazałem przygotować parę koni i następnego dnia bardzo rano p. Burhardt odjechał z Berezyny do Borysowa. A w Berezynie wiadomo było tylko, że był brat p. Idalji, że przyjechał z wojska, że jeździł ze swą siostrą do matki w odwiedziny i że zaraz musiał odjechać do Mińska w sprawach służbowych.

Leszek Zaremba Cielecki



Z odmętu aktualnych okropności

STRASZLIWE BRZEMIĘ

— Młody mistrzu, serdecznie cieszę się pańskiem powodzeniem. A jednak żal mi pana nieraz.

— Dlaczego?

— Ano czytam, że *nosi* pan wybitne już nazwisko; że gra pańska *nosi* piętno mistrzostwa, a każdy występ *nosi* charakter sensacji. Słowem, jak tragarz, ciągle pan coś nosi. Cóż za trud niesłychany!

— A jest na to rada?

— Bardzo prosta. Wystarczy *mieć* zamiast *nosić*. Niech pan *ma* wybitne nazwisko, niech pańska gra *ma* charakter mistrzostwa, niech występy pańskie *mają* charakter sensacji. Odrazu panu lżej się zrobi. I nam także, utracimy bowiem jeden znowu zwrot żywcem z niemieckiego języka przejęty.

MOSKIEWSKI PRYSZCZ

Coraz częściej czytelnik polski spotyka się w gazetach i książkach z jakiemś osobliwem *a*, którego w danem miejscu nie oczekiwał, które go razi, które wstrząsa nim, wywołując mimowoli protest.

„Pokora — to nie cnota *a* niedołęstwo".

„Nie białym, *a* czerwonym zwycięstwo dane".

„Nowa era już nie idzie, *a* pędzi" i t. p.

— „*a*" pokurczu bolszewicki, co ty tu robisz? woła czytelnik, wyczuwający ducha polszczyzny. Jakiem prawem wciskasz się dla przeciwstawienia między dwa wyrazy, z których jeden jest zaprzeczony (cnota — niedołęstwo: białym — czerwonym, idzie — pędzi). Nie wiesz, że tam od króla Ćwieczka zastrzeżono miejsce dla „lecz", lub „tylko" (nie cnota, lecz niedołęstwo, nie białym, tylko czerwonym; nie idzie, ale pędzi)? Już i ty podważać chcesz polskość, bodaj przez zachwaszczenie naszej mowy?

— Nie ja, nie ja! usprawiedliwia się strofowany spójnik. Cóż? Ustawili mnie i tkwię, choć samemu wstyd. To, panie, tak objedli się w Polsce rozmaitych Erenburgów[1]), że aż polski język obsypało moskiewskiemi pryszczami.

NIESZCZĘŚLIWY REKIN

Czytałem kiedyś rzecz dziwną: schwytano rekina[2]), który *mierzył* 5 metrów długości, a *liczył* lat 12 z czubem. Czem on te metry mierzył? A liczeniu czy oddawał się przez tyle lat bez przerwy? Jeśli tak, to nie dziw, że wkońcu zgłupiał i dał się pochwycić żywcem.

Biedny rekin! Widocznie do niemieckiej chodził szkoły. Bo to w niemieckim języku określa się wymiary i wiek sposobem wyżej podanym. Gdyby re-

1) Ilia Erenburg jeden z czołowych pisarzy nowej sowieckiej Rosji. Wiele jego powieści okazało się w polskim przekładzie.

2) Olbrzymia, drapieżna ryba morska.

kin zgodnie z duchem języka polskiego *miał* taką a taką długość i tyle a tyle lat życia, nie potrzebowałby bawić się w mierniczego ani rachmistrza, tem samem zaś mógłby więcej uwagi poświęcić niebezpieczeństwom i — kto wie, czy nie uniknąłby katastrofy.

Tak to, kochani czytelnicy, czysta polszczyzna wyjdzie każdemu na zdrowie. Germanizmy [1]) rzućmy rekinom na pożarcie: niech się niemi udławią.

POTWORNA ZBRODNIA

— Co tu wiele mówić! Kończy mój przyjaciel z Warszawy. Najlepiej *służy przykładem rozporządzenie wydane ministerstwem sprawiedliwości.*

— To zbrodnia, przerywam, potworna zbrodnia!

— Rozporządzenie... zbrodnia...? Nie rozumiem!

— Tem smutniej! To właśnie, że nie rozumiesz, może *służyć za przykład,* do jakiego stopnia zatraciłeś w sobie sumienie językowe. Taką mizerotkę, takie niewinne „*Za*" wyrzucasz z ustalonego frazesu, jak niewygodnego sublokatora, by w to miejsce wprowadzić przybłędę z za wschodnich granic, nie poczytalny szósty przypadek *(przykładem).* A dopieroż owe *rozporządzenie wydane ministerstwem!* W sam raz n a r u s s k i m j a z y k i e [2]), bo w owym języku odbija się duch moskwityzmu [3]): rzecz, osoba, idea — wszystko jedna *swołocz* [4])! W Rosji więc wydają rozporządzenia ministerstwem tak samo, jak chleb krają nożem. Polak — subtelniejszy — czyni różnicę między rzeczą martwą a żywym tworem. I my krajemy chleb nożem ale *rozporządzenia wydawane są przez ministerstwa!* Wszak przyznasz: oto czarną kawę wypiłeś filiżanką, czy zechcesz jednak twierdzić, jakoby ta kawa wypita była tobą, a nie przez ciebie?

GROZA NOWEGO OSKARŻENIA POLSKI PRZED LIGĄ NARODÓW

„...Oszczędność zaś *jest niczem innem,* jak..." A do djabła z taką oszczędnością! Gdzież podziało się „nie" przed „jest"? Zatonęło w skarbonce Pocztowej Kasy Oszczędności, jak szczęśliwie niewydana złotówka?

Taka oszczędność *nie jest niczem innem,* jak zwrotem przetłumaczonym z niemieckiego. *Niema* ona *żadnego* uzasadnienia w tradycji językowej. *Nie może* „wypsnąć" się *nikomu,* kto ma choć odrobinę poczucia językowego.

Polaka znamionuje gest szeroki nawet w mowie, kiedy zaprzecza, to całą gębą, bardzo chętnie aż dwoma przeczeniami (Nie ma — żadnego, nie może — nikomu). To i tak nic nie kosztuje.

Oszczędzajmy, bo tylko oszczędna Polska stać, się może bogatą. Tę jednak oszczędność, która „jest niczem innem" (ist nichts anderes) pozostawmy Niemcom. Gotowi jeszcze upomnieć się o nią przed Ligą narodów. I będą mieli wówczas ten triumf, że przecie jakąś słuszną podnieśli przeciw nam skargę.

St. Rossowski

---

1) Zwroty na wzór niemieckich sklecone z polskich wyrazów.
2) W języku rosyjskim.
3) moskiewszczyzny.
4) hołota.

SCHEMATYZM PAŃSTWA POLSKIEGO.

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ: **IGNACY MOŚCICKI.**

WŁADZE USTAWODAWCZE:

1. SEJM RZPLTEJ (Wiejska 468)
   Prezydjum: Marszałek dr. Kazimierz Świtalski
   Wicemarszałkowie: Stanisław Car, Wacław Makowski, dr. Karol Polakiewicz.
2. SENAT RZPLTEJ (Wiejska 468).
   Prezydjum: Marszałek Władysław Raczkiewicz
   Wicemarszałkowie: Antoni Bogucki, Jakób Bojko, Zygmunt Leszczyński.
3. SEJM ŚLĄSKI w Katowicach
   Marszałek: Konstanty Wolny
   Wicemarszałkowie: Dr. Włodzimierz Dąbrowski, Jan Kędzior, Emil Gajdas, dr. Edward Pant.

PREZYDJUM RADY MINISTRÓW:

Pałac Namiestnikowski, Krakowskie Przedmieście 46/48.

RADA MINISTRÓW — Nowy Świat 69.

Prezes Rady Ministrów: ALEKSANDER PRYSTOR.

Ministrowie:

Spraw Wewnętrznych: Bronisław Pieracki
„ Zagranicznych: August Zaleski
„ Wojskowych: Marsz. Józef Piłsudski
min. Skarbu: Wł. Zawadzki
„ Sprawiedl.: Czesław Michałowski
min. Wyzn. Relig. i Oświec. Publ.: Janusz Jędrzejowicz
„ Rolnictwa: Sew. Dudkiewicz
„ Przemysłu i Handlu: Ferd. Zarzycki
„ Komunikacji: M. Butkiewicz
„ Opieki Społ.: Stefan Hubicki
„ Poczt i Telegrafów: Ignacy Boerner

NAJWYŻSZA IZBA KONTROLI PAŃSTWA — Żórawia 44, Nowogrodzka 21.

MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH:

Nowy Świat 69. — Minister Bronisław Pieracki.

PODZIAŁ ADMINISTRACYJNY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ:

Woj. Warszawskie — wojewoda: Stanisław Twardo
„ Łódzkie — wojewoda: Władysław Jaszczołt
„ Kieleckie — wojewoda: Jerzy Paciorkowski
„ Lubelskie — wojewoda: Bolesław Jerzy Świdziński
„ Białostockie — wojewoda: M. Zyndran Kościałkowski
„ Wileńskie — wojewoda: Zygmunt Beczkowicz
„ Nowogródzkie — wojewoda: Wacław Biernacki
„ Poleskie — wojewoda: Jan Krahelski
Woj. Śląskie — wojewoda: dr. Michał Grażyński
„ Wołyńskie — wojewoda: Henryk Józefski
„ Poznańskie — wojewoda: Roger Raczyński
„ Pomorskie — wojewoda: Stefan Kirtiklis
„ Krakowskie — wojewoda: dr. Mikołaj Kwaśniewski
„ Lwowskie — wojewoda: dr. Józef Rożniecki
„ Stanisławowskie — wojewoda: Zygmunt Jagodziński
„ Tarnopolskie — wojewoda: Kazimierz Moszyński

Komisarjat Rządu m. st. Warszawy (Senatorska 16)
kom. Rządu Władysław Jaroszewicz.

POLICJA PAŃSTWOWA:

Główna Komenda Nowy Świat 67, Janusz Maleszewski.

GŁÓWNY URZĄD STATYSTYCZNY: Al. Jerozolimska.

MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH:

Wierzbowa 1 — minister August Zaleski.

POLSKIE PRZEDSTAWICIELSTWA DYPLOMATYCZNE:

Ambasady:

Stolica Apostolska: (Italie Roma, Lungotevere dei Mellini 24) — Ambasador: Władysław Skrzyński
Francja: (Paris 12, Avenue de Tokio) — Ambasador: dr. Alfred Chłapowski
Anglja: (Londre W. I. 47, Portland Place) — Ambasador: Konstanty Skirmunt
Stany Zjednoczone A. P.: (Waschington D. C. 2640,16 — th Street N. W.) — Ambasador: Tytus Filipowicz
Turcja: (Ankara, Kavakli Dere) — Ambasador: Kazimierz Olszowski
Włochy: (Roma 43 via Ventiquatromaggio Palazzo Rospigliosi) — Ambasador: Stefan Przeździecki

Poselstwa:

Argentyna (Buenos Aires, Calle Rodriges U. S. Pena 2012)
Austrja (Wien IV. Argentinierstrasse 25/27)
Belgja (Bruxelles 29 Avenue de Gaulois)
Brazylja (Rio de Janeiro, Praia de Botafogo 246)
Bułgarja (Sofia Patriarch Effimi 35)
Chiny (Shanghaj 1066 Avenue Joffre)
Czechosłowacja (Praha Staromestke Namestni, Palais Kirsky)
Danja (Copenhague, Frederiksgade 17)
Egipt (Le Cair, 3. Rue Amir Tousoun) Zamalek
Estonja (Tallinn, Kohtu tanaw 10.
Finlandja (Helsingfors, Satamakatu 5)
Grecja (Athenes 3, Place Mavrocordato, maison de Baltazzie)
Hiszpanja (Madrit Zurbano 21)
Holandja (Pays-Bas. La Haye, Prinaessegracht 9)
Japonja (Tokio 55, Zaimkucho, Azabu-ku)
Jugosławja (Belgrade Krunska 52)
Łotwa (Riga, Elisabethes iela 41/43 dz. 8)
Meksyk (Mexico D. F. Avenida Oaxaka 15)
Niemcy (Berlin Kurfurstenstrasse 136)
Norwegja (Oslo, Jesefinegate 18)
Persja (Teheran, Parc Amin et Dowleh Darvase Chimran)
Rumunja (Bucarest, Alea Alexandra 23, pars Filipesco)
Szwajcarja (Berne Elfenstrasse 20)
Szwecja (Stockholm, Floragatan 2)
Węgry (Budapest I. Orszaghazutca 13)
Rosja (Moskwa Povarskaja 21)
Delegacja Rzpltej przy Lidze Narodów: Geneve 4, Rue Munier Romilly.

POLSKIE URZĘDY KONSULARNE:

Argentyna — Buenos-Aires, Wydział konsularny przy poselstwie
Austrja — Wiedeń, Konsułat
Australja — Sydney, Konsulat honorowy
Afryka Południowa — Kapsztad, Konsulat honorowy
Belgja — Bruksela, Konsulat honorowy
Antwerpja — Konsula II. klasy

Brazylja — Rio de Janeiro, Wydział konsularny przy poselstwie
Kurytyba — Konsulat II. klasy
Sao Paulo — Konsulat
Bułgarja — Sofja, Wydział konsularny przy poselstwie
Warna — Konsulat honorowy
Chile — Santiago de Chile, Konsulat honorowy
Chiny — Mandżurja, Charbin, Konsulat
Czechosłowacja — Praga, Konsulat I. kl. (Czechosłowacja z wyjątkiem okręgów konsulatów w Bratislavie, Koszycach, Morawskiej Ostrawie i Użhorodzie).
Bratislava — Konsulat II. kl. Okrąg: Słowaczyzna z wyjątkiem Żupy Koszyckiej
Morawska Ostrawa — Konsulat I. kl. Okrąg: Żupy Morawska Ostrawa, Ołomuniec i Węgierskie Hradyszcze, żupy hlawska i berneńska
Użhorod — Wicekonsulat. Okrąg: Ruś przykarpacka
Danja — Kopenhaga, Wydział konsularny
Aalborg — Konsulat honorowy
Aarhus — Konsulat honorowy
Haderslev — Konsulat honorowy
Hasle a Bornholm — Wicekonsulat honor.
Odense — Konsulat honorowy
Rejkjawik — Konsulat honorowy
Egipt — Kair, Wydział konsularny przy poselstwie
Estonja — Tallinn, Wydział konsularny przy poselstwie
Finlandja — Helsingfors, Wydział konsularny przy poselstwie
Francja — Paryż, Konsulat generalny
Alger — Konsulat honorowy
Casablanca — Konsulat honorowy
Bordeaux — Konsulat honorowy
Le Havre — Konsulat honorowy
Lille — Konsulat generalny
Lyon — Konsulat II. kl.
Marsylja — Konsulat II. kl.
Nicea — Konsulat honorowy
Strassburg — Konsulat II. kl.
Tuluza — Konsulat II. kl.
Grecja — Ateny, Wydział konsularny przy poselstwie
Saloniki — Konsulat honorowy
Hiszpanja — Madryt, Wydział konsularny przy poselstwie
Barcelona — Konsulat honorowy
Holandja — Rotterdam, Konsulat I. kl.
Amsterdam — Konsulat I. kl.
Dordrecht — Konsulat honorowy
Heerlen — Konsulat honorowy
Indje Holenderskie — Batawja, Konsulat honorowy
Imperjum Brytyjskie — Londyn, Konsulat generalny
Irlandja — Dublin, Konsulat honorowy
Japonja — Tokio, Wydział konsularny przy poselstwie
Osaka — Konsulat honorowy
Kanada — Montreal, Konsulat generalny
Winnipeg — Konsulat
Jugosławja — Belgrad, Wydział konsularny przy poselstwie
Zagrzeb — Konsulat generalny
Banja Luka — Konsulat honorowy
Luxemburg — Luksemburg, Konsulat honorowy
Łotwa — Ryga, Konsulat II. kl.
Dyneburg — Konsulat I. kl.
Księstwo Monaco — Monaco, Konsulat honorowy
Niemcy — Berlin, Konsulat generalny
Opole — Konsulat generalny
Ełk — Wicekonsulat II. kl.
Essen — Konsulat I. kl.
Hamburg — Konsulat I. kl.
Frankfurt — Konsulat I. kl.
Królewiec — Konsulat generalny
Kwidzyń — Konsulat generalny
Lipsk — Konsulat II. kl.
Monachjum — Konsulat generalny I. kl.
Olsztyn — Konsulat II. kl.
Piła — Konsulat II. kl.
Szczecin — Konsulat II. kl.
Wrocław — Konsulat II. kl.
Norwegja — Oslo, Konsulat honorowy
Tonsberg — Konsulat honorowy
Bergen — Konsulat honorowy
Stavanger — Konsulat honorowy
Palestyna — Jerozolima, Konsulat gener.
Paragwaj — Asuncion, Konsulat honorowy
Portugalja — Lizbona, Konsulat honorowy
Porto — Konsulat honorowy
Peru — Lima, Konsulat honorowy
Rumunja — Bukareszt, Konsulat II. kl.
Czerniowce — Konsul II. kl.
Kiszyniów — Konsulat II. kl.
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej
Chicago — Konsulat generalny
Buffalo — Konsulat II. kl.
Detroit — Konsulat II. kl.
Nowy York — Konsulat generalny
Pittsburg — Konsulat II. kl.

Szwajcarja — Bern, Wydział konsularny przy poselstwie
Zurych — Konsulat II. kl.
Szwecja — Sztokholm, Wydział konsularny przy poselstwie
Malmö — Konsulat honorowy
Göteborg — Konsulat honorowy
Turcja — Stambuł, Konsulat generalny
Urugwaj — Montevideo, Konsulat honor.
Węgry — Budapeszt, Konsulat II. kl.
Włochy — Rzym, Konsulat generalny
Florencja — Konsulat honorowy
Medjolan — Konsulat generalny
Katanja — Konsulat honorowy
Triest — Konsulat II. kl.
Rosja — Moskwa, Konsulat generalny
Charków — Konsulat generalny
Kijów — Konsulat I. kl.
Leningrad — Konsulat I. kl.
Mińsk — Konsulat generalny
Tyflis — Konsulat generalny.

KORPUS DYPLOMATYCZNY OBCY W POLSCE:

Ambasady i Poselstwa

Argentyna,	Poselstwo,	kancelarja Żabia 4
Austrja	„	Koszykowa 11
Belgja	„	Aleje Ujazd. 23
Brazylja	„	Hotel Europejski
Bułgarja	„	Aleje Ujazd. 39
Chile	„	Aleje Ujazd. 9 a.
Czechosłowacja	„	Koszykowa 18
Danja	„	Koszykowa 8
Egipt	„	
Estonja	„	Aleje Ujazd. 19—4
Finlandja	„	Plac Napoleona 3
Grecja	Poselstwo	Marszałk. 48—5
Hiszpanja	„	Szopena 8—3
Holandja	„	Czackiego 9—8
Japonja	„	Foksal 10
Jugosławja	„	Al. Ujazdowska 33
Łotwa	„	Szkolna 6
Meksyk	„	Hotel Bristol
Niemcy	„	Piękna 17
Norwegja	„	Foksal 3
Portugalja	„	Foksal 14
Rumunja	„	Mokotowska 51—3

Francja, Ambasada, Alela Róż 2
Stolica Apostolska, Nuncjatura apostolska Aleja Szucha 12
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Ambasador Nadzwyczajny i pełnomocny Krakowskie Przedmieście 15

Szwajcarja,	Poselstwo,	Smolna 25
Szwecja	„ „	Królewska 3
Turcja,	Ambasada,	Szopena 2 a.
Urugwaj,	Poselstwo	
Anglja,	Ambasada,	Nowy Świat 18
Węgry,	Poselstwo,	Mokotowska 48
Włochy,	Ambasada,	Pl. Dąbrowskiego
Rosja,	Poselstwo,	Poznańska 15

MINISTERSTWO SPRAW WOJSKOWYCH — (Nowowiejska 1—5)

Zwierzchnik sił zbrojnych: Prezydent Rzeczypospolitej
Minister: I. Marszałek Polski, Józef Piłsudski

INSPEKTORATY:

Generalny inspektorat Sił Zbrojnych (Aleja Ujazdowska 1—3—5)
Generalny Inspektor Sił Zbrojnych Minister Spraw Wojskowych, Marszałek Polski Józef Piłsudski

SZTAB GŁOWNY — Plac Saski 3

DOWÓDZTWA OKRĘGÓW KORPUSÓW

Nr. I — Warszawa — gen. bryg. Czesław Jarnuszkiewicz
Nr. II — Lublin — gen. bryg. Jerzy Dobrodzicki
Nr. III — Grodno — gen. bryg. Aleksander Litwinowicz
Nr. IV — Łódź — gen. bryg. Stanisław Małachowski

Nr. V — Kraków — gen. bryg. Aleksander Narbutt-Łuczyński
Nr. VI — Lwów — gen. bryg. Bolesław Popowicz
Nr. VII — Poznań — gen. dyw. Kazimierz Dzierżanowski
Nr. VIII — Toruń — gen. bryg. Stefan Wiktor Pasławski
Nr. IX — Brześć n/B. — gen bryg. Mieczysław Trojanowski
Nr. X — Przemyśl — gen. bryg. St. Zosik-Tessaro

KORPUS OCHRONY POGRANICZA

Warszawa, ul. Nowy Świat 69. Dowódca: gen. brygady Jan Kruszewski

MARYNARKA WOJENNA

Kierownictwo: Warszawa, ul. Chałubińskiego 3

SZKOŁY MARYNARKI WOJENNEJ

Szkoła podchorążych marynarki wojennej w Toruniu. Kom.: komandor-porucznik Karol Korydowski
Morski dywizjon lotniczy w Pucku: dowódca kom. por. pilot obs. Karol Trzasko-Durski
Dyon szkolny (specjalistów morskich) na O. R. P. „Bałtyk". Dow.: kom.-por. Włodzimierz Bruno Steyr

MINISTERSTWO SKARBU — (Rymarska 3—5)

Minister: Wł. Z a w a d z k i

BANKI PUBLICZNE — (Centrale w Warszawie)

Bank Polski: Bielańska 10—12
Bank Gospodarstwa Krajowego: Al. Jerozolimska
Państwowy Bank Rolny: Nowogrodzka 50
Pocztowa Kasa Oszczędności: Jasna 9
Państwowy Urząd Kontroli Ubezpieczeń: Kopernika 310—17
Komenda Straży Granicznej: Leszno 5
Generalna Dyrekcja Polsk. Monopolu Tytoniowego: Nowy Świat 4
Generalna Dyrekcja Loterji Państwowej: Nalewki 2
Dyrekcja Państwowego Monopolu Spirytusowego: Leszno 1
Państwowe Zakłady Graficzne: Markowska 18, tel.
Mennica Państwowa: Ząbkowska 27/31
Urząd Pożyczek Państwowych: Senatorska 29
Biuro Sprzedaży Soli: Moniuszki 3

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI — (Warszawa ul. Długa 7)

Minister: M i c h a ł o w s k i C z e s ł a w

SĄD NAJWYŻSZY — (Plac Krasińskich 5)

SĄDY APELACYJNE I OKRĘGOWE

I. OKRĄG APELACYJNY KATOWICE

Sąd Okręgowy w Cieszynie
„ „ „ Katowicach

II. OKRĄG APELACYJNY KRAKÓW

Sąd Apelacyjny w Krakowie
„ Okręgowy „ Jaśle
„ „ „ Krakowie
„ „ „ Nowym-Sączu
Sąd Okręgowy w Rzeszowie
„ „ „ Tarnowie
„ „ „ Wadowicach

III. OKRĄG APELACYJNY LUBLIN

Sąd Okręgowy w Kielcach
„ „ „ Lublinie
„ „ „ Łucku
Sąd Okręgowy w Radomiu
„ „ „ Równem
„ „ „ Zamościu

IV. OKRĄG APELACYJNY LWÓW

Sąd Okręgowy w Brzeżanach
„ „ „ Czortkowie
„ „ „ Kołomyi
„ „ „ Lwowie
„ „ „ Przemyślu
„ „ „ Samborze

Sąd Okręgowy w Sanoku
„ „ „ Stanisławowie
„ „ „ Stryju
„ „ „ Tarnopolu
„ „ „ Złoczowie

V. OKRĄG APELACYJNY POZNAŃ

Sąd Okręgowy w Bydgoszczy
„ „ „ Gnieźnie
„ „ „ Lesznie

Sąd Okręgowy w Ostrowie Pozn.
„ „ „ Poznaniu

VI. OKRĄG APELACYJNY TORUŃ

Sąd Okręgowy w Chojnicach
„ „ „ Grudziądzu

Sąd Okręgowy w Starogardzie
„ „ „ Toruniu

VII. OKRĄG APELACYJNY WARSZAWA

Wydział zamiejscowy S. O. w Siedlcach z siedzibą w Białej Podlaskiej

Sąd Okręgowy w Białymstoku
„ „ „ Kaliszu

Sąd Okręgowy w Łodzi
„ „ „ Łomży

Wydział zamiejscowy S. O. w Mławie z siedzibą w Płocku

Sąd Okręgowy w Piotrkowie
„ „ „ Płocku
„ „ „ Siedlcach
„ „ „ Sosnowcu

Sąd Okręgowy w Suwałkach
„ „ „ Warszawie
„ „ „ Włocławku

VIII. OKRĄG APELACYJNY WILNO

Sąd Okręgowy w Grodnie
„ „ „ Nowogródku

Sąd Okręgowy w Pińsku
„ „ „ Wilnie

TRYBUNAŁ STANU

NAJWYŻSZY TRYBUNAŁ ADMINISTRACYJNY — (Miodowa 2)

TRYBUNAŁ KOMPETENCYJNY

(Podległe Ministerstwu Sprawiedliwości):

PROKURATORJA GENERALNA RZPLTEJ — (Kopernika 36/40)

MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBL. — (Al. Szucha 25)

Minister: Janusz Jędrzejewicz

WYŻSZE UCZELNIE:

Uniwersytet Warszawski
Uniwersytet Jagielloński
Uniwersytet Jana Kazimierza (Lwów)
Uniwersytet Poznański
Uniwersytet Stefana Batorego (Wilno)
Katolicki Uniwersytet Lubelski
Politechnika warszawska
Politechnika lwowska
Akademja Górnicza w Krakowie
Akademja Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie
Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie (Hoża 74)
Akademja Sztuk Pięknych w Krakowie
Państwowy Instytut Dentystyczny w Warszawie (Marszałkowska 151)
Wolna Wszechnica Polska Warszawa Śniadeckich 8
Szkoła Nauk Politycznych w Warszawie ul. Mikołaja Reja
Wyższa Szkoła Handlowa w Warszawie Rakowiecka 6
Wyższa Szkoła Handlowa w Poznaniu Al. Marcinkowskiego 3
Wyższa Szkoła Handlu zagranicznego we Lwowie ul. Boularda 5

Wyższe Studjum Handlowe w Krakowie Sienkiewicza 4

Wyższa Szkoła Instytutu Badań Naukowych Europy Wschodniej w Wilnie

Szkoła nauk Politycznych w Krakowie

Wyższa Szkoła Dziennikarska w Warszawie.

KURATORJA

Kuratorjum krakowskie: Kraków, ul. Wielopole. P. K. O. Kurator: dr. Ernest Nowicki

Kuratorjum lubelskie: Lublin, ul. 3-go Maja 6, kurator: p. o. Stefan Bugajski

Kuratorjum lwowskie: Lwów, ul. Karmelickt 4, kurator: p. o. Stefan Świderski

Kuratorjum łódzkie: Łódź, ul. Piotrkowska 104, kurator: Jerzy Gadomski.

Kuratorjum poleskie: Brześć n/B., ul. Berbeckiego 8, kurator: Stefan Pogorzelski

Kuratorjum pomorskie: Toruń, ul. Sienkiewicza 44, kurator: dr. Michał Pollak

Kuratorjum poznańskie: Poznań, ul. Towarowa 23, kurator: dr. Joachim Namysł

Wydział Oświecenia przy województwie śląskiem: Katowice, ul. Wojewódzka, naczelnik Wydziału: dr. LudwikRęgorowicz

Kuratorjum warszawskie: Warszawa, Bagatela 12, kurator: Ignacy Pytlakowski

Kuratorjum wileńskie: Wilno, Wolana 10, kurator: dr. Kazimierz Szelągowski

Kuratorjum wołyńskie: Równe, kurator: Jan Firewicz

Liceum Krzemienieckie: Krzemieniec, wizytator: Juljusz Poniatowski

WŁADZE DUCHOWNE:

Kościół Rzymsko-Katolicki — Duchowieństwo obrządku łacińskiego

PROWINCJA GNIEŹN.-POZNAŃSKA:

Arcybiskup gniezn.-poznański — J. Em. ks. Augustyn Kard. Hlond Prymas Polski.

Sufragan gnieź: J. E. ks. Antoni Laubitz.

Sufragan poz.: J. E. ks. Walenty Dymek.

Biskup chełm.: J. E. ks. Stanisław Wojciech Okoniewski.

Sufragan J. E. ks. Konstantyn Dominik.

Biskup wroc. J. E. Karol Mieczysław Radoński.

Biskup-sufragan włoc. J. E. ks. Wojciech Owczarek

PROWINCJA WARSZAWSKA.

Arcybiskup Metropolita warszawski J. Em. ks. Kardynał Aleksander Kakowski.

Sufragan Warszawski: J. E. ks. Stanisław Gall biskup polowy w. p.

Sufragan warszawski: J. E. ks. Antoni Szlagowski.

Biskup płocki: J. E. ks. Antoni Nowowiejski

Sufragan płocki: J. E. ks. Leon Wetmański.

Biskup Sandomierski: J. E. ks. Włodzimierz Jasiński.

Biskup-sufragan sandomierski: J. E. ks. Paweł Kubicki.

Biskup lubelski: J. E. ks. Marjan Leon Fulman.

Biskup-sufragan: lubelski J. E. ks. Adolf Jełowicki.

Biskup podlaski: J. E. ks. Henryk Przezdziecki.

Biskup-sufragan podlaski: J. E. ks. Czesław Sokołowski.

Biskup łódzki: J. E. ks. Wincenty Tymieniecki.

Biskup-sufragan łódzki: J. E. ks. Kazimierz Tomczak.

PROWINCJA WILEŃSKA.

Arcybiskup Metropolita wileński: J. E. ks. Romuald Jałbrzykowski.

Biskup sufragan wileński J. E. ks. Kazimierz Mikołaj Michalkiewicz.

Biskup łomżyński: J. E. ks. Stanisław Łukomski.

Sufragan łomżyński: J. E. ks. Edward Dembek.

Biskup piński: J. E. ks. Kazimierz Bukraba.

PROWINCJA LWOWSKA.

Arcybiskup Metropolita lwowski: J. E. ks. Bolesław Twardowski.

Biskup Sufragan lwowski: J. E. ks. Franciszek Lisowski.
Biskup przemyski: J. E. ks. Anatol Nowak.
Biskup sufragan przemyski: J. E. ks. Franciszek Barda.
Biskup łucki: J. E. ks. Adolf Szelążek.
Biskup-sufragan łucki: J. E. ks. Stefan Walczykiewicz.

PROWINCJA KRAKOWSKA.

Książę Arcybiskup Metropolita krakowski: J. E. ks. Adam Stefan Sapieha.
Biskup-sufragan krakowski: J. E. ks. Stanisław Rospond.
Biskup tarnowski: J. E. ks. Leon Wałęga.
Biskup-sufragan tarnowski: J. E. ks. Edward Komar.
Biskup kielecki: J. E. ks. Augustyn Łosiński.
Biskup częstochowski: J. E. ks. Teodor Kubina.
Biskup śląski: J. E. ks. Stanisław Adamski.

BISKUPI REZYDUJĄCY W POLSCE, A NIE POSIADAJĄCY DIECEZJI NA TERENIE RZPLTEJ POLSKIEJ:

J. E. ks. Edward Ropp, arcybiskup Metropolita mohylewski przebywa w Warszawie.

J. E. ks. Piotr Mańkowski, arcyb. tyt. Enosu (przedtem ordynarjusz w Kamieńcu podolskim 1918—1926) przebywa w Włodzimierzu Wołyńskim.

J. E. ks. Michał Godlewski, bp. tyt. Egejski, jako prof. historji Kościoła na Uniw. Jagiell. w Krakowie.

BISKUPI POLSCY NA OBCZYŹNIE:

U. S. A. w diecezji Green Bay: Paweł Rhode.
U. S. A. biskup-sufragan Detroit: Józef Plangens.
W Niemczech: ks. biskup Walenty Wojciech, sufr. wrocławski.

KOŚCIÓŁ EWANGIELICKO-AUGSBURGSKI:
Konsystorz Warszawa Al. Ujazdowskie 37.

KOŚCIÓŁ EWANGELICKO-REFORMOWANY:
Konsystorz Ew. Ref. warszawski Al. Ujazdowskie 37.

KOŚCIÓŁ EWANGELICKO-REFORMOWANY WILEŃSKI:
Konsystorz Wilno ul. Zawalna 11.

KOŚCIÓŁ AUGSB. I HELWECKIEGO WYZNANIA:
Wydział superitendentalny kościoła ugsburskiego i helweckiego wyznania w Stanisławowie.

MINISTERSTWO ROLNICTWA:

Pałac Prymasowski, Senatorska 15, minister: Seweryn Dudkiewicz

(Podległe Ministerstwu Rolnictwa):

PAŃSTWOWY INSTYTUT METEOROLOGICZNY: Nowy Świat.

OKRĘGOWE URZĘDY ZIEMSKIE:

Warszawa (Filtrowa 57) — prezes: dr. inż. Rosłoniec Stanisław.
Białystok (Rynek Kościuszki 3) — prezes: Kiedrzyński Marjan.
Brześć n/B (Zygmuntowska 78) — prezes: inż. Boyko Wojciech.
Grodno (Orzeszkowej 17) — prezes: Uszacki Mikołaj.

Grudziądz (Ogrodowa 31) — prezes: inż. Strzeszewski Adam.

Katowice (Mickiewicza 3) — prezez: Bulanda Józef.

Kielce (Wesoła 44) — prezes: Sosnowski Bolesław.

Kraków (Zacisze 5—7) — prezes: Krzyżanowski Wiktor.

Lublin (Zgoda — gmach własny) — prezes: Janiszewski Henryk.

Lwów (Karmelicka 2) — prezes: p. o. Młodzianowski Bolesław.

Łuck (Cmentarna) — prezes: Czarnocki Bogdan.

Piotrków (Piłsudskiego 77) — prezes: inż. Rychłowski Henryk.

Poznań (Fredry 10) — prezes: Okołowicz Alfred.

Stanisławów (Sobieskiego 11) — prezes: Chamiec Józef.

Tarnopol (Tarnowskiego) — prezes: Maciszewski Wacław.

Wilno (W. Pohulanka 24) — prezes: inż. Łączyński Stanisław.

MINISTERSTWO PRZEMYSŁU I HANDLU:

Elektoralna 2. Minister Ferdynand Zarzycki.

(Podległe Ministerstwu Przem. i Handlu):

Urząd patentowy: Elektoralna 2.

Państwowy Instytut Geologiczny: Nowy Świat 72.

Główny Urząd Miar: Elektoralna 2.

Państwowy Instytut Eksportowy: Elektoralna 2.

Instytut Badania Konjunktur Gospodarczych i Cen: Elektoralna 2, tel. 638-21.

Warszawski Urząd Probierczy: Złota 22.

WYŻSZE URZĘDY GÓRNICZE:

Warszawa (Elektoralna 2) — dyrektor: inż. Dąbkowski Antoni. Podległe Okręgowe Urzędy Górnicze: w Dąbrowie, Częstochowie, Radomiu, Warszawie.

Kraków (Karmelicka 38) — dyrektor: inż. dr. Meyer Antoni. Podległe Okręgowe Urzędy Górnicze: w Drohobyczu, Jaśle, Krakowie, Stanisławowie.

Katowice (Mickiewicza 3) — dyrektor: inż. Malawski Zygmunt. Podległe Okręgowe Urzędy Górnicze: w Katowicach, Królewskiej Hucie, Rybniku, Tarnowskich Górach.

MINISTERSTWO KOMUNIKACJI.

Nowy świat 14. Minister: M. Butkiewicz.

DYREKCJE KOLEI ŻELAZNYCH:

Warszawska, Praga ul. Targowa.
Radomska
Wileńska
Poznańska
Gdańska
Katowicka
Krakowska
Lwowska
Stanisławowska

DYREKCJE DRÓG WODNYCH.

Krakowska (Rynek Gł.), dyr.: inż. Czerwiński Jan.

W obrębie Dyrekcji 3 Zarządy dróg wodnych: Kraków, Tarnów, Sandomierz.

Warszawska (Jasna 10), dyrektor: inż. Rodowicz Kazimierz.

5 Zarządów dróg wodnych: Warszawa, Puławy, Płock, Wyszków, Pułtusk.

Toruńska (Bydgoska 22), dyr.: inż. Born Artur.

3 Zarządy dróg wodnych: Toruń, Chełmno, Tczew.

Wileńska (Bernardyński Zaułek 8), dyr: inż. Bosiacki.

8 Zarządów dróg wodnych: Wilno, Grodno, Słonim, Pińsk, Łuck, Brześć n/B., Telechany, Augustów.

MINISTERSTWO OPIEKI SPOŁECZNEJ:

ul. Długa 38/40. — minister Stefan Hubicki

(Podległe Ministerstwu Opieki Społ.)

Urząd Emigracyjny: Królewska 23.
Główny Urząd Ubezpieczeń: Podwale 3.
Główny Inspektorat Pracy: Pl. Dąbrowskiego 1.

MINISTERSTWO POCZT I TELEGRAFÓW:

Pl. Napoleona 8. — minister Ignacy Boerner

DYREKCJE POCZT I TELEGRAFÓW.

Bydgoska: — prezes: Maciejewski Sylwester.
Katowicka: — prezes: inż. Kazubek Włodzimierz.
Krakowska: — prezes: inż. Gostwicki Juljan.
Lubelska: — prezes: Musiał Franciszek.
Lwowska: — prezes: Moszoro Dominik.
Poznańska: — prezes: Kaźmierski Władysław.
Warszawska: — prezes: Żułtowski Józef.
Wileńska: — prezes: inż. Żuchowicz Karol.
W Gdańsku: — prezes: p. o. Dziekan Tadeusz.





Echa leśne

...Wypłynął z zasłon leśnych olbrzymi, czerwony księżyc i wolno szedł wśród ciemnych obłoków. Towarzystwo zebrane przy ognisku zamilkło. Chłód powiał. Mój wierzchowiec (siwa szkapa folwarczna, jasnokoścista półemerytka, której po przyjeździe na wakacje obciąłem był ogon i grzywę, którą torturowałem popręgami starej kulbaki i zmuszałem do zabójczych galopów), stał w pobliżu ogniska. Widać było poczciwy łeb i przednie łopatki, kopyta na emeryturze, a nadewszystko oczy, przedziwnie rozmyślające o płonącem ognisku i o nas, ludziach tam zebranych...

Generał oddawna postawił szklankę na tacy i siedział wyprostowany, z nogą zgrabnie odstawioną, a piersią wysuniętą. Czasami oglądał się na las. Słuchał, jak echa grają, i znowu ustawiał głowę we właściwej formie.

Rzekł, zwracając się do Guńkiewicza:

— Panie podleśny, a jak daleko z tego oto miejsca do Suchedniowa?

Guńkiewicz postawił szklankę i z należytem pochyleniem zamaskowanej łysiny oświadczył, że na prostaki nie będzie dziesięciu wiorst.

— A pan tu drogi wszystkie zna?

Guńkiewicz uśmiechnął się z dumą, czy politowaniem. Nie znajdował słowa zbyt dosadnego na wyrażenie swej znajomości tamtejszych wertepów: od lat dwudziestu kilku był podleśnym.

— Tak... — bąknął generał w zamyśleniu. — A pan taką drogę zna: od Zagnańska ku Wzdołowi? Była tam przy tej drodze karczma w szczerym lesie...

— Zagoździe — jakże! Stoi.

— Jedna korzenista droga szła stamtąd w kierunku Suchedniowa, a druga, lepsza na Wzdół, na Bodzentyn.

— Tak jest, panie generale.

— Więc karczma, pan mówisz, stoi?

— Stoi. Najgłówniejsza złodziejska przystań i ucieczka. Z całej korony polskiej koniokrady tam się właśnie schodzą.

— Przed tą karczmą, za drogą, po drugiej stronie był wydmuch piasku. Duży, żółty... Na tym wydmuchu rosło kilka brzóz...

— A to generał pamięta doskonale! Z tych tam brzóz tylko jedna została. A były już brzozy — ba — ba! Karczmarz łajdak je wyciął. Jedna z tych brzóz została i to dlatego, że o nią krzyż oparty. Już, szelma, tej tknąć nie śmiał.

— Co za krzyż? Skąd tam krzyż? — żywo spytał Rozłucki.

— A tam krzyż stoi... w tem miejscu...

— Z jakiej racji krzyż w tem miejscu — a?

— Jak to krzyż, panie generale... Ludzie postawią, drudzy czapki uchylają — i tak se ta stoi... Już też i spróchniał od dołu, podparło go się tam z boku dwoma „pasierbami“...

— Kto postawił? — nalegał generał.

— Prawdę powiedziawszy... — mruknął niewyraźnie Guńkiewicz, uśmiechając się nieśmiało, — prawdę powiedziawszy, to ja ten krzyż postawiłem... Drzewa tu mamy wbród. Wzięło się jodłę zdrową, jędrną, wystałą. Obrobił ją do kantu, a nawet tu obecny cieśla, a nasz teraz pan wójt...

— E, niema ta o czem, co ta... — opędzał się niechętnie wójt Gała.

— Wpuściło się drzewo w ten piach głęboko, głęboko...

— A dlaczegóż w tem właśnie miejscu?

— Dlatego, proszę łaski pana generała, że w tem miejscu leży człowiek pochowany, tam w tej wydmie.

— Człowiek pochowany... — powtórzył generał. — A pan tego człowieka znałeś może, co?

— A no... Juścić go znałem, bo na takiem leśnictwie, jak moje, trudno było nie znać... Lasy wokolusieńko milami. Kto już w te lasy wlazł, to mojego węgła, a nawet mojego łóżka pewno nie ominął.

Generał zwiesił głowę i przez czas dość długi siedział w milczeniu. Wyjął wreszcie z bocznej kieszeni srebrną papierośnicę, otworzył ją niepewnemi palcami.

— A wiesz pan, — mówił z zimnym uśmiechem, — że ów człowiek, co tam pochowany leży, to mój rodzony bratanek...

Geometra Knopf, który dotąd siedział bez ruchu, zapatrzony w płomień ogniska z takiem zacięciem ust, jakby miał przed sobą coś obmierzłego, rzucił na generała gwałtowne spojrzenie:

— Rymwid?! — zawołał.

Generał zwrócił się ku niemu:

— To właśnie... Rymwid... A i pan coś o nim wiesz...

Knopf wykonał ustami szereg wykrzywień, jakby przed chwilą pił czysty sok cytrynowy, kiwał chudą ręką w rozmaitych kierunkach, mrugał białemi powiekami. Wreszcie wśród najnieznośniejszych dla oka, a obłudnych uśmiechów, mruknął:

— No tak... Rymwid... Rozumie się...

— Rymwid! — powtórzył generał z zaciekłością i szyderstwem. — On, porucznik mojego pułku — Rymwid! „Kapitan“! No i doigrał się...

— Więc to rodzony bratanek... — z trwogą szeptał Guńkiewicz, wybałuszając ogłupiałe oczy.

— Rodzonego brata drugi z rzędu syn, Jan — mówił generał w zadumie. — Brat mój w sewastopolskiej wojnie pod Małachowym Kurhanem sławnie zginął. Generał major, mikołajewskich czasów człowiek. Za węgierską kampanję nagrodzony stopniem, orderami, majątkiem w penzeńskiej gubernji. Na polu bitwy umierając, mnie tych dwóch synów swoich polecił. Jam mu braterskie i żołnierskie słowo dał, że ich na ludzi wychowam, w świat wyprowadzę. No i dochowałem słowa. I dochowałem... Starszy na Kaukazie służył i tam z cholery umarł w randze sztabskapitana. Piotr, bezżenny. Młodszy, Jan, przy mnie w pułku służył po skończeniu korpusu. Ożenił się młodo z Polką, Płazianką, synka małego miał, kiedy to podłe powstanie przyszło. Przyszło to podłe powstanie, moi panowie, odkomenderowali... Ja wtedy byłem w randze podpułkownika. Poszliśmy w opoczyńskie.

Generał zamyślił się głęboko. Knopf skręcił w palcach misternie równego papierosa, wsunął go ostrożnie do cygarniczki i szukał pracowicie węgielka, od którego mógłby zapalić. Generał czekał, zdawało się, na chwilę, kiedy nareszcie zapali, a gdy Knopf zaciągnął się dymem, rzekł:

— No tak. Ten mój bratanek zdradził. Tylko co rozlokowaliśmy się na leżach, uszedł nocą do bandy. Rano jednego dnia raportuje mi kapitan Szczukin, że tak i tak: Jana niema. W kwaterze, gdzieśmy stali, w Sielpi, znaleziono kartę na stole z zawiadomieniem mnie, jako dowódcy naówczas trzech bataljonów, „że wierny obowiązkowi dla swej ojczyzny” — i tym podobne brednie. Mnie, swego przełożonego i stryja, wzywa, żebym także splamił swój oficerski honor, złamał przysięgę i uciekał za nim do bandy, do lasu. Tak to, moi panowie.

Knopf ćmił swego papierosa uważnie, powoli. Puszczał matematycznie dokładne kółka dymu i śledził je oczyma. Guńkiewicz nie chciał już pić herbaty. Siedział oszołomiony, patrząc w mówcę jak w tęczę...

— Doszły mię wieści, — ciągnął generał, — że nasz uciekinier jest szefem sztabu w jednej z band. No, dobrze... Poto, — mówi do mnie kapitan Szczukin, dowódca roty, pod którym mój bratanek służył, — poto poszedł. W wojsku służba twarda, ciężka, niewdzięczna, a w bandach służba lżejsza. Tam nasz praporszczyk byłby bez trudu i zachodu kapitanem... O co, jak o co, mówi, ale o awans w tych wojskach polskich nietrudno.

Knopf skończył swego papierosa i śmiał się z dowcipu kapitana Szczukina. Generał mówił:

— Szliśmy wciąż obławami to za taką partją, to za inną. Co wyjdziem od Końskich w Suchedniowskie lasy, to oni ujdą w głąb, ku Bodzentynowi. My się wrócimy, to ci za nami. Jeden szczególniej wódz, pułkownik czy kapitan, nazwiskiem „Walter", najbardziej nas zwodził. Palił nocą szerokie ogniska, niby to obóz, a sam usuwał się od takiego miejsca dosyć daleko i nocował bez ognia. My ciągniemy obławą, otaczamy cichaczem owe ognie dalekie, napadamy wreszcie nocą — pustka. A on tymczasem na uczyniony hałas podchodzi, jak rabuś, strzela w naszych żołnierzy, pod blask ognisk i umyka w knieję. Miał i chłopów zbałamuconych, którzy nas nocą prowadzili na te fałszywe obozy.

Pisarz spojrzał na wójta Gałę z podełba i uśmiechnął się niezdrowym śmiechem. Wójt siedział wyprostowany, z oczami wlepionemi w generała.

— Tak było wielekroć w Samsonowskiem...

— Pod Gozdem... — dorzucił Guńkiewicz.

— A i pod Gozdem...

— Pod Klonowem... — mruknął Knopf.

— Ale przerwała się zabawa, — wtrącił generał. — Na raz, na dwa, na trzy wreście się sztuka uda, ale nie na zawsze. Zdarzyło się, że szedłem ja na czele kilku rot od Zagnańska ku Wzdołowi, — ot tą drogą na karczmę. Zanocowałem w karczmie, a Szczukina posłałem z rotą na p o i s k i tego Waltera. Do bitwy gałgan nie idzie, leży tygodniami w bagnie koło Klonowa, w Bukowej górze, — musimy go szukać. Ledwiem tej nocy zasnął, budzi mnie adjutant, młody człowiek: strzały gęste w lasach. Ocknąłem się. Las rzeczywiście huczy... Ot, jak teraz. Żal... Serce boli. Posłałem ja drugą rotę na wsparcie Szczukinowi. Nie upłynęło więcej nad dwie godziny, nadciągnęli. Wprowadził ich chłop na obozowisko, ale już teraz prawdziwe. Kiedy ich ogarnięto i uderzono bagnetem, większość wybiła się i pierzchła w las, sporo zginęło na miejscu. Szczukin przypro-

wadził wziętego w rukopasznom boju, krótko mówiąc, nie kogo innego, tylko mego bratanka, „Rymwida".

Miałem ja rozkaz nieodwołalny od mego Generała brygady lasy aż po Bodzentyn oczyścić za wszelką cenę, — z prawem życia i śmierci. Nie było czasu na wysłanie jeńców do więzienia w Kielcach, a i siły miałem szczupłe. Oficerowie wzburzeni. We mnie jako w krewnego, surowym, pytającym wzrokiem patrzą. Kazałem złożyć sąd polowy i to natychmiast, bo trzeba było bandę ścigać bez zwłoki. Ja prezydujący, kapitan Szczukin i kapitan Fiedotow z prawej strony, porucznik von Tauwetter i feldfebel Jewsiejenko — z lewej



Bieszczady

strony. Zasiedliśmy natychmiast w wielkiej izbie tej karczmy. Łojowa świeca paliła się w lichtarzu. Generał mówił coraz szybciej, niezrozumialej, coraz częściej wtrącał rosyjskie wyrazy, zwroty, zdania. Poprawił się na krześle i ciągnął:

— Przyprowadzili. Sześciu żołnierzy, on w środku. Mały, wychudły, czarny oborwaniec. Włosy wzjeroszeny. Ledwie poznać. Spojrzę ja na niego: Jaś, rodzonego brata ulubiony syn... Na kolanach wyhodowałem... Jakieś na nim gałgany... Twarz przez całą szerokość rozorana bagnetem, sina, zapuchnięta. Jak wprowadzili, tak i stanął przy drzwiach. Czeka. A ty, sędzio, sądź!

— No — tam pytanie urzędowe, formalne: — kto jest? — Milczy. Patrzymy w niego wszyscy. Towarzysz dobry, kolega kochany, dusza-człowiek, oficer pierwszorzędny. Twarz jego zrobiła się harda, zastygła, skrzywiona od jakiegoś uśmiechu, co tę twarz miłą, dobrą i miękką wykrzywił, podobnie — ot, jak kowal weźmie i wykrzywi w ogniu raz na zawsze miękkie żelazo w krzywy hak. Ci żołnierze, co go strzegli, to byli zarazem świadkowie. Zeznają, że go pojmali w lesie, nocą, bijącego się z nimi pierś w pierś, zeznają, że on i jest ten sam, ich własny porucznik, Rozłucki. Sprawa jasna, cóż tu więcej? Głosować... Wtedy zwraca się do mnie sędzia z prawej strony, kapitan Szczukin, i powiada, że chce jeszcze podsądnemu pytania zadawać. Cóż, — zadawaj. Wstał Szczukin ze swego miejsca, kułakami oparł się o ten stół ku niemu. Żyły mu na czoło wylazły, twarz zczerniała, jak ziemia. Oczy wlepił w winowajcę. Czekamy wszyscy, o co go jeszcze będzie badał. Tymczasem ten słowa wypowiedzieć nie może, bo człowiek był twardy, nieuczony. Nozdrza mu drgają, brwi się zeszły. Zaczął wreszcie walić kułakiem w stół i wołać ku podsądnemu:

— Rozłucki! ty nie śmiej tu przed nami hardo stać! Nie śmiej w nas patrzeć takiemi oczami! Tyś zaprzysięgał, czy nie? Coś zrobił z twoją przysięgą? Odpowiadaj! Przysięgałeś, czy nie?

— Przysięgałem — rzekł.

— Przysięgałeś, — jął znowu krzyczeć Szczukin na całą karczmę, gniotąc stół pięściami, — a z tą świętą przysięgą ty coś zrobił? Tyś z szeregu uciekł do wroga! To prawda, czy nie?

— To prawda.

— Razem z innymi zdrajcami swego panującego, napadłeś na jego wojsko z zasadzki. Prowadziłeś zdrajców, dawałeś im najzgubniejsze wskazówki, uczyłeś ich, gdzie i jak uderzać. Ja sam widziałem cię dzisiejszej nocy z żołnierzami twej własnej roty. Ja tu świadczę, że widziałem, jak żołnierz Deniszczuk zranił cię bagnetem. To prawda, czy nie?

— To prawda.

— Jeżeli to wszystko prawda, to ty nam, żołnierzom prawym i wiernym w oczy tu mężnym wzrokiem patrzeć nie śmiej! Stoisz przed obliczem sprawiedliwego sądu. Twój własny stryj sąd nad tobą sprawuje. Spuść oczy i zniż się, bo ty jesteś zdrajca i nędznik!

On na to rzekł:

— Ja stoję przed sądem Boga. A ty mnie sądź według swojego sądu, jak chcesz.

Szczukin siadł.

Głosowanie. Dwa głosy padły za karą natychmiastową, Szczukina i von Tauwettera, dwa za odesłaniem pod konwojem do Kielc. Mnie tedy przyszło przechylić szalę. No, i przechyliłem... — mówił

cicho, kiwając głową. Mieli wyprowadzić. Jewsiejenko wniósł, że może ostatnie ma życzenie. Dałem głos. Spojrzał tedy na mnie temi pieczarami oczu, wlepił je we mnie. Staliśmy wszyscy za stołem. On podszedł blisko. Patrzy mi w oczy, ja w niego. Jakby dwie lufy pistoletowe przystawił... Pamiętam surowe słowa: Rozkazuję przed śmiercią, i to jest moja niewzruszona, ostania wola, żeby mój mały, sześcioletni syn Piotr był wychowany jako Polak, tąki sam, jak ja. Rozkazuję, ażeby go uczyć, choćby to było przeciwne sumieniu wychowawcy, jak jego ojciec zrobił wszystko, aż do samego końca. Rozkazuję mu głosem głuchym, żeby pracował dla swej ojczyzny i żeby, jeśli zajdzie potrzeba, umierał dla niej bez jednego drgnienia strachu, bez jednego westchnienia żalu, tak samo, jak ja. No, i wszystko.

Oddał nam cześć po wojskowemu.

Wyprowadzili.

Zaczął się budzić dzień. Poszedłem do alkierza, gdziem tej nocy miał spać. Otwarłem okno. Brzask dnia już się zaczynał. Ranek... Po drugiej stronie drogi sześciu żołnierzy szybko wybierało łopatami dół w piasku. Odszedłem w głąb izby. Odwróciłem się twarzą do ściany. Boże mój!... Było już jasno, kiedym wrócił do okna. Mogłem już widzieć spokojnie. Na kupie piasku, pod strażą dwunastu żołnierzy z karabinami u nogi, bokiem do mnie zwrócony siedział spokojnie. Zdjęto mu już kurtkę powstańczą. Był w koszuli i tę koszulę miał rozerwaną na piersiach. W rękach ściśniętych trzymał między kolanami fotografijkę syna Piotrusia. Głowa zwieszona, włosy spadły na czoło, oczy w tej fotografji utopione.

Zaszedł pluton żołnierzy, należący do jego własnej roty, z za węgła karczmy. Stanął ten pluton naprzeciwko. Von Tauwetter prowadził. Żołnierze — broń u nogi. Stoją. Minęła chwila, druga, trzecia... Czekam. Czekam, żeby Tauwetter dał komendę. Nic, cisza. Nic, cisza. Nie może dać komendy. Tamten siedział wciąż z oczami w swoim obrazku. Miałem złudzenie, że może już, tak siedząc, umarł. Przez chwilę miałem tę ulgę. Czekam. Aż oto podniósł głowę, jak ciężar tysiącpudowy. Stanął na kupie piasku. Nogi mu się zarobiły w sypkiej ziemi, więc się poprawił, raz i drugi. Obejrzał się poza siebie, odgarnął włosy z czoła i spojrzał na żołnierzy. No, chwała Bogu, wróciło nań to wykrzywienie twarzy, ta pogarda, co ją miał w sobie na sądzie. Widziałem, jak powoli obejmowała mu twarz, oczy, czoło. Byłem szczęśliwy, że tak właśnie, z dumą... Że Rozłucki... Czułem, jak wielką swoją wolą zmieniał się w nieczułego trupa, jak się przeistoczył w coś innego.

Rzekł:

— Zdorowo rebiata!

— Zdrawia żełajem waszemu błahorodju! — zawrzasnęli żołnierze plutonu, jak jeden człowiek.

Podszedł Jewsiejenko, żeby mu oczy zawiązać. Odepchnął go oczami. Feldfebel odszedł. Przycisnął tedy do serca ową małą fotografijkę, zamknął oczy. Uchyliły mu się usta od wyższego, pięknego uśmiechu. Zamknąłem i ja oczy... Przypadłem piersiami do ściany. Czekam, czekam, czekam. Nareszcie — t a r r a c h

Geometra Knopf zdjął czapkę i coś tam suchemi wargami do siebie szeptał. Guńkiewicz grzebał patykiem w popiele ogniska, jakby pragnął pozakopywać sowite, pijackie łzy, kapiące z jego oczu.

Zapanowała cisza. Wołały się echa po leśnych górach...

Wtem pisarz gminny zwrócił się do generała z pytaniem:

— Proszę też łaski pana generała, a gdzie naprzykład, jest teraz ten mały syneczek, ów wtedy sześcioletni Piotruś?

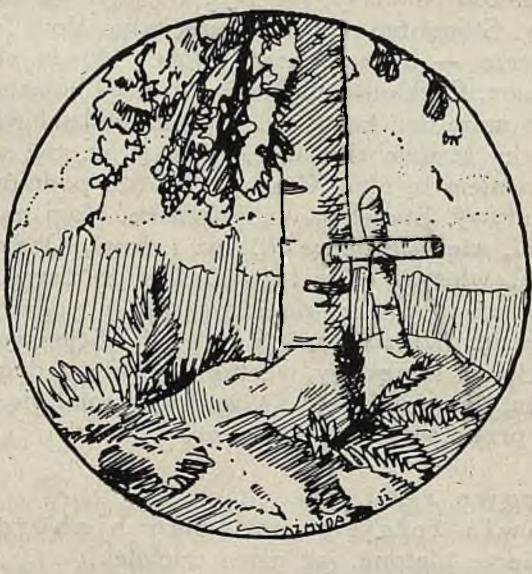
— A tobie na co wiedzieć, gdzie on? — grubijańsko i twardo odpowiedział generał.

— Ciekawość mię wzięła wiedzieć, czy się też spełniła ostatnia wola i rozkaz onego powstańca?

— Nie twoja rzecz i ty o takie rzeczy nie śmiej mnie pytać — słyszysz!

— Ja się też odrazu dorozumiałem — odrzekł pisarz, patrząc swemi szelmowskiemi oczami, z bezczelną drwiną prosto w oczy starego generała, — ja się też odrazu dorozumiałem, że z tej twojej ostatniej woli, mój ty „kapitanie Rymwidzie", tęgo się djabeł musiał uśmiać.

Stefan Żeromski





Mogiłom archangielskim i murmańskim

Gdzie w łunie zórz północnych
szronami jodły śnieżą,
tam moi towarzysze
pod zmarzłą grudą leżą.

Gdzie ziemię opuszczoną
mróz lśniącą pleśnią szroni,
tam moi, hej! tam nasi
śnią towarzysze broni.

O Polskę, od zbóż złotą,
walczyli pod biegunem,
więc ziemia im moskiewska
wieczystym jest całunem.

Na groby tych, co nigdy
już Polski nie zobaczą,
nikt płakać nie przychodzi —
— jedynie brzozy płaczą.

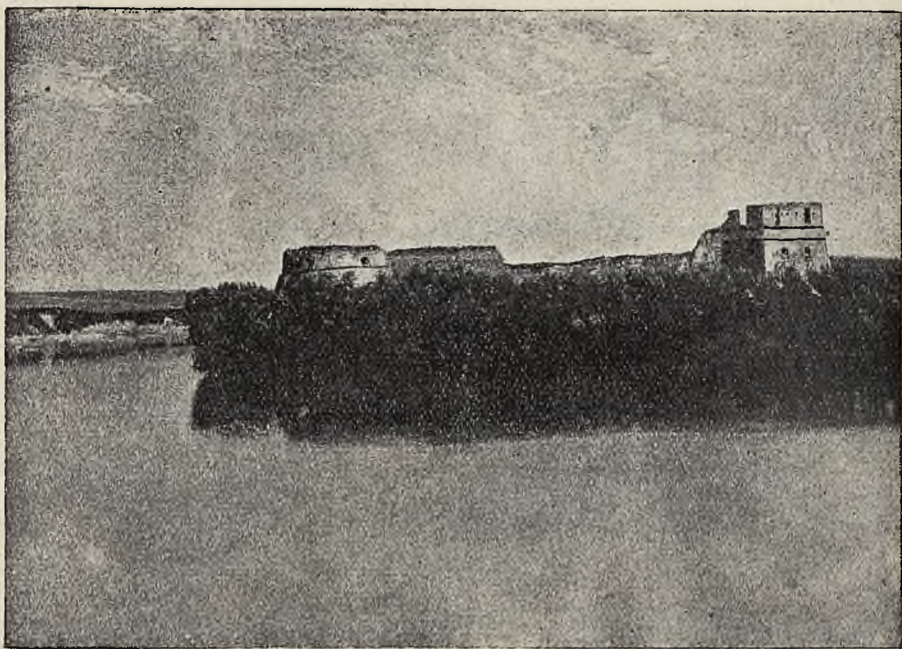
Miast mów — trzykrotna salwa
rozległa się echami
i pozostali martwi
i na wiek wieków sami.

Imiona świat zapomni,
czas zrówna mogił kopce,
a ślad wszelaki po nich
zaorzą pługi obce.

Więc niechże garść słów polskich,
jak garść ojczystej ziemi,
z oddali rzucę na nich
dłoniami tęskniącemi...

By duszą zmartwychwstali,
rozpięli skrzydła cudnie
i poszli — płacząc z szczęścia —
z północy na południe.

Eugenjusz Korwin-Małaczewski



Pamięci oswobodziciela Wiednia

W pięcioleciu 1928—1933 zbiega się kilka naraz okazyj: rocznic i czynów, uwieczniających je, okazyj zwracających myśl naszą ku osobistości świetlanej dziejów nietylko naszych własnych, ale i Europy całej i nakazujących uczcić pamięć ostatniego chyba herosa chrześcijaństwa w czasach nowożytnych, spadkobiercy idei krucjat: króla Jana III Sobieskiego.

11 sierpnia 1929 r. święciła Polonja wiedeńska uroczyście 300-lecie położenia kamienia węgielnego pod kościółek św. Józefa na Kahlenbergu, gdzie w wigilję odsieczy wiedeńskiej Jan III służył do mszy kapucynowi O. Marko d'Aviano i skąd się rozpoczął atak na wojsko tureckie. — 1 grudnia 1929 r. ta sama Polonja czciła obchodem skromnym, lecz serdecznym 300-ną rocznicę urodzin króla-bohatera (* 10 sierpnia 1629 w Olesku pod Złoczowem). — 28 maja 1931 r. otwarto i poświęcono odnowioną i wymalowaną kaplicę Jana III w kościółku kahlenberskim. — 12 września 1933 r. przypada 250-ta rocznica oswobodzenia Wiednia przez hufce polskie i pod dowództwem polskiem.

Sięgnijmy pamięcią wstecz, w czasy niewoli.

Przypomnimy sobie uroczystości jubileuszowe, jakich widownią w 200-lecie odsieczy był cesarski Wiedeń 1883 r. Pomnik ko-

mendanta oblężonego miasta, Starhenberga w tumie św. Szczepana (gdzie papież i cesarz są tylko bocznemi figurami tła); pomnik burmistrza oblężonej stolicy Austrji Liebenberga przed dzisiejszym uniwersytetem na Franzensringu (u wylotu *Schreyvogelgasse*, gdzie wrzał najzaciętszy bój w 1683 r.); akt poświęcenia nowego ratusza w stylu średniowiecznym, dokonany w obecności cesarza Franciszka Józefa w samą rocznicę, tj. 12 września 1883 r.; nazwanie ulicy i placu niewielkiego w XIX dzielnicy (*Döbling*) koło Nussdorfu (skąd wtedy szła kolejka zębata na wzgórze Kahlenberg) imieniem Sobieskiego; wreszcie historyczna wystawa pamiątek w dawnym ratuszu na *Wipplingerstrasse*, — oto czem uświetnił i upamiętnił przedwojenny Wiedeń doniosłą w swych dziejach rocznicę czynu zbrojnego, który wybawił starą Windobonę po 61-dniowem oblężeniu pohańców, czynu, który śmiało można nazwać „cudem nad Dunajem".

Szowinizm Niemców austrjackich nie pozwolił im tak uczcić króla-wybawiciela, jakby on na to, gdyby nie był Polakiem, zasługiwał. Rodacy więc nasi, w służbie rządowej pozostający i z musu stale w Wiedniu osiedli, pomyśleli o trwalszem, żywem kultywowaniu miejsca, opromienionego legendą Sobieskiego i jego mocarnej husarji. W marcu 1895 r. grono szczupłe ziomków dobrej woli z inicjatorem, radcą dworu śp. Piusem Twardowskim († 1906) i ks. Józefem Hembergerem, beneficjatem miejscowym na czele, opierając się na funduszu 4 tys. koron, założyło stowarzyszenie kościółka kahlenberskiego. Celem miała być opieka nad kościółkiem, który w 1852 r. został po stu kilkudziesięciu latach oddany na publiczną służbę Bożą, a na którego frontowej ścianie miasto kazało 1882 r. wmurować tablicę marmurową z napisem stosownym, wyrażającym wdzięczność wodzom odsieczy z Janem III na czele. Stowarzyszenie wspomniane postanowiło corocznie obchodzić pamiątkowy dzień (doroczne dwie sumy z kazaniem polskiem i niemieckiem jednoczą wiernych w myśl statutu) i czynić zabiegi dla wzniesienia pomnika odpowiedniego przed świątynią. Skromne fundusze na to nie pozwoliły. W roku śmierci inicjatora stowarzyszenia kościółek objęli OO. Zmartwychwstańcy, którzy zniszczony dom Boży odnowili, z wyjątkiem kaplicy Jana III.

Tę ostatnią miano zrestaurować jeszcze w 1914 r., ale wojna odwlekła wszystko. Dopiero energji rektora ks. Wojciecha Niemiera zawdzięczać należy, że pieniądze (mimo dewaluacji majątku stowarzyszenia) się ostatecznie, dzięki zasiłkom poselstwa i konsulatu polskiego w Wiedniu, zebrały i można było zaprosić do pracy artystę-malarza, Jana Henryka Rosena, profesora rysunków na Politechnice lwowskiej, znanego twórcy polichromji w tamtejszej katedrze ormiańskiej. Z pod jego pendzla wyszły trzy obrazy, deko-

rujące ściany kapliczki, malowane przez lato i jesień 1930 r. Obok tych obrazów freskowych, umieszczono na ścianach i stropie kaplicy 106 herbów wodzów i uczestników głośniejszych odsieczy. Wszystko dobrze harmonizuje z barokowym stylem kapliczki i oparte jest na znajomości heraldyki, bez czego nie dałoby się poprawnie wystylizować poszczególnych herbów.

Poświęćmy choć kilka słów cudnym freskom w kapliczce Jana III. Dziwnie swojo tu się czujemy. Ale też oko wchodzącego pada na księcia Odescalchi, późniejszego papieża Inocentego XI. W młodości w Polsce walczył przeciw Turkom mieczem, na obrazie klęczy i modli się gorąco. Całemu światu chrześcijańskiemu kazał modlić się za pomyślność jego oręża. W głębi las minaretów — półksiężyców. Od wschodu nadciąga czarna groźna chmura... Nie posunie się dalej, bo Ojciec św. czuwa i modli się, bo z góry wejrzał Chrystus z krzyża na swego Namiestnika na ziemi i dodaje otuchy. Na niebie ten znak, który krzepił cesarza Konstantyna Wielkiego: „W tym znaku zwyciężysz!" Zamiast *„Ite missa est"* — *„Joannes Vinces!"* mówi do Jana III na drugim obrazie O. Marco d'Aviano. Wszystkie postaci tu pełne barw i życia. Ale i szare tło żyje: Ludwik IX Święty i huf rycerzów krzyżowych, ostatnich wypraw. Ma je w pamięci smutnej każdy chrześcijanin. To też poważnie skupiony klęczy dostojny ministrant, Jan III. „Służył" życie długie w obronie wiary i czuje ciężar odpowiedzialności za dzisiejszy dzień. Za nim nasi: syn Jakób, druga głowa dzielna rycerstwa Krzyża, to mąż wdowy po poprzedniku Jana Michale, a obok późniejszy mąż córki króla, Teresy Kunegundy Sobieskiej; Karol i Max Emanuel bawarski w pysznych strojach. Barokowe ramy obrazu u dołu zdobi z pamiętnych słów napis: *„Veni, vidi, Deus vicit"*. Nad wejściem trzeci obraz: napis wyraża pokorę Jana III, z jaką słał zdobytą chorągiew proroka głównemu dowódcy w Rzymie, Ojcu świętemu.

Toć on skleił ligę i ogromnemi zasiłkami umożliwił zaciągi wojsk odsieczy. Malarz każe polskiemu rycerzowi na obrazie odebraną chorągiew zieloną Mahometa złożyć u stóp św. Józefa, patrona naszego kościółka; po prawicy św. Leopold, patron Austrji, z lewej św. Jan Kapistran, który płomiennemi kazaniami (w Wiedniu jego ambona na zewnętrznej, tylnej ścianie tumu) porwał po zajęciu Carogrodu 1453 niemieckich książąt i Węgrów do zgodnej akcji przeciw bisurmanom.

Teraz kaplica Jana III odświętnie przystrojona, będzie czekała dwa lata na wspólny obchód 250-lecia odsieczy i klęski zastępów sułtana Mahometa IV. Po raz pierwszy wolna Ojczyzna uczcić ma wiekopomną chwałę największego w nowszych dziejach Europy czynu polskiego oręża. Zanim to nastąpi, obecny prezes zrzeszenia kahlenberskiego, a syn pobożnego jego założyciela, minister Juljusz

Twardowski, zaprasza do wstępowania w szeregi członków wspierających stowarzyszenia. Każdy przejeżdżający przez Wiedeń rodak powinien mieć sobie za obowiązek patrjotyczny odwiedzić i pomodlić się w skupieniu u stóp dwóch monumentów imienia polskiego w stolicy Austrji: kościoła na Rennweg 5 A w III dzielnicy miasta i świątyni na Kahlenbergu, przeszło coprawda godzinę drogi pod górę, bo socjalistyczny zarząd miasta nie troszczy się o żadne ułatwienia komunikacyjne dla katolickich pątników.

Bliższe szczegóły znajdzie czytelnik w broszurce ks. Jakóba Kuklińskiego C. R. (pierwszego rektora kościółka): „Krótka historja kościoła św. Józefa i kaplicy króla Sobieskiego na Kahlenbergu" (Wieden 1931, str. 22, z 9 rycinami, cena 50 gr.).

Władysław Ign. Postępski
(*Wiedeń*)

„Gwiazdy Przewodnie Ks. Markiewicza"

Teofila z Daniłowiczów Sobieska prowadziła swych synków Marka i Jana do grobowca wielkiego ich dziada, hetmana Żółkiewskiego i opowiadała im o jego czynach, zwycięstwach, o bohaterskiej jego śmierci za Wiarę i Ojczyznę pod Cecorą, tłumaczyła zasłuchanym malcom lapidarny napis nagrobny: „O quam dulce et decorum pro patria mori!" — o jak miłą i chlubną rzeczą jest umrzeć za Ojczyznę! Tam to w Żółkwi u tego grobowca wstąpił w Marka i Jana Sobieskiego — w późniejszych sławnych rycerzy bez trwogi i skazy — duch wielkiego ich przodka. Jego cnoty, życie, zwycięstwa i bohaterska śmierć pod Cecorą stały się dla nich „gwiazdą przewodnią" w życiu — szczególnie dla Jana, który świetnem zwycięstwem pod Chocimem pomścił klęskę i śmierć swego dziada pod Cecorą, a wiekopomną wiktorją wiedeńską po raz ostatni okrył nieśmiertelną chwałą dawną Polskę i ocalił chrześcijaństwo przed zalewem półksiężyca.

W naszych czasach wielki wychowawca Ks. Markiewicz prowadził w duchu ukochaną dziatwę polską nad groby znakomitych naszych przodków i opowiadał jej o schronisku Piastowem, o wiekopomnych, świetlanych ich czynach, o poświęceniu dla najszczytniejszych ideałów ludzkości i Narodu — a ona zasłuchana w jego natchnione słowa przejmowała się ich wielkością, wchłaniała ich ducha.

Ks. Markiewicz znał młodzież nawskróś. — Żaden chyba ze współczesnych polskich wychowawców nie zagłębił się w złoża psychy młodzieńczej, nikt nie umiał tak do niej przemawiać, tak

dobierać się do czujnych jej nerwów, jak ten wielki uczeń i osobisty przyjaciel bł. ks. Bosco. Ks. Markiewicz wiedział, że wiek młodzieńczy, to wiek uniwerzalizmu idealistycznego; — młodzież potrzebuje ideału! A sławna oda mickiewiczowska, napisana w pełni rozkwitu wieku młodzieńczego poety, — to nic innego, jeno wspaniała interpretacja młodzieńczej duszy, niepowstrzymanym pędem, orlim lotem rwącej się ku wyżynom ideału, ku czemuś lepszemu niż to, co obejmuje tępe oko materjalisty-samoluba, — ona tęskni za lepszym światem, rozkoszuje się choćby rajską dziedziną ułudy, a jej życiem, to wzloty nad poziomy, ponad przeciętność.

I dlatego prowadził on młodzież nad groby najszlachetniejszych, najjaśniejszych duchów narodu, świętych Patronów Polski, których życie spłonęło na całopalnym ołtarzu najczystszej miłości Boga i bliźniego, jak lnu promionko na wolnym ogniu. W prześlicznych konferencjach, przemowach, rozmowach wskazywał umiłowanym młodzieńcom na św. Patronów Polski, jako na *„gwiazdy przewodnie“* (ulubione jego wyrażenie) na trudnych, krętych, mrocznych nieraz szlakach życia, by dzielnie wstępując w ich tropy, stali się jasnymi nie błędnymi duchami Narodu.

Szerzył z zapałem Ks. Markiewicz kult świętych Patronów Polski wśród młodzieży; ich życie, cnoty, czyny, bezgraniczne poświęcenie stawiał jej przed oczy a w sercach rozpalał żarny znicz umiłowania świętości narodowych.

Obdarzony wieszczym, — owszem prorockim duchem, przeczuł przedwiośnie zmartwychwstałej Polski, o jej bliskiem wskrzeszeniu mówił z przyjaciółmi, pisał w dziennikach z taką pewnością, jak się mówi o jutrzejszym wschodzie słońca. On wsłuchiwał się z jakiemś ekstatycznem drżeniem w głębiach swej duszy w śpiew Anioła Polski... głos synogarlicy usłyszan jest w ziemi naszej... już zima niewoli przeminęła, pękły lodowate okowy upokorzeń i dziejowej pokuty,... kwiaty nadchodzącej wolności ukazały się na niwach lechickich, nadszedł czas obcinania, czas orki, czas siejby na ugorach jutro mającej z grobu powstać Ojczyzny! I rozpoczął Ks. Markiewicz cichą, ofiarną, zbożną orkę i siejbę na ugorach Polski w duszach młodzieży, by ją przysposobić do wielkich zadań w zmartwychwstałej Ojczyźnie.

A ponieważ zdawał sobie jasno sprawę, że walka o przyszłą Polskę i wogóle o kulturę świata będzie się prowadzić nie brutalnemi siłami materjalizmu, którego przerost wtrąci ją w grób, lecz siłami, przez materjalizm wzgardzonemi, ducha, które wzbudzą nową kulturę, prowadził swoją młodzież nie tyle na groby wielkich wojowników i zwycięzców, ile do bojowników Chrystusowych, św. Patronów Polski, by ją nauczyć władać dzielnie niezwyciężoną bronią ducha. Stąd jego trzeźwy, spartański, jakby ascetyczny kierunek wy-

chowawczy, który się skrystalizował w zawołaniu: „Powściągliwość i Praca!”

I nietylko widział w duchu proroczym zmartwychwstałą Ojczyznę, ale wstawała przed nim z grobu niewoli Polska jakaś ogromna, mistrzyni i pani ludów, dostojna matka chrześcijańskich narodów, o jakiej nie śnili nasi ojcowie w najgórniejszych chwilach dawnej Rzeczypospolitej, — Polska, pod której opiekuńcze skrzydła cisnąć się będą społeczeństwa zmęczone waśniami i wojną a ona w nie wprowadzi „nieznane dotąd braterstwo ludów”, napoi Bożemi strugami nauki i miłości Chrystusowej, wcielonej we wszystkie dziedziny i przejawy życia ludzkości. Rozumiał, że takiej Polsce trzeba budowniczych na miarę tych, co wznosili tumy kolońskie, wiedeńskie, krakowskie, — budowniczych wzlotami myśli sięgających nieba jak strzeliste wieżyce tych świątnic, a wrastających głęboko i twardo w rzeczywistość życia, jak granitowe ich podwaliny, w czarną ziemicę.

Nielada szkoła takich uchowa rzemieślników!... Przeto Ks. Markiewicz przedewszystkiem sam mąż Boży, prowadził swą ukochaną młodzież do szkoły świętych, uczył ją „umiejętności świętych“, która aczkolwiek nie z tego ani dla tego świata, jednak cała przejawia się w czynach, dziełach i poświęceniu dla braci żyjących na świecie...

Przez zpoufalenie z tymi potentatami ducha, przez wnikanie w ich życie, cnoty i dzieła, w rozważaniu ich słów i zasad zstąpi duch ich na nas a skarlałe, bezkrwiste nasze bytowanie ożywi potężne, boże ich tchnienie, udzieli się zwiotczałej duszy naszej ich święta żądza, uparta konsekwencja, stalowy hart w służbie Boga, Kościoła i Ojczyzny.

Ks. Markiewicz wskazywał młodzieży ustawicznie na te „Gwiazdy Przewodnie“ świętych Patronów Polski, starał się wskrzesić zamarły ich kult w okresie porozbiorowym, i położył w tym względzie wielkie zasługi. Pieczę o ożywienie czci i nabożeństwa do naszych świętych przekazał w testamencie swoim wychowankom, a szczególnie założonemu przez siebie Zgromadzeniu XX. Michalitów, którzy też wypełniają lojalnie wolę Zakonodawcy.

Jeżeli tyle wzniosłych, pięknych, pożytecznych myśli wielkiego męża porusza się w tem zbiorowem wydawnictwie, słuszną rzeczą jest przypomnieć polskiemu społeczeństwu jego ulubioną ideę „Gwiazd Przewodnich” Narodu, tj. kult naszych świętych Patronów. Dla jego ożywienia w XX w. zrobiono naprawdę wiele, lecz na tem poprzestać nie możemy, owszem musimy wszelkich i to zbiorowych starań dołożyć, aby go do możliwej żywotności i blasku doprowadzić.

A pamiętać nam trzeba, że mamy naprawić półtorawiekowe zaniedbania, że musimy się zrównać z innymi narodami katolickimi, które w ciągu ostatnich dwóch stuleci, będąc w szczęśliwszem od nas położeniu, bardzo wiele dla kultu swych Świętych rodaków zdziałały,

Ośmielamy się nakreślić program:

Sprawą kultu naszych Świętych Patronów trzeba zainteresować całe społeczeństwo, jako sprawą w życiu społecznem oraz religijnem naszego narodu zasadniczą. W tym celu należy jasno sobie zdawać sprawę jak ważnym czynnikiem w życiu społeczeństw jest lektura, kult mężów znakomitych cnotą, nauką, rozgłośnemi czynami. Rozumiały to dobrze najkulturalniejsze narody starożytności Grecy i Rzymianie, dlatego takim blaskiem, takim pietyzmem otaczały swych herosów uwieczniając pamięć ich cnót i czynów w poezji i w spiżowych lub marmurowych pomnikach. Temi ideałami karmiono swoją młodzież; a dotychczas nasi studenci rozczytują się w żywotach znakomitych pisarzy starożytności Neposa i Plutarcha. Verba docent, exempla trahunt. O ile oddziaływanie na umysł przez pouczanie o cnocie, charakterze jest słabe, wiotkie, bo abstrakcyjne, a często nie rozciąga się poza obręb abstrakcji, to przykład oddziaływa na człowieka potężnie, prawie magicznie: wpływ jego można nazwać psychologiczno-fizjologicznym, bo zarówno obejmuje wyższą jak niższą część natury ludzkiej — rozum, wolę, uczucie, wyobraźnię, zmysły, a te niższe władze mają w praktyce zazwyczaj rozstrzygający głos.

Biada narodowi, który zaniedbuje kult swych bohaterów, — albo miasto mocarzów ducha, stawia przed oczy dorastającego pokolenia, indywidua ciemne, moralnie zwyrodniałe: naród taki wykreśla się sam z karty dziejów, — kończy samobójstwem. Pomiędzy jasnemi duchami każdego narodu pierwsze miejsce bezsprzecznie zajmują bohaterzy cnoty i czynów szlachetnych, — w narodach chrześcijańskich — Święci, jako że najtrudniejsze zwycięstwo, to zwycięstwo nad samym sobą, t. j. poddanie swych skłonności, żądz i popędów pod najwyższy imperatyw miłości Boga i bliźniego. Dlatego chlubą każdego narodu chrześcijańskiego są Święci. To też w dzisiejszych powojennych czasach obniżenia się poziomu etycznego, w czasach materjalizmu, reklamy, kultu ciała, kult ducha, którego pełnię posiadali Święci nabiera szczególniejszego znaczenia.

W tym celu proponujemy:

Społeczeństwo polskie katolickie powinno wystąpić z akcją zorganizowaną, by kult swych Patronów przyprowadzić do dawnej świetności. Dobre chęci, wysiłki pojedynczych osób, nikły wydadzą rezultat, a nawet zgóry skazane są na niepowodzenie o ile dotyczą spraw beatyfikacyjnych, jeżeli ich nie poprze całe społeczeństwo katolickie, planową i zorganizowaną akcją.

Dlatego jak w 1924 w Przeglądzie Katol., a w r. 1929 w osobnej broszurze: „O cześć i kanonizację Patronów Polski", tak i w tem wydawnictwie nawołujemy: Kościół w Polsce powinien wyłonić Organizację, — nazwijmy ją Komitetem dla popierania kultu naszych

Świętych Patronów. Zadaniem jego będzie szerzenie ich czci w kraju i za granicą, przeprowadzanie spraw kanonizacyjnych i t. d. Siedziba jego winna być w Krakowie w tym polskim Rzymie, — gdzie spoczywa najwięcej ciał Świętych i błogosławionych z dawnych i nowszych czasów. Komitet wyłoni sekcje, *hagjograficzną, kanoniczną, finansową.*

1. Sekcja *hagjograficzna* zajęłaby się wydaniem żywotów Świętych, rycin, obrazów, i t. d., a szczególnie ogłoszeniem drukiem pism naszych Świętych, — rzecz u nas w gorszący sposób zaniedbana z nieobliczalną szkodą dla ich kultu jako też dla całego społeczeństwa. Dotychczas nie ogłoszono drukiem dzieł teologicznych błog. Izajasza Bonera, Hozjusza. Podobnież znakomite dzieła mistyczne W. M. Marchockiej czekają 300 lat na ogłoszenie drukiem i doczekać się nie mogą. Pisma błog. Stanisława Papczyńskiego prawie wszystkie leżą w rękopisach. Poszukiwane za granicą dzieła ascetyczne takich mężów jak błog. Kaspra Drużbickiego i Wiel. O. Łęczyckiego nieznane społeczeństwu. A któż czyta dzieła błog. K. Wyszyńskiego, Wiel. OO. Melchjora i Stanisława z Mościsk?

2. Sekcja *kanoniczna* zajęłaby się ogółem spraw beatyfikacyjnych przez półtora wieku będących w całkowitym zastoju. Mężowie doświadczeni, znający gruntownie przepisy, zwyczaje i praktykę Kościoła w sprawach beatyfikacji i kanonizacji Sług Bożych, energiczni, mający poparcie całego społeczeństwa, nietylko zdołaliby ruszyć rzeczone beatyfikacje z martwego punktu, na jakim stanęły w chwili rozbiorów, ale osiągnęliby prędko dobre wyniki. Np. jak z Rzymu odpowiedziano w sprawie Sług Bożych Stanisława Papczyńskisgo i Wyszyńskiego, rozchodzi się tylko o potrzebny fundusz na uroczystości beatyfikacji, która została formalnie ukończona przed upadkiem Polski. Podobnież proces kanonizacyjny, błog. Szymona z Lipnicy jest ukończony.

Kult zaś błogosławionych Izajasza Bonera, Kazimierczyka, Świętosława, Gedrojcia, Drużbickiego, Bernarda z Wąbrzeźna, M. Marchockiej z powodu ich nadzwyczajnej świętości i licznych cudów zdziałanych za ich przyczyną jest tak dawny, tak powszechny w całym narodzie, że rozchodzi się tylko o urzędowe jego stwierdzenie jak np. stwierdzenie kultu błog. Bogumiła. Nie trzeba się tylko zrażać trudnościami, które zwykle procesom beatyfikacyjnym towarzyszą. Przypominamy, że proces beatyfikacji św. Belarmina, jak pisze Krynicki w Historji Kościoła, 8 razy przerwano, — aż wkońcu w naszych czasach doprowadzono go do pomyślnego skutku.

3. Sekcja *finansowa* zajęłaby się kwestją materjalnego poparcia kultu Patronów Narodu. Oczywiście, że tak szeroko zakreślona akcja wymaga odpowiednich funduszów. Hojne zapisy naszych przod-

ków na cele kanonizacyjne zagrabili najeźdźcy, fundusze nowe trzeba zebrać. Nie wątpimy, że wszystkie warstwy katolickie narodu pospieszą chętnie z pomocą materjalną, by wznowić kult swych świętych Patronów, którzy ukazując się z za rozproszonych chmur zapomnienia, — jak słońce rzucą promienie nowego życia, miłości i chwały na naród polski.

Nie należy się tu bojaźliwie oglądać na judaszowskie krzyki naszych liberałów, czy zwolenników Marksa, — ut quid perdito haec? — na co ta strata?

Jedynie wielkim czynem, śmiałą akcją katolicką zmusimy do milczenia tych bałwochwalczych czcicieli brutalnej siły i złotego cielca. Nie pomoże nic zastawianie się trudnościami finansowemi, wszak mimo wszystko wydajemy rok rocznie na alkohol i nikotynę miljardy złotych, a na kult św. Patronów nie powinniśmy się zdobyć choć na jeden miljon?!?

Przedewszystkiem sprawą ożywienia prywatnej i publicznej czci naszych Świętych powinno się zająć duchowieństwo świeckie i Zakony. Ileż tu możemy dobrego zdziałać, budząc kult Świętych w sercach rodaków słowem, pismem, czynem.

Na zjazdach katolickich czyto ogólnych czy prowincjonalnych obejmować stale programem kult i kanonizację Patronów Polski, w seminarjach działać uświadamiająco na młodzież duchowną w tym kierunku.

A czyby nie było wskazanem rozpocząć akcję w całej Polsce triduum uroczystem ku czci naszych Świętych i zbiorową prośbą całego społeczeństwa katolickiego naszej Ojczyzny do Ojca świętego o ich kanonizację...

W drugie święto Wielkanocne 1928 r. wracało dwóch kapłanów z prastarego kościoła św. Benedykta z tradycyjnego odpustu „Rękawka". Iście kalwaryjski barwny, tłumny, zgiełkliwy obraz odpustowy. Po drodze siedziało wielu żebraków prosząc o jałmużnę. Jeden z księży daje grosz biedakowi — z naprzeciwka przystępuje jakiś obywatel ze stanu robotniczego, jak wskazywał wygląd — i mówi do niego: „Módl się do świętego Lenina, a dam ci złotego!" Ze zdziwieniem spojrzeli po sobie księża, a żeby nie mieli żadnej wątpliwości co do jego uczuć — powtórzył żebrakowi towarzysz po raz drugi głosem jeszcze dobitniejszym: „Módl się do świętego Lenina, a dam ci złotego!" Oto groźne dla społeczeństwa polskiego, katolickiego Memento! Cudze bogi wdzierają się w nasze granice, bogi krwawe, sataniczne i wznoszą swe ołtarze, werbują czcicieli wśród naszego ludu, hasło otwartej walki z Kościołem i Chrystusem już padło. Wystąpmy śmiało do walki pod wodzą Chrystusa i naszych św. Patronów stawiając im ołtarze, a przykład ich cnót ludowi do uczczenia i naśladowania.

Trudy społeczeństwa o podniesienie kultu Patronów Polski opłacą się sowicie. Obudzi się wiara, duch religijny w narodzie przez silniejszy przypływ wód żywych wytryskujących ku żywotowi wiecznemu. Oczyści się zatęchła atmosfera duchowa, zatruta wyziewami zgnilizny moralnej doby powojennej, gdy nasz naród patrząc, jak wielkich w swem heroicznem poświęceniu miał i ma rodaków, uświadomi sobie, że jest „rodzaj wybrany, królewskie kapłaństwo, naród święty, lud nabycia... który niekiedy nie ludem, a teraz ludem Bożym; którzy, co nie dostąpili miłosierdzia, teraz miłosierdzia dostąpili" (List św. Piotra Ap. I. 2, 10). Zaczem obudzą się aspiracje do doskonałości chrześcijańskiej, do poświęcenia się całkowitego dla Boga i społeczeństwa, a Polska znów przed światem zajaśnieje aureolą nowych bohaterów świętości.

A więc czas już najwyższy zaiste, aby Oblubienica Chrystusowa w Polsce zdjęła żałobne szaty półtorawiekowych prześladowań, niewoli i ucisków, by odmieniła smutne oblicze swoje, a wzięła na się królewski strój chwały Świętych: purpurowy płaszcz tysiącznych zastępów swych Męczenników, koronę złotą swych świętych Wyznawców, klejnoty bł. Dziewic, promienną aureolę swych świętych Doktorów. Czas już jest, by mocą i światłem swych Świętych, odziała wszystkich swych synów.

A potrzebną nam jest ta moc, to odnowienie ducha w Chrystusie, bo przed Polską leżą wielkie dziejowe zadania.

Bowiem jako ongi Opatrzność kazała jej w bohaterskiej defenzywie zasłaniać swą piersią chrześcijaństwo i kulturę Zachodu przed zalewem barbarzyńskiego Wschodu, tak obecnie po wielu przesunięciach i przegrupowaniach dziejowych, żąda od nas, byśmy w rycerskiej ofenzywie podbijali niezmierzone obszary Wschodu zroszone krwią naszych męczenników pod słodkie jarzmo Chrystusowe i zasiew kultury chrześcijańskiej...

O. Fr. Świątek C. Ss. R.

W 200-tną rocznicę beatyfikacji bł. Jana z Dukli

Dnia 17 stycznia 1933 r. obchodzić będziemy uroczyście rocznicę beatyfikacji wielkiego rodaka naszego bł. Jana z Dukli. Wielki ten mąż, zasłużony za życia Apostoł polskości na kresach, znakomity kaznodzieja i misjonarz niejednokrotnie po śmierci dawał dowody cudownej opieki na Ojczyznę naszą z nieba. Tak samo czcicielom swoim nie szczędził łask i cudów jak to czytamy w dziejach żywota tego błogosławionego. Ratował umiłowane miasto Lwów przed napadami hord barbarzyńskich i przez pamięć tych zasług na

prośby króla Polskiego Augusta III i Episkopatu polskiego został przez Stolicę Ap. ogłoszony Patronem Królestwa Polskiego i Litwy w r. 1739.

Poprzednio czczonym był jako patron Rusi, którą za życia swego w wielkiej mierze sam nawracał i utwierdzał w wierze katolickiej. Błog. Jan z Dukli jako działacz kresowy był doskonałym wyrazicielem swojej epoki, doskonałym przykładem polskiej misji historycznej na bliski ukochany wschód. Szedł tam z krzyżem, ze słowami ewangelicznej miłości, budował swoim przykładem, świętością życia uśmierzał nieuniknione sąsiedzkie zatargi i spory.

Działalność Świętych nie kończy się z ich życiem, raczej potężnieje, staje się wszechstronniejszą, nieograniczona ciałem i warunkami doczesnego bytowania. Jakże nam potrzeba dziś zwłaszcza pomocy tego błogosławionego patrona, jego błogiej działalności w duchu potrzeb narodu i Ojczyzny.

Ale zrządzeniem Opatrzności Bożej działalność Świętych pośmiertna przez nadzwyczajne łaski i cuda jest uzależniona od naszych modlitw.

Dlatego w rocznicę beatyfikacji Jana z Dukli przypominamy wszystkim przepiękną historyczną postać tego świętego kapłana, zasłużonego obywatela, działacza i kresowca niosącego na wschód światło prawdziwej miłości i cnót najpełniejszych. Stawiamy Go jako wzór i jako patrona, który dalszą pracę w swoim duchu prowadzoną, wesprze pomocą niezawodnie.

Według intencji naszych wielkich przodków, w myśl wskazań Stolicy Apost. czcijmy tego błogosławionego męża jako patrona Polski takiej, jaką znał, ukochał i błogosławił z nieba błog. Jan z Dukli. — Polski tej, której granice kończyły się tam na wschodzie, gdzie się kończyła wiara w prawdziwego Boga, gdzie się kończyła prawdziwa chrześcijańska kultura, a zaczęła niewola ciemnoty, błędu i bizantyńskiego upodlenia.

Zły los rozdzielił tę Polskę i braciom do niedawna kazał być dzisiaj wrogami. — To jest dalszy ciąg niedoli dziejowej, pozostałość rozbiorów, choroba organizmu państwowego po przebytej katastrofie. — Ufamy, że Błog. Jan z Dukli pomocą swoją wyjedna u Pana Boga powstanie i z tej choroby.

Prośmy Pana Boga, aby w bliski może dzień kanonizacji błog. Jana z Dukli zgodnym chórem chwaliły Go narody polski, ruski i litewski, takie, jakiemi je umiłował i błogosławił za życia wielki dziejowy Patron Polski, Litwy i Rusi.

TARYFA POCZTOWA

I. OBRÓT WEWNĘTRZNY WRAZ Z W. M. GDAŃSKIEM

Listy zwykłe:

	miejscowe	zamiejscowe
do 20 grm	15 gr.	30 gr.
ponad 20 grm do 250 grm	30 „	60 „
ponad 250 grm do 500 grm	40 „	80 „

Kartki pocztowe:

	miejscowe	zamiejscowe
pojedyncze	10 gr.	20 gr.
z opłaconą odpowiedzią	20 „	40 „

Druki do wagi 25 grm — 5 gr.
„ „ 50 „ — 10 „
„ „ 100 „ — 15 „
„ „ 250 „ — 25 „
„ „ 500 „ — 50 „
„ „ 1000 „ — 60 „
„ „ 2000 „ — 70 „

Papiery handlowe do 250 grm — 25 gr.
„ „ „ 500 „ — 50 „
„ „ „ 1000 „ — 60 „

Próbki towarów do 250 grm — 25 gr.
„ „ „ 500 „ — 50 „

Opłata za polecenia — 60 gr. express — 80 gr.

Listy wartościowe:

1) Opłata jak za list polecony odpowiedniej wagi

2) Należytość asekuracyjna od wartości za każde 100 zł. — 10 gr. przy listach zamkniętych.

3) Przy listach otwartych — 30 gr. Najwyższa dopuszczalna wartość do 10.000.

Korespondencja z P. K. O. dotycząca obrotu oszczędnościowego lub czekowego jest wolna od wszelkich opłat.

Paczki:

Waga	Strefa			
	I	II	III	IV
	do 100 klm.	ponad 100—300	ponad 300—600	ponad 600 klm.
1 kg.	0·70 zł.	0·90 zł.	1·10 zł.	1·30 zł.
ponad 1 do 3 „	0·90 „	1·30 „	1·70 „	2·10 „
„ 3 „ 5 „	1·30 „	1·90 „	2·50 „	3·10 „
„ 5 „ 10 „	1·90 „	2·70 „	4·10 „	6·10 „
„ 10 „ 15 „	2·60 „	4·10 „	6·10 „	8·10 „
„ 15 „ 20 „	3·60 „	6·10 „	8·10 „	10·10 „

Przekazy pocztowe: do 10 zł. — 20 gr, do 25 zł. — 35 gr, do 50 zł. — 50 gr, do 100 zł. — 70 gr, do 250 zł. — 95 gr, do 500 zł. — 1·35 zł, do 750 zł. — 1·80 zł, do 1000 zł. — 2·20 zł, do 1,250 zł. — 2·55 zł, do 1,500 zł, — 2·90 zł, do 1,750 zł, — 3·25 zł, do 2000 zł. — 3·55 zł.

P o c z t a l o t n i c z a: podwójne zwykłe porto pocztowe.

T e l e g r a m y: miejscowe 5 gr. od wyrazu, nadto zasadnicza opłata od każdego telegramu 25 gr, zamiejscowe 15 gr. od wyrazu, nadto zasadnicza opłata od każdego telegramu 50 gr.

R o z m o w y t e l e f o n i c z n e międzymiastowe. Za rozmowę trzyminutową:

za odległość do	25	km.	— 0·60 zł.
„ „ „	50	„	— 1·20 „
„ „ „	100	„	— 2·00 „
„ „ „	200	„	— 3·00 „
za każde dalsze	100	„	— 0·60 „

za rozmowy pilne opłata podwójna

II. OBRÓT ZAGRANICZNY.

L i s t y z w y k ł e: do wagi 20 grm — 60 gr, za każde dalsze 20 grm — 30 gr. Do Austrji, Czechosłowacji, Rumunji i Węgier: do wagi 20 grm. — 50 gr, za każde dalsze 20 grm. — 30 gr.

K a r t k i p o c z t o w e — 35 gr. Do Austrji, Czechosłowacji, Rumunji, Węgier — 30gr

D r u k i za każde 50 grm. 10 gr.

P a p i e r y h a n d l o w e: za każde 50 grm. — 10 gr. Najmniej jednak — 60 gr.

P r ó b k i t o w a r ó w: za każde 50 grm. — 10 gr. Najmniej jednak 20 gr. Najwyższa waga 500 grm.

L i s t y w a r t o ś c i o w e: jak za list polecony odpowiedniej wagi i należytości od deklarowanej wartości, za każde 300 zł. lub część tychże — 50 gr. Podana wartość nie może przekraczać równowartości 5000 franków złotych.

Polecenie przesyłki pocztowej — 60 gr.

P r z e k a z y p o c z t o w e: z krajami, z któremi obrót podjęto: (za wyjątkiem Kanady, Stanów Zjednoczonych Ameryki i Wielkiej Brytanji) do 100 zł. przekazywanej kwoty — 80 gr, za każde dalsze 100 zł. opłata 50 gr.

Za przekazy pocztowe do Kanady, Stanów Zjednoczonych Ameryki i Wielkiej Brytanji: do 100 zł. przekazywanej kwoty 1·00 zł, za każde dalsze 100 zł. opłata 1·00 zł.

PRZYKAZANIA

Czytamy na każdej stacji hasło:

„**Cukier krzepi**"

wyjaśniają nam je artykuły we wszystkich pismach, a pomimo to nie można powiedzieć, by ludzie na wsi zrozumieli już dokładnie znaczenie tych dwóch słów.

Zastanowić się godzi, jaka jest przyczyna niedostatecznej skuteczności pracy tych wszystkich ludzi, którzy pragną, aby wieś odżywiała się lepiej, a co za tem idzie, aby używała więcej cukru.

Najczęściej przeszkodą w przyjęciu dobrej rady jest przyzwyczajenie do tego, co było. Potrawy przyrządzane dla rodziny wieśniaczej nie odznaczają się urozmaiceniem i nie opierają się ani na rachunku pod względem ich faktycznej taniości, ani na rachunku, który oceniałby ich wartość dla organizmu ludzkiego. Gospodyni wiejska nauczyła się od matki przyrządzania pewnej ilości potraw, które z pokolenia w pokolenie pozostają bez zmiany i siłą przyzwyczajenia przekazywane są następcom.

Oczywiście nikt nie zastanawia się nad tem, że organizm ludzki to jest bardzo złożona maszyna, koło której trzeba umiejętnie chodzić i której trzeba dostarczać takiego paliwa, jakie najlepiej zużywa. Jeżeliby szło o lekkomyślne obchodzenie się z drogą maszyną, to każda gospodyni potępiłaby je i sama nigdyby swej maszynie rozmyślnie nie szkodziła. Człowiek nie jest tańszy aniżeli maszyna, ani też ogólnie w gospodarstwie mniej pożytecznym, a jednak mało staramy się dowiedzieć o tem, co jest najlepiej przez organizm zużywane i co dostarcza mu najwięcej siły.

Jasną jest rzeczą, że w tym wypadku rozchodzi się przedewszystkiem o odżywianie i o jego rozumny system. Jeżeli ktoś mówi, że widocznie dotychczasowy sposób był dobry, bo przecież tylu ludzi jest zdrowych pomimo niewłaściwego odżywiania, to popełnia bardzo poważny błąd. Nie bierze bowiem pod uwagę dwóch okoliczności, a mianowicie: pierwszej — że w Polsce istnieje w porównaniu z zagranicą ogromna śmiertelność dzieci, spowodowana nie czem innem, jak właśnie błędami w żywieniu i drugiej — że przeciętny wiek Polaka jest znacznie krótszy, aniżeli wiek ludzi zamieszkujących w krajach, gdzie na kwestję odżywiania zwrócono już dawniej uwagę.

O CUKRZE

Największa szkoda, jaka wypływa z przyzwyczajenia do dawnej kuchni, polega na niedostatecznem używaniu cukru, którego dawniej nie było, względnie był trudno dostępny. Ale wówczas organizm ludzki otrzymywał go za pośrednictwem owoców, na które każdy mógł sobie pozwolić, a przedewszystkiem za pośrednictwem miodu, którego było w bród. Obecnie i ludność wiejska i ludność miast nie może spożywać w wystarczającej ilości ani owoców, ani miodu, musimy więc korzystać z cukru, którego nic dla zdrowia zastąpić nie może.

Tymczasem zdarza się często, że ludzie zamiast wydawać pieniądze na kupno cukru, marnują ciężko zapracowane grosze na zupełnie bezużyteczną, a nawet szkodliwą sacharynę.

Dlatego każdy człowiek powinien dla dobra swego i swojej rodziny zapamiętać następujące przykazania o cukrze i stosować się do nich w życiu, jeśli pragnie zdrowia swego i swych bliźnich, a ponadto jeśli chce być rozumnie oszczędnym.

1) **Pamiętaj, że cukier** to nie tylko przysmak, ale również środek odżywczy;
2) **Pamiętaj, że cukier** jest najłatwiej i najszybciej strawny, i że przez to najprędzej krzepi organizm;
3) **Pamiętaj, że cukier** daje więcej pożywienia organizmowi ludzkiemu, aniżeli jarzyny, owoce, chleb, mleko i mięso — przy spożyciu ich w jednakowej ilości;
4) **Pamiętaj, że cukru** nie zastąpisz w obecnych czasach żadnym innym dostępnym dla wszystkich środkiem żywności;
5) **Pamiętaj, że cukier** pomaga w pracy fizycznej i umysłowej;
6) **Cukier chroni** dzieci przed chorobami i przyczynia się do ich rozwoju;
7) **Odzwyczaisz się od pijaństwa** i nadmiernego palenia, jeśli będziesz używał cukru;
8) **Grzechem jest używanie sacharyny,** gdyż grzeszy ten, kto świadomie szkodzi swemu zdrowiu, a tembardziej zdrowiu innych;
6) **Jeśli kochasz życie** i długo żyć pragniesz, nie zaniedbuj używania cukru;
10) **Zastanów się nad tem,** dlaczego najmądrzejsze narody świata używają dużo cukru i zapamiętaj, że Polacy używają mało.



UDZIAŁ KOBIET W POWSTANIU STYCZNIOWEM.

Za mało jest znanym szerszemu ogółowi nader liczny wspaniały zastęp Kobiet bohaterek, które stanęły w szeregu armji powstańczej, by w ofiarnej ciężkiej służbie nierzadko z bronią w ręku walczyć o wolność Polski, Litwy i Rusi. Aby wskrzesić ich pamięć i należną czcią i sławą ozdobić ich czyny i ich nazwiska, przystępujemy do wydania dzieła, p. Marji Bruchnalskiej:

CICHE BOHATERKI Z R. 1863/4.

UDZIAŁ KOBIET W POWSTANIU STYCZNIOWEM.

Dzieło to, owoc długoletnich drobiazgowych studjów zawierać będzie około 600 str. druku, ponadto około 340 ilustracyj. Cały bogaty materjał ujęty jest w treść następującą:

I. Demonstracje Polityczne.
 a) Nabożeństwa, pielgrzymki.
 b) Żałoba narodowa.
II. Komitety niewiast.
 a) „ Piątek w Warszawie.
 b) „ Niewiast w Krakowie.
 c) „ „ we Lwowie t. zw. Klaudynki.
 d) „ „ w innych miastach i zagranicą.
III. Kobiety walczące z bronią w ręku.
IV. Kurjerki.
V. Pielęgniarki w szpitalach i lazaretach. Pielęgnowanie rannych.
VI. Zakonnice.
VII. Matki, siostry, żony bohaterów.
VIII. Bohaterstwo polskiego dziewczęcia.
IX. Kobiety Królestwa.
X. Kobiety Litwy.
XI. Kobiety Galicji.
XII. Gospodarność, rządność.
XIII. Kobiety wiejskie.
XVI. Żydówki.
XV. Odezwy.
XVI. Martyrologja.

3000 postaci tych bohaterek przewinie się przed naszemi oczyma.

Koszt wydania tego dzieła będzie bardzo wielki i dlatego też wydamy tylko tyle egzemplarzy, ilu zgłosi się chętnych do kupna. Aby zatem uregluować wysokość nakładu, załączamy przedpłatę w wysokości 5 zł., którą wpłacać można do końca grudnia br.

Żadnej dalszej prenumeraty niema, aż po otrzymaniu dzieła, które wysyłać będziemy na raty po 5 zł.

Kto na tych warunkach zechce nabyć tę książkę, otrzyma tę ulgę, że za całe dzieło w oprawie płóciennej zapłaci tylko 25 zł.

Nieliczne egzemplarze, które będą do nabycia poza przedpłatą — kosztować będą 40 zł. — Roboty już rozpoczęte.

Przedpłatę przyjmujemy do dnia 31 grudnia. — Wpłacać na adres: Drukarnia i Księgarnia Zakładu Wychowawczego w Miejscu Piastowem, Małopolska. Konto czekowe P. K. O. Kraków 405.570.